



Foto: M. Zajdler

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

Zwykle matczyńsko

Matka Grakchów? Rzymska matrona?
„Propagandowe” nazwisko?
Nie, to tylko dobroć wcielona,
Zwykle matczyńsko.

Wielkość mała dla niej stanowi.
Do szczęścia jej nie wystarczy.
Nie ona to rzekła synowi:
„Z tarczą albo bez tarczy!”

Mocna nie jest. Wzdycha i płacze
Nad poniżeniem jednostki,
Nad dzieckiem swoim tułaczem,
Nad zagadką wyroków boskich.

Lecz za każdą jej łzę spada pocisk!
Za westchnienie — dymi rumowisko!
I cóż na to Anioł Dobroci?
Płacze dalej i oto wszystko.

Lecą światem rykoszetów echa,
Płoną gniewy i odwety.
Któż by z panów zemsty poniechał,
Zemsty z Bogiem lub przeciw Bogu?

Victorie staną u progu —
A tu tylko matczyńsko tęskni.

Władcy wojny prowadzą. Stać ich
Na ofiary ku przyszłym chwałom!
Ale matka za to wszystko zapłaci,
Jeśli syn jej nie powróci cało.

W NUMERZE: „Wielka Trójka” w
Teheranie ■ Stan wojenny
a rozrywka ■ Henryk Sroczyński
o wyścigu zbrojeń a Dariusz

Dorożyński o wielkiej licytacji
■ Wiersze dla dzieci ■ Ogłoszenia
Matrymonialne ■ Czy można żyć bez
herbaty?

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 8 (1261) ROK XXV

28 MAJA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

Są ludzie, którzy chcą pracować dla innych

EUGENIUSZ IWANICKI

Dziś nie sposób ustalić, kto był inicjatorem. Czy MARIAN SKOTNICKI z Łódzkich Zakładów Kopii Filmowych, czy będący na emeryturze ZDZISŁAW KARBOWNICZEK? A może KAZIMIERZ ŻEBRAK, HENRYK GRANICKI, JÓZEF BUCKI lub ZENON KOWALSKI? A może któraś z kobiet — JANINA SALAMON czy też BARBARA PODGÓRSKA? Faktem bezspornym pozostaje to, że właśnie ta ósemka spotkała się 23 lutego 1982 r. i powołała Obywatelski Komitet Ocalenia Narodowego, działający w Dzielnicy Śródmiejskiej. Po dyskusjach trwających wiele godzin powołano kilka komisji: koordynacyjno-interwencyjną, ładu i porządku publicznego, komisję do spraw współpracy z młodzieżą, opieki społecznej, handlu i usług, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. Przewodniczącym OKON został MARIAN SKOTNICKI. W opracowanej wówczas Deklaracji napisano:

„Jako społeczny — obywatelski ruch ocalenia narodowego chcemy się przyczynić do powstania płaszczyzny wspólnego działania i porozumienia wszystkich ludzi, wszystkich patriotów, bez względu na światopogląd i przynależność partyjną.

(...) Dzisiaj jest to jedyna forma umożliwiająca skupienie wszystkich patriotów w działaniu na rzecz przywrócenia godności i sprawiedliwości robotniczej, wypracowania nowych i skuteczniejszych form pomocy dla tych, którzy jej potrzebują, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi starych, upośledzonych oraz dzieci. Chcemy wypracować też lepszą płaszczyznę współpracy członków partii z młodzieżą, ażeby w tym środowisku nastąpiła pełna rehabilitacja moralna, by uwierzyli, że jedynym kryterium stanowiącym o wartości człowieka, jego awansie społecznym i zawodowym — jest praca. Chcemy, by wszyscy ludzie mogli znów ufnie spojrzeć sobie w oczy w przeświadczeniu, że sprawiedliwość społeczna będzie trwała i nienaruszalną zasadą współżycia społecznego”.

Teren działania OKON jest rozległy. Mieści się w prostokącie zamkniętym ulicami Kopcińskiego, Telefoniczną, Konstytucyjną i Małachowskiego. Swym zasięgiem obejmuje obszar trzech Komitetów Obwodowych Samorządów Mieszkańców nr nr 8, 13, 24.

Punktem wyjścia dla powstania OKON była konieczność nawiązania współpracy pomiędzy samorządami mieszkańców, która to współpraca, po euforycznym rozkwicie po sierpniu 1980 roku, niepostrzeżenie umarła. Zresztą grupa inicjatywna upatrywała szansę reaktywowania samej współpracy, a tym samym rozwiązania wielu nagromadzonych problemów ludzkich i ogólnospołecznych. Jeszcze nie tak dawno, jakieś półtora roku temu, na tym terenie były podejmowane różne inicjatywy, ale później, kiedy zaczęło przybywać domorosłych polityków, ludzie zapomnieli o potrzebie niesienia pomocy innym, a zajęli się strajkami i dezorganizacją życia społecznego.

— Bywało jednak — wspomina Marian Skotnicki — że kiedy ogłaszano jakiś strajk, to ludzie zamijali na ulice, szli pomagać chorym i niepełnosprawnym dzieciom przebywającym w Państwowym Zakładzie Wychowawczym, mieszczącym się przy ul. Tkackiej 34/36. Jest to zakład dla dzieci upośledzonych w stopniu umiarkowanym i znacznym. A my po prostu o-

„Ogłoszy” opublikowały esej Zenona Janusza Michalskiego pod obiecującym tytułem „Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego”. Uważna lektura tego tekstu prowadzi jednak do wniosku, że zawiera on więcej myśli i to wielce kontrowersyjnych, autora tekstu, niż samego Marszałka. A także, iż nie zawiera wielu znanych, zasadniczych myśli Piłsudskiego, niezbędnych dla zrozumienia i oceny jego roli w naszej historii. Zawiera także liczne nieścisłości, wymagające sprostowania.

Już na wstępie, Z. J. Michalski zauważając trafnie, iż jest J. Piłsudski jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci naszej historii i że obrósł legendą, konkluduje: „pozostał w świadomości narodu przede wszystkim jako ten, który Polskę wywalczył”.

Nic bardziej mylnego. Pozostał taki tylko w mitach i legendach. Nie one jednak kształtują świadomość narodu. Mity i legendy najczęściej sprzyjają pogłębieniu nieświadomości, co i w tym przypadku miało miejsce. Świadomość narodu natomiast kształtuje między innymi historia. W historii zaś nie uważa się na ogół, że to on Polskę wywalczył. Co więcej,

Józef Piłsudski — — legenda a rzeczywistość

RYSZARD
KAZMIERAK

Sam J. Piłsudski tak nie uważał. W rozkazie noworocznym do wojska z 1 stycznia 1919 r. pisał: „Żołnierze! Polska nowa, Polska wolna zrodziła się w chaosie powstałym z rozbicia, z upadku najpotężniejszych zdominowanych się mocarstw, z upadku najsilniejszych armii.”

Podobnie nie do przyjęcia jest kolejna teza Z. J. Michalskiego, która zresztą podziela z cytowanym Stefanem Kisielewskim, że: „po drugiej wojnie światowej o Piłsudskim oficjalnie zapomniano.”

Zapomniano, czy zaprzestano kultu? Bo to jednak istotna różnica.

Każdy, kto choćby po amatorsku zajmuje się historią, doskonale wie, że po drugiej wojnie światowej, zarówno w kraju jak i na emigracji, wydano oficjalnie tysiące książek, które z różnych pozycji węższego lub szerszego zakresu traktują o J. Piłsudskim.

Jak to pogodzić z tezą o oficjalnym zapomnieniu?

Mówi się o J. Piłsudskim w programach szkolnych, pisze w podręcznikach. Prawda, że za mało, by dzieci i młodzież mogły to zrozumieć i zgłębić. Ale skoro nie znają i nie rozumieją prawd o J. Piłsudskim rodzice, wychowani w kulcie do niego, to dlaczego ma to zrozumieć młodzież? Zwłaszcza, że i nauczyciele i to nie tylko najbliższego szczebla, zbyt jeszcze się różnią w ocenie jego roli w historii narodu. To jednak jeszcze w większym stopniu polityka niż historia.

Szkola 82

W poprzednim numerze „Ogłosów” opublikowaliśmy dyskusję z tegorocznymi maturzystami. Następnie w tej samej szkole (XXVI Liceum Ogólnokształcące im. M. Fornalskiej w Łodzi) spotkaliśmy się z grupą nauczycieli, aby wysłuchać ich opinii i poglądów. Zaproponowaliśmy skoncentrowanie się wokół trzech problemów:

— na ile możliwa jest we współczesnej szkole realizacja zasady partnerstwa między nauczycielem a uczniem?

— jaki autorytet i jakie zaufanie ma nauczyciel u uczniów?

— jaki wpływ na wychowanie ma szkoła, a jaki dom?

Dyskusję utrwaliliśmy na taśmie magnetofonowej. Pełna relacja obejmuje 25 stron maszynopisu. Dokonałmy więc niezbędnych skrótów, starając się nie naruszyć istoty wypowiedzi. Uczestnicy dyskusji mieli możliwość zapoznania się z niniejszą relacją przed oddaniem jej do druku. Jeszcze w trakcie dyskusji ustaliliśmy, że prezentować będziemy wypowiedzi, a nie uczestników dyskusji, stąd są one anonimowe. Uznano bowiem, że są one powszechne w środowisku nauczycielskim, a więc nie ważne jest, kto je wypowiada.

PARTNERSTWO WE WSPÓŁCZESNEJ SZKOLE

— Młodzież chce partnerstwa, ale czy wiedza na czym ono polega? Czy przypadkiem nie jest tak, że wybierają z naszych propozycji tylko to, co im odpowiada?

— To się zgadza. Dokonują selekcji propozycji dorosłych, ale sami nie wykazują zbyt wielu inicjatyw. Przeprowadziłam w jednej z klas dyskusję na temat: co to znaczy wolność osobista, własna chęć, odpowiedzialność, partnerstwo? Na moje argumenty była jedna odpowiedź: — ale to jest ograniczanie naszej woli, to się nam narzuca. Tłumaczyłam wtedy, że kiedy człowiek zaczyna świadomie uczestniczyć w życiu społeczeństwa musi też świadomie godzić się na ograniczenie jego wolnej woli, jego wolności osobistej w takich granicach, jakich wymaga dobro społeczeństwa. Innym razem dyskutowaliśmy nad „konstytucją samorządu szkolnego”. Młodzież chciała, aby zapisano tam, że udział w pracach społecznych może wynikać tylko z dobrej woli ucznia. Zaproponowałam: „świadomej dobrej woli”. Odpowiedzieli, że jak świadoma, to już nie wolna. Zastanawiam się więc, czy nasza młodzież w wieku szkolnym jest rzeczywiście na tyle dorosła, aby móc być partnerem?

— Każde partnerstwo, obojętnie gdzie występuje, wymaga ogromnej dojrzałości. Na początku mojej kariery nauczycielskiej, a było to przed 13 laty, byłam pełną dobrej woli, otwartą, chciałam być partnerem dla uczniów, chciałam eksperymentować, wykorzystywać do wszystkiego, czego nauczyłam się na studiach. I co? I poniosłam klęskę. Proszę jednak nie myśleć, że rezygnuję z partnerstwa, ale uważam, że musi ono być kierowane, że młodzież musi się go dopiero uczyć.

— Młodzież postawiła nam zarzut, że szkoła jest maszyną do nauczania. A czy oni rzeczywiście czekają od nas czegoś więcej? Wy nas wypowiadacie — zdają się mówić niektórzy przynajmniej — w pewien zasób wiedzy, umiejętności, nawyki i sprawności, rozbudzenie nasze predyspozycje intelektualne, a wychowanie zostawcie. Od tego jest dom, środowisko rówieśnicze, nasz kontakt z literaturą, teatrem, filmem. To nas ukształtuje.

— Istnieje też ogromna grupa, chyba większość, młodzieży zagubionej, bezradnej. I tej musimy pomóc. Właśnie przez partnerstwo.

Przegląd prasy

„KTO NIE JEST Z NAMI

— ten jest przeciw nam — wszystko wskazuje na to, że opozycja holduje takiej właśnie formule. Jest ona przeciwstawna tej, którą od dłuższego czasu z uporem głosi zarówno partia, jak i rząd: „Kto nie jest przeciw nam, ten może być z nami”. Z nami — to znaczy z tymi, którzy rozumieją, że przyszłość Polski nierozdzielnie związana jest z socjalizmem i chcą pracować dla takiej właśnie przyszłości Polski. Nie wszystkim to się jednak podoba.

„Jeśli już w ogóle musisz pisać, to pisz o kwiatkach” — cytuję Daniel Passent w „POLITYCE” („Między dwoma szymbami”, nr 14, z 22 maja 1982 r.) dobrą radę jednej z czytelniczek. „Ten sam motyw ostrzeżenia — pisze dalej D. Passent — zawarty jest w rozprawie znanym ostatnio „Kodeksie Moralnym” dziennikarza czyli „Zaleceniach koleżeńskich władz SDP”. „Nie dziw się, jeśli przyjdzie Ci kiedyś ponieść tego konsekwencje”.

W „DZIENNIKU ŁÓDZKIM” wyczytałem natomiast, że jacyś trzej panowie zorganizowali w Teatrze Wielkim w Łodzi „klakę” znanemu i popularnemu artyście Kazimierzowi Kowalskiemu, wyrażając mu w ten „oryginalny” sposób nie podziw i uznanie, ale coś wręcz przeciwnego. Uniemożliwiono mu dalsze występy i tylko dzięki przypadkowi — był dubler w teatrze — nie udało się im zerwać przedstawienia. Z przykrością przyjąłem tę wiadomość, bo mam wiele uznania dla teatru i postawy Kazimierza Kowalskiego. Widać komuś bardzo zależy, aby ten popularny artysta zamilkł, aby udał się na „wewnętrzne emigrację”, a skoro on myśli i czuje inaczej, to trzeba go do tego „specjalnie zachęcić”. Niekiedy chcieliby widzieć, aby w Polsce nie się nie działo, aby było smutno, aby było coraz gorzej, bo wówczas dla nich będzie lepiej. Obłędna to „filozofia”. Obłędna i szkodliwa.

„Natomiast co się tyczy ostrzeżenia wobec dziennikarzy pracujących — pisze we wspomnianej „POLITYCE” D. Passent — to przestróg nigdy nie za dużo, choć do przestrógu z zewnątrz mam pewną awersję, dziennikarz powinien nosić je w sobie zawsze, kiedy siada do maszyny... Dziennikarstwo to nie jest zwykłą robotą, przed milczeniem i niepisaniem wówczas, kiedy sytuacja wymaga, aby zabrakło głosu i napięcia, co, o czym wielu myśli, ale każdy boi się powiedzieć to głośno”.

NIEZADOWOLENIE Z PRACY DZIENNIKARZY

towarzyszy każdemu etapowi i każdemu zakrętowi, i każdej prostej. Przedstawiciele władz — jakby szeroko je nie rozumieć — chcieliby, aby dziennikarze pisywali laurki, a jeśli już muszą krytykować, to aby robili to krytykę obiektywnie, bezstronnie i twórczo. Czytelnicy natomiast są przeciwnego zdania i chcą, aby dziennikarze bronili przede wszystkim ich interesu. Prawdy — jak zawsze — trzeba szukać pośrodku, a to, co dobre i to, co złe, bez popadania w skrajność i jednostronność. A co myślam o swej pracy sami dziennikarze? Eugeniusz Guz daje odpowiedź na to pytanie w artykule „Z dziennikarstwem na bakier”, opublikowanym w „PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM” z 23 maja 1982 roku.

„W pracy dziennikarskiej

tkwią jeszcze duże, niewykorzystane rezerwy. Prasa mogłaby być znacznie lepsza, bardziej satysfakcjonująca opinię publiczną, niż to się dzieje. Narzekania na środki masowej informacji są właściwie zjawiskiem permanentnym. Z przekąsem mówiono o naszej pracy przed sierpniem i po sierpniu: po 13 grudnia mówi się także. Wiele przyczyn sprawia, że jest tak, a nie inaczej”.

W cytowanym artykule Eugeniusz Guz zajmuje się tylko przyczynami niedoskonałej pracy dziennikarskiej, które zależą od samych dziennikarzy. Zarzuca on polskiemu dziennikarstwu odejście od zawodowych zasad — szybkiego i właściwego informowania — zbiurokratyzowanie zawodu, łatwinę, brak umiejętności atakowania czytelnika właściwym tytułem, dokonywanie wyboru z nadłuki informacji tych najważniejszych, najważniejszych. Eugeniusz Guz nie proponuje nic nadzwyczajnego — ot, po prostu dziennikarską pracę na takich zasadach, jak to się dzieje na całym świecie. Był taki czas, że można było robić gazetę jak leci, czyli, jak PAP nadaje. Dziś, kiedy rynek wydawcy zmienia się w rynek czytelnika, trzeba pomyśleć również o rezerwach tkwiących w dziennikarskiej pracy i wykorzystać je. Im prędzej to zrozumiemy, tym lepiej będzie dla czytelnika.

Dziennikarze zaczęli też interesować się... kolportażem. „POLITYKA” z 22 maja 1982 r. publikuje reportaż specjalnego wysłannika pt. „Kulisz kolportażu”. Jak z tego reportażu wynika pod koniec kwietnia w porównaniu z listopadem ubiegłego roku „Polityka” miała nakład o 50 tysięcy egzemplarzy większy, „Argumenty” — o 17 tys., „Życie Literackie” — o 10 tys. mniejszy, „Perspektywy” — o 54 tys. większy, „Życie Gospodarcze” — o 5 tys. mniejszy. Z tego reportażu dowiedziałem się, że wysokość zwrotów stanowi „tajemnicę handlową” oraz, że: „Prasa spóźniona coraz częściej oznacza prasę niesprzedaną. Zwroty to także prasa, która nie odpowiada oczekiwaniom czytelników”. Autor tego reportażu, Marek Henzler słusznie pyta kolportera: „Czy nie można szybciej reagować na meldunki o wielkości zwrotów i elastycznie zmieniać nadziały prasy dla poszczególnych przedsięwzięć?” Proponuje on też późniejszą sprzedaż prasy niesprzedanej w terminie po obniżonych cenach: „Czytelnik zaoszczędził, kolporter mniej straci, a treści pisma, co nie jest sprawą blagą, choć z opanowaniem — trafią do szerokiego kręgu odbiorców”. Tylko, czy wtedy wszyscy nie będą czekali tydzień, aby taniej kupić swój tygodnik? W końcu to nie dziennik, starzeje się wolniej.

„TWARDE ŁADOWANIE”

— to nie tylko tytuł artykułu Ludwika Krasuckiego z cytowanego numeru „POLITYKI”, ale również trafna ocena naszej sytuacji. Autor uważa — i słusznie — że po Sierpniu objawiły się pewne reguły psychologii społecznej i zachowały swoją moc po 13 grudnia 81. „Żadne środki przymusu — pisze — nie są bowiem w stanie bezpośrednio wpłynąć na stan świadomości rozgorączkowanej, podatnej na złudzenia. Język surowego realizmu, którym przemawia władza, wchodził i nadal wchodzi w kolizję z wyobraźnią zabudowaną zwalami różnorodnych mitów i utopijnych pomysłów”. A potrzeba realizmu, trzeźwej oceny sytuacji i wyciągnięcia prawidłowych wniosków. Inaczej żadne porozumienie nie dojdzie do skutku, a jest ono nadal możliwe, choć po 1, 3 i 13 maja 82 znacznie trudniejsze. Nie chodzi tu o porozumienie z przeciwnikiem, tego być nie może, ale też i przeciwnik utrudnia porozumienie z tymi, którzy mogliby i chcieliby go zawrzeć, doprowadzić do końca.

L. Krasucki wysuwa tezę, że w przyszłości, po zniesieniu stanu wojennego „na porządku dnia znajdzie się sprawa zachowania WRON jako jednej z ważnych instytucji odbudowanego państwa państwowego i społecznego”, i że siły zmierzające do porozumienia

powinny w tej sprawie dopracować się wspólnego stanowiska. Po drugie — dziś już nie wystarczy sformułowania zawarte w preambule statutu zawieszanej „Solidarności”, trzeba odnieść się do sytuacji takiej, jaka jest obecnie. I po trzecie — nie można stawiać „znaków równości między „Solidarnością” a opozycją czy siłami antysocjalistycznymi”, jak również nie można stawiać takich znaków między „partią, władzą i WRON a obroną zdeformowanego modelu, konserwatywnym i zamordyzmem”.

POWRÓCIŁY DO KIOSKÓW

wznowione czasopisma. Ciągłe mówi się, że rynek czasopiśmienniczy można będzie właściwie ocenić dopiero wtedy, kiedy wszystkie pisma znajdą się na tym rynku. Znajdą się też tam i nowe czasopisma, jak na przykład przygotowywane przez Kazimierza Koźmiewskiego „Tu i Teraz”. Ostatnio powróciły na rynek: „ANTENA” — tygodnik, który prezentuje tygodniowy program telewizyjny i radiowy i ma ambicję wpływania na ten program; „MIESIĘCZNIK LITERACKI” — datowany „styczeń — maj 1982 roku”, przynoszący poezję, prozę, krytykę literacką, recenzje, noty; „RZECZYWISTOŚĆ” — tygodnik społeczno-polityczny, którego zespół składa się po części z członków dawnych zespołów „Rzeczywistości” i „Plomieni”; „W SŁUŻBIE NARODU” — czasopismo Milicji Obywatelskiej, które będzie wychodzić w zwiększonym nakładzie i znajdzie się w powszechnej sprzedaży.

LUCJAN BOGUSZ

A JEDNAK ROPA NAFTOWA

Choć może się to wydawać dziwne, a nawet trudne do uwierzenia, analizując w Buenos Aires przyczyny wojny z Wielką Brytanią, prawie w ogóle nie wspomina się kwestii ropy naftowej. Propaganda rządowa woli wyśmiewać ten konflikt jako groteskowe nieporozumienie z Margaret Thatcher, wywołując wrażenie, że gdyby ona ustąpiła ze swego stanowiska premiera, to cała sprawa mogłaby powrócić do stanu poprzedniego, tak jak gdyby nie zaszło.

Celowo powierzchowne traktowanie tego aspektu wydaje się bardzo podejrzane, zwłaszcza od kąd Brian Frow, reprezentant brytyjskich towarzystw naftowych oświadczył, że pod dnem morskim wokół tych wysp jest więcej ropy, niż na Morzu Północnym. Frow twierdzi, że „bez wątpienia ten, kto zawiadnia sprzymierzeńcami, będzie miał przed sobą boom naftowy”.

Ustanowienie argentyńskiej suwerenności na Malwinach jest w praktyce równoznaczne z eksploatacją przez ten kraj tamtejszych pól naftowych. Frow jednak wolał nawiązać do patriotycznej retoryki argentyńskiego rządu, który stale unika problemu ropy. Uważając, że takie postawienie sprawy ułatwia zrozumienie tego, co dzieje się obecnie na południowym Atlantyku. W argentyńskich roszczeniach do suwerenności praw na wyspach jest jednak bez wątpienia uwzględniony problem naftowy. Kiedy zbliżył do kół oficjalnych DAILY TELEGRAPH skrytykował Lorda Carringtona za to, że godził się dyskutować nad kwestią suwerenności, pozycja polityczna ministra była już przesądzona.

Wypowiedzi Frowa zostały szybko zdezawuowane doniesieniami z Londynu, że brytyjski przemysł naftowy nie ma żadnych dowodów występowania wielkiej ropy w tym rejonie, chociaż bowiem wskazywałyby na to badania geologiczne to jednak brak dotychczas wierceń eksploatacyjnych uniemożliwia potwierdzenie tej tezy. Osoba, która zaprezentowała się jako „rzecznik wielkiego przedsiębiorstwa naftowego”, odrzuciła uzasadnienie konfliktu dążeniem do zawiadnięcia polami naftowymi, podkreślając, że „dla nas jest to kwestia przede wszystkim polityczna”. W Buenos Aires również przybito taką samą interpretację, wraz z atakami na panią Thatcher za to, że wciągnęła Argentynę do wojny. Robert Hormats, sekretarz stanu do spraw ekonomicznych Wielkiej Brytanii zamknął w kilka dni później ten rozdział lapidarnym stwierdzeniem, że na Malwinach „nie ma wielkiej ropy”, a cały problem ma dla obu stron wielkie znaczenie polityczne.

Jednakże poszukiwanie ropy w

rejonie archipelagu zapoczątkowano dawno temu, dlatego też, pomimo otaczającej ten temat tajemnicy, z pewnością istnieją tam poważne pokłady ropoposne. Ok. 1975 roku Wielka Brytania otrzymała na ten temat raport, opracowany przez ekspertów z Uniwersytetu w Birmingham pod kierownictwem Donalda Griffina, a obejmujący okres pierwszej połowy tej dekady. W 1975 r. wyprawa Lorda Shackletona uzupełniła raport Griffina, potwierdzając jego wcześniejsze wnioski, iż na milionie km kwadratowych argentyńskiej platformy kontynentalnej, istnieje 10 „zagłębi sedimentacyjnych”. „Zagłębia” to nie są równoległe do wybrzeża, lecz poprzeczne, która to pozycja jest wyjątkiem, gdyż wszystkie inne (oprócz tych, które istnieją u zachodnich wybrzeży Afryki), także są ułożone równoległe do linii brzegu. Charakterystyka geologiczna „zagłębi sedimentacyjnych” z argentyńskiej platformy kontynentalnej jest identyczna jak w tych, które znajdują się w pobliżu Beninu, Nigerii i Gabonu, i w których eksploatuje się już ropę naftową.

W 1975 r. podsekretarz stanu w Foreign Office, David Ennals, w odpowiedzi na interpelację burzysty Jamesa Johnsona oświadczył, że „nie można potwierdzić ani zdemontować znalezienia na Malwinach i w Patagonii wielkich pokładów naftowych”. Wkrótce potem SUNDAY TELEGRAPH zapewniał jednak, że „tamtejsze złoża są bogatsze niż na Morzu Północnym”. A wyrażając często poglądy zbliżone do Pentagonu U.S. NEWS AND WORLD REPORT pisał, iż obfitość ropy naftowej na omawianym terenie „może przekształcić Malwin w nowy Kuwejt”.

Warto przypomnieć, że rząd argentyński wielokrotnie proponował Anglikom utworzenie wspólnego przedsiębiorstwa w celu eksploatacji surowców paliwowych w tym rejonie. I kiedy Buenos Aires mówi eufemistycznie o „wspólnej działalności ekonomicznej”, nikt nie myśli w tym przypadku, że mogłoby chodzić o hodowlę owiec, co jest m. in. specjalnością Malwin. Dopiero jednak w 1977 r. badania naukowe osiągnęły tam wyższy poziom, kiedy na polecenie rządu brytyjskiego zajęły się tym także przedsiębiorstwa, jak Geophysical Service i Western Geophysical. Badania finansowała grupa firm naftowych, z British Petroleum Co. na czele. W ich realizacji współdziałało też argentyńskie ministerstwo energii, co stworzyło pewną podstawę do ewentualnego późniejszego porozumienia o wspólnej eksploatacji złóż, co pomimo konfliktu, Argentyna jeszcze teraz proponuje. W praktyce, porozumienie to wynegocjował w czasie swojej pierwszej wizyty w Londynie argentyński minister gospodarki Jose Alfredo Martinez de Hoz, który uznał wówczas prawa brytyjskie do archipelagu w stopniu wyższym niż resorty spraw zagranicznych obu krajów. Był to bez wątpienia zasadniczy element potajemnej dyplomacji obu krajów, która jednak nie zdołała powstrzymać ich od wojny. Warto przy tym nadmienić, że kapitał British Petroleum Co. należy w 51 proc. do tamtejszego ministerstwa marynarki wojennej, a w 20 proc. do Brytyjskiej Korony.

Ostatnio niektóre poufne źródła wskazywały na kontakty, utrzymywane od pewnego czasu przez argentyńską marynarkę wojenną z wyższymi urzędnikami koncernu Shella. Już od dłuższego czasu ta brytyjsko-holenderska kampania prowadzi prace w rejonie Cieśniny Magellana i miasta Rio Gallegos, tj. na terenie, na którym Brytyjcy istnieją od 200-milowej strefy blokady archipelagu. Zachodzą w związku z tym obawy, że „wywiad naftowy” British Petroleum Co. może przekazywać do Londynu cenne dane, na temat zapotrzebowania marynarki argentyńskiej na paliwa. Strategiczne znaczenie ropy naftowej na Malwinach jest obecnie większe niż kiedykolwiek. Zastanawiające jest jednak to, że o współzależności tego czynnika z całym konfliktem mówi się wyłącznie w tajnych dokumentach.

ROGELIO GARCIA LUPO („INTER PRESS SERVICE”)

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów”, w reportażu pt. „Nadzwyczajnie zwyciężający dzień” autorka cytuję wypowiedź sekretarza POP w „Klecie” — Czesławy Wojtasik, a nie jak — omyłkowo — wydrukowano — Czesława Wojtasika. Tow. Wojtasik i Czytelników gorąco przepraszamy.

DZIEŃ DUKARZA

Towarzysom Sztuki Drukarskiej — naszym najbliższym współpracownikom i przyjaciółom — najlepsze życzenia w dniu ich zawodowego święta składa:

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

CZY USA ZAJMĄ POZYCJĘ OBRONCY WYŚCIGU ZBROJEŃ?

Propozycje rozbrojeniowe zawarte w wygłoszonym na XIX Zjeździe Leninowskiego Komitetu przemówieniu Leonida Breżniewa poruszyły światową opinię publiczną.

Jeremy Stone, przedstawiciel amerykańskiej federacji naukowców stwierdził: „Przyjęcie propozycji oznaczać może historyczny przełom w działaniu na rzecz zahamowania wyścigu zbrojeń”. Minister spraw zagranicznych Danil, Kjeld Olesen oświadczył, że rząd duński z uwagą odnotowuje fakt, że przywódca radziecki „skonkretyzował swoją myśl, dotyczącą moratorium i zamrożenia liczb radzieckich rakiet nuklearnych średniego zasięgu”.

Natomiast szef dyplomacji amerykańskiej, Alexander Haig, w czasie sesji ministrów spraw zagranicznych NATO w Luksemburgu, odrzucił apel o zamrożenie zbrojeń nuklearnych przez Stany Zjednoczone i ZSRR, utrzymując, iż decyzja ta nie ułatwiłaby skutecznej kontroli zbrojeń, jednakże stwierdził, że niektóre propozycje radzieckie w tej kwestii są do zaakceptowania przez Stany Zjednoczone.

Treść przemówienia L. Breżniewa jest przedmiotem dokładnych analiz zespołów administracji waszyngtonskiej — a wyniki tych analiz mają być niebawem przedłożone Reaganowi i Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

Jakiegokolwiek będą reakcje Waszyngtonu na te propozycje, nie może być chyba mowy o całkowitym ich odrzuceniu. Równało się to, jak powiedziała współorganizatorka ruchu „Freeze” na rzecz zamrożenia zbrojeń, pani Randal Forsberg, „postawieniu USA w pozycji obrońcy wyścigu zbrojeń”.

BEZ MIEJSC REKTORSKICH

W dotychczasowym systemie egzaminów wstępnych na studia wyższe nie zaszyły zasadnicze zmiany. Wprowadzono tylko zasadę przyjmowania bez egzaminów żołnierzy, którzy odbyli przedłużoną zasadniczą służbę wojskową i otrzymali skierowanie władz wojskowych. Jak dotychczas przyjmowani będą bez egzaminów laureaci olimpiad i konkursów przedmiotowych w szkołach średnich oraz finaliści olimpiad: matematycznej, fizycznej, chemicznej, wiedzy technicznej i wiedzy rolniczej.

Tzw. miejsca rektorskie i ministerialne zostały zniesione już w ub. roku.

Szkolnictwo wyższe dysponuje 54560 miejscami na pierwszym roku studiów. Z tej globalnej puli mniejsej rektorzy dysponują 15 proc. limitem, który umożliwia im prowadzenie akcji rekrutacyjnej także z punktu widzenia potrzeb i możliwości poszczególnych wydziałów i kierunków studiów. Limit ten umożliwia równoważenie naboru w granicach zainteresowań uczelni.

DOKTORAT HONORIS CAUSA NA POLITECHNICZĘ ŁÓDZKĄ

Tradycyjnym zwyczajem, 24 maja, w rocznicę powstania Politechniki Łódzkiej, odbyła się uroczystość nadania stopni naukowych jej pracownikom. Dyplomy doktorów habilitowanych nauk chemicznych i technicznych otrzymało 9 osób, 81 natomiast wręczono dyplomy doktorów nauk technicznych, chemicznych i matematycznych. Ponadto naukowcom i pracownikom uczelni wręczono honorowe Odznaki miasta Łodzi oraz Odznaki „Zasłużonego dla Politechniki Łódzkiej”. Centralnym punktem uroczystości — w której, obok senatu uczelni, rektorów pozostałych wyższych szkół łódzkich oraz kilku uczelni z kraju uczestniczyli przedstawiciele partyjnych i administracyjnych władz miasta — było nadanie doktoratu honoris causa profesorowi Eugeniuszowi Jezierskiemu, twórcy polskiej szkoły naukowej w zakresie transformatorów, współtwórcy krajowego przemysłu transformatorowego. Tytuły doktorów honoris causa Politechniki Łódzkiej posiada obecnie 15 uczonych, w tym sześciu naukowców polskich.

Profesor Eugeniusz Jezierski urodził się 16 kwietnia 1902 r. w Petersburgu. Rozpoczął w mieście Głogów studia politechniczne ukończył na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Od 1945 roku do chwili przejścia na emeryturę związany był z Politechniką Łódzką, zajmując kolejno stanowiska zastępcy, profesora, profesora nadzwyczajnego i od 1955 r. profesora zwyczajnego. Zorganizował i wyposażył od podstaw Katedrę Elektrotechniki Ogólnej, następnie objął kierownictwo Katedry Maszyn Elektrycznych, przemianowanej wkrótce na Katedrę Maszyn Elektrycznych i Transformatorów, przekształcając ją w krótkim czasie w poważny ośrodek naukowy, znany nie tylko w kraju, ale i za granicą. Ośrodek zajmował się głównie transformatorami, a osiągnięcia naukowe profesora E. Jezierskiego i jego współpracowników w tej dziedzinie zasłużyły na miano „szkoły Jezierskiego”. Obok działalności naukowej w Politechnice Łódzkiej oraz wielu polskich i zagranicznych towarzystwach naukowych zajmował się również działalnością autorską oraz popularyzatorską. Do chwili obecnej, mimo przejścia na emeryturę, opracowuje wraz z grupą współautorów serię 7 książek, obejmujących szeroko dziedzinę transformatorów.

W okolicznościowym wykładzie, jaki wygłosił prof. E. Jezierski, pt. „Doświadczenia przemysłowe w pracy naukowej” stwierdził on m. in. „nauka jest tworem zbyt delikatnym, aby można było kierować jej rozwojem przy pomocy metod administracyjnych. Nie może jednak rozwijać się — dotyczy to zwłaszcza dyscyplin technicznych — w oderwaniu od przemysłu, od całokształtu zagadnień i problemów gospodarczych, aktualnie występujących w kraju...”

W uroczystościach na Politechnice Łódzkiej wzięli udział przedstawiciele współpracującego z nią Uniwersytetu Strathclyde w Glasgow: prencypał prof. Graham Hills oraz prorektor William Tyler, a także dyrektor Jack Barrot i sekretarz do spraw nauki David Harrison z warszawskiego British Council.

(tj)

ANTYPAPIEŻ GRZEGORZ XVII

Cztery lata temu 36 letni Clemente Dominguez ogłosił się papieżem i przybrał imię Grzegorza XVII. Stolicę apostołską zajął w El Plamar de Troya pod Sewillą.

Ostatnio, w towarzystwie ośmiu purpuratów przybył do wioski Alba de Tormes. Za obrazę świętej Teresy i Jana Pawła II „konkurent” papieża rzymskiego został pobity kijami przez miejscowych wieśniaków i wraz z asystą wyładował w areszcie...

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, (z-ca sekretarza redakcji), Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (redaktor techniczny), Jerzy Panasiewicz (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol J. Stryński, Janusz Szymański Glanc (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelný), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja naczelný 632-44 sekretarz redakcji 630-99 publicysta 677-70. Redakcja nie zamówionych reklam nie zwiera zastrzeżeń. Prawo do skrótków informacji o warunkach prenumeraty w dzielnicy oddziały RSW „Prasa Książka Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej: 1040 zł. Prenumerata za zleceniem wysyła się granicę przyjmują RSW „Prasa Książka Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28 konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka Ruch” Łódź. Księgarnia Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 86 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 021. F-2.

Kto posiada przewagę w nuklearnych broniach strategicznych: ZSRR czy USA? Oto problem stanowiący ostatnio przedmiot zacieklej kontrowersji wśród polityków, wojskowych i komentatorów na Zachodzie; co jakiś czas wypowiadają się również w tej kwestii dyplomaci i komentatorzy radzieccy.

Fakt, że potencjały atomowe obydwu stron znalazły się pod takim „ostrzałem”, wynika przede wszystkim z lansowanej przez prezydenta Regana tezy, iż w dziedzinie broni strategicznych „Związek Radziecki posiada określony margines wyższości”. Podczas konferencji prasowej w końcu marca br. Ronald Reagan powiedział też, że „wielka radziecka przewaga polega na tym, iż mogliby oni przyjąć nasze odwetowe uderzenie i zadać nam ciś ponownie”.

ARSENALY

Począwszy od D. Eisenhowera, wszyscy prezydenci Stanów Zjednoczonych, zarówno demokraci jak i republikanie, wyrażali opinie, według których między ZSRR i USA istnieje równowaga lub co najmniej zbliżona równowaga w podstawowych dziedzinach uzbrojenia strategicznego (rakiety balistyczne, samoloty przenoszące bomby atomowe i łodzie podwodne z wyrzutniami pocisków nuklearnych).

Jednakże Ronald Reagan już w toku swej kampanii wyborczej zajął inne stanowisko — jest on zdania, iż z takim przekonaniem wstąpił na fotel prezydencki, że „Rosjanie przeważają nad Ameryką w uzbrojeniach strategicznych”. W sformułowaniach swych idzie nawet dalej niż wojskowi, czy czołowi „jastrzębie” w Kongresie. Minister Obrony, Gaspar Weinberger komentując bowiem niedawne wystąpienie prezydenta na konferencji prasowej, wprawdzie podtrzymał jego tezę, ale zagrożenie przewagą radziecką odniósł do przyszłości. Zaś znany zwolennik zbrojeń, senator Henry Jackson powiedział: „Występują pewne braki równowagi, ale ogólnie biorąc mamy wystarczający potencjał, aby odstraszyć Związek Radziecki”.

Wielkość potencjału nuklearnego obydwu stron w zasadzie jest znana ekspertom wojskowym, a także i politykom. Dzięki bowiem informacjom ujawnianym w toku negocjacji nad układami SALT i stałym obserwacjom satelitar-nym, wiadomo jakimi, w jakiej ilości i gdzie rozlokowanymi środkami przenoszenia broni nuklearnej dysponuje drugie supermocarstwo. O tym, że obie strony odnoszą się z pełnym zaufaniem do własnych „narodowych środków kontroli” czyli zwiadu satelitarnego, świadczy fakt, że zgodnie potwierdzają przestrzeganie ramowego porozumienia SALT II, choć nie doszło do jego ratyfikacji.

Według londyńskiego Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych, który korzysta z danych wojskowych służb wywiadowczych, obecnie Stany Zjednoczone dysponują 9000 głowic i bomb termojądrowych, zaś Związek Radziecki posiada 7000 takich ładunków nuklearnych. Liczby te w przybliżeniu są zgodne z opublikowa-nym w dniu 4 marca br. we wszystkich stoli-cach państw członkowskich NATO raportem na temat stosunku sił militarnych sojuszu atlantyckiego i Układu Warszawskiego: według tego dokumentu NATO ma 9000 głowic nuklearnych, zaś Układ Warszawski — 7500. Raport podkre-sła, że ZSRR rozwinął w ostatnich latach wy-starczająco mocne głowice atomowe, aby móc nimi niszczyć umieszczone w „utwardzonych” bunkrach strategiczne rakiety amerykańskie, ale też stwierdza, że czynnikiem równoważącym są strategiczne atomowe okręty podwodne Zachodu, które nie są zagrożone raketami radzieckimi.

Wcześniej, w styczniu br., w ZSRR ukazała się 80-stronicowa broszura pt. „Skąd wywodzi się zagrożenie dla pokoju?”, która została omó-wiona na łamach kwietniowego numeru mie-siecznika radzieckiego MSZ „Międzynarodna-ja Żywn”. Według danych zawartych w tej bro-szurze NATO dysponuje 2338 środkami przeno-szenia broni nuklearnej (wyrzutnie lądowe, sa-moloty strategiczne i łodzie podwodne z wy-rzutniami), a ZSRR — liczba 2500 natomiast NATO posiada 2175 okrętów wojennych, pod-czas gdy ZSRR ma ich 1872. „Nawet śmiertelny cios zadany w bazy lądowe rakiet amerykań-skich pozostawiłby prezydentowi do dyspozycji możliwość posłużenia się bombowcami dalekie-go zasięgu i flotą okrętów podwodnych. Jedną jedyną łódź podwodną klasy Posejdon jest w stanie odpalić przeciwko celom radzieckim 160 ładunków nuklearnych” — pisał w kwietniu br. komentując wydawnictwo radzieckie tygodnik zachodnoniemiecki „Die Zeit”.

OPOZYCJA

W ocenie ekspertów, administracja Reagana próbuje utrzymać taktikę, która przyniosła jej zwycięstwo wyborcze. Ta taktyka zbrojeń, wo-bec braku wyraźnej sprecyzowanej strategii w stosunkach amerykańsko-radzieckich, zdaniem wielu polityków doprowadziła do tego, że oby-dwie strony poniosą ogromne wydatki na zbro-żenia, nie osiągając zdecydowanej przewagi.

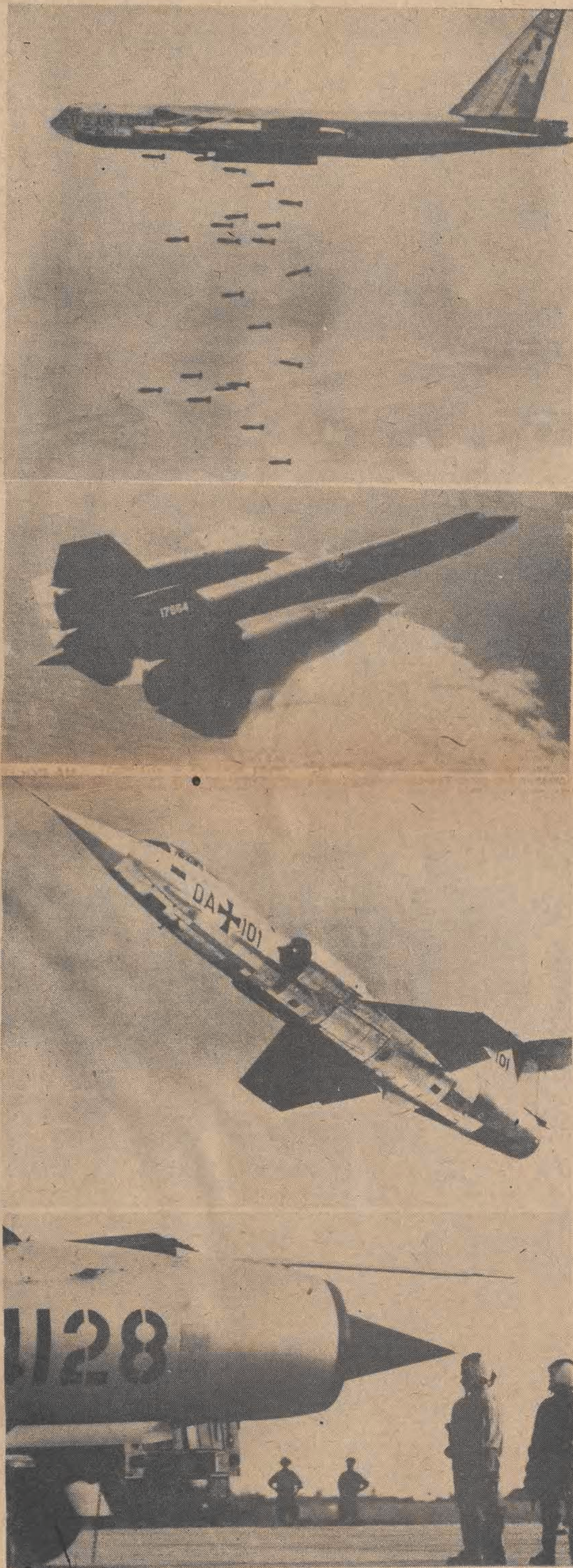
Wydatki na broń, w którą mają zamiar wy-posażyć się Amerykanie, przyporządkują o za-wrót głowy. Tylko koszt wyprodukowania ra-kiet Mx (pociski międzykontynentalne rozmiesz-czane na wyrzutniach ruchomych, które zastę-pia „Minutemany”, znajdujące się w stałych bunkrach), wyniesie co najmniej 34 miliardy do-larów. Trzeba by również wydać drugie tyle, je-śli nie więcej, aby zwiększyć — według przy-jętych założeń — liczbę okrętów z wyrzutniami pocisków atomowych. Wiele miliardów pochło-nąłaby także realizacja planów budowy nowych samolotów, broni laserowej itp.

Pomijając już to, że istnieje niebezpieczeństwo iż obydwie strony zaczną poszukiwać nowych, jeszcze kosztowniejszych rodzajów broni, poli-tycy z wieloletnim doświadczeniem apelują przede wszystkim o dokładną analizę strate-giczną obecnie posiadanych zasobów nuklear-ne-go rażenia i o stopniowe ich ograniczanie. Zna-mienne jest, iż w tej kwestii zabrał głos sam sekretarz generalny NATO, człowiek który zna historię i z pewnością wie kiedy uderzyć na alarm — Joseph Luns. Powiedział on: „Moskwa nie chce wojny. Nie chce jej oczywiście NATO. Istnieje co prawda ryzyko błędnej kalkulacji, ale też musi istnieć zbawienna świadomość nie-bezpieczeństwa”.

Zjawiskiem nowym, o czym pisze codzienna prasa, jest szybki rozwój ruchu antynuklearne-go w samych Stanach Zjednoczonych. Ruch ten,

Do nieznanej mety

HENRYK SROCYŃSKI



który przyjął nazwę „Punkt — 0” (nazwa wy-wodzi się od określenia „punkt zerowy”, w którym wybuchła bomba atomowa), skupia wie-le organizacji i urzęda masowe protesty prze-ciwno zbrojeniom atomowym. Nie tylko jednak w miastach, ale i w Kongresie narasta opozycja przeciwko zbrojeniom nuklearnym. W począt-ku marca br. 138 członków Kongresu wniosło do obu izb projekt rezolucji wzywającej do po-łożenia kresu rozwojowi arsenałów nuklearnych i natychmiastowego rozpoczęcia rozmów w ce-lu ich ograniczenia. Zaś w początku ubiegłego miesiąca czterech wybitnych członków b. rządu J. Cartera oraz sam b. prezydent wysunęło pro-pozycję wyrzeczenia się przez obydwie strony pierwszego użycia broni nuklearnej.

ZMARNOWANY CZAS

Całkiem niezamierzenie uzasadnienia 6-7 let-niego programu niwelowania „przewagi radziec-kiej” w broniach strategicznych, wyzwołyli sil-ną opozycję przeciwko planom R. Reagana. Z jednej strony kwestionuje się właśnie stwier-dzenia o radzieckim „marginesie przewagi” — według tygodnika „U.S. News World Report” sami czołowi doradcy wojskowi prezydenta z Kolegium Szefów Sztabów pośrednio krytykują linię obroną przez Białe Domy, z drugiej strony — coraz szerzej rozwija się w różnych kręgach społecznych USA, w tym zwłaszcza w świecie polityków i biznesmanów, zaniepokojenie skut-kami kosztownych zbrojeń; czy rzeczywiście ist-nieje taka potrzeba abyśmy przeznaczali głów-ne bogactwa narodowe dla rozwijania różnych broni? — powtarza się pytanie.

Siedząc w ostatnim czasie prasę amerykańską można powiedzieć, że krytyka pod adresem prezydenta Reagana, w tym również krytyka w konserwatywnych kręgach kongresowych, kon-centruje się zwłaszcza na jednym problemie: dlaczego, mimo upływu 15 miesięcy, Białe Domy nadal nie jest gotów do rokowań ze Związ-kiem Radzieckim w sprawie ograniczenia zbro-jeń strategicznych. Zarzuca się teżzydentowi, że poza programem zbrojeń, nie ma żadne-go programu w dziedzinie obronnej — nie ma takich koncepcji, których realizacja zapewnia-łaby bezpieczeństwo „bez dodatkowych poświę-ceń”.

Być może pociechą dla niektórych stanowią „przecieki” z Białego Dому: według tych infor-macji doradcy prezydenta wciąż jeszcze nie po-godzili się co do kwestii — czy ograniczenia mają dotyczyć środków przenoszenia i głowic bojowych, czy też u podstaw ma leżeć siła wy-buchu broni i siła ciągu silników rakietowych lub też, czy należy dokonać głębokich cięć w arsenałach obu mocarstw albo znaleźć podejście małymi krokami? Administracja waszyngton-ska znajduje różne powody, dla których prezy-dent nie może jeszcze wyrazić zgody na roko-wania. Wciąż też Ronald Reagan pozostaje przy swoim starym junctim: to czy wkrótce rozpocz-nie amerykańsko-radzieckie rokowania warunku-je stanem sytuacji międzynarodowej (również sy-tuacją w naszym kraju). Ba, są też i oficjalne wypowiedzi, według których USA wynoszą ko-rzyści z odwiekania rozmów. Ostatnio minister obrony USA, G. Weinberger mówił: „Wyrażano zaniepokojenie, że rząd Reagana nie działa do-statecznie szybko w dziedzinie negocjacji na te-mat redukcji zbrojeń, że zmarnowaliśmy czas. W rzeczywistości zyskał na czasie”. Mini-ster stwierdził, że korzyści te polegają na tym iż... rząd opracował długofalowy program po-prawy amerykańskiej nuklearnej siły odstrasz-ającej, co „dostarczyło jedynej podstawy do ne-gocjacji mogących doprowadzić do rzeczywi-tych redukcji”.

KIEDY NEGOCJACJE?

Określenia terminu rozmów ze Związkiem Ra-dzieckim w kwestiach broni strategicznych, o-czekuje przede wszystkim Europa. Od dawna już bowiem sojusznicy USA na naszym konty-nencie nalegają na Ronalda Reagana, aby do-prowadził do zmniejszenia napięcia w stosun-kach Wschód-Zachód, odbijającego się ujemnie na całokształcie stosunków politycznych i go-spodarczych w świecie. Europejscy przywódcy mają też na względzie narastającą opozycję w opinii społecznej przeciwko polityce nuklearnej, a w parlamentach — opozycję wobec wzrast-ających wydatków na zbrojenia. Sądzę również że globalne porozumienie amerykańsko-radziec-kie w dziedzinie zbrojeń strategicznych, otwo-rzy wreszcie — zgodnie z postulatem przyjętym w czasie akceptowania projektu rozmieszczenia w Europie „Pershingów II” i „Cruseirów” — drogę do rozmów na temat ograniczenia zbrojeń na starym kontynencie.

W prasie europejskiej wyrażane są nadzieje, że data rozpoczęcia, po trzyletniej przerwie, ne-gocjacji z ZSRR będzie wyznaczona przed „szczytem” szefów państw wchodzących w skład NATO, który zapowiadany jest na 10 czer-wca br. Potwierdza to oczekiwania również pra-sa amerykańska, oddając się jednocześnie szer-szym rozważaniom na temat przyszłego kształ-tu tych rozmów.

Z wypowiedzi amerykańskich komentatorów warto odnotować opinie wybitnego publicysty, Jamesa Restona wyrażoną na łamach dziennika „International Herald Tribune”. Pisał on że „obecnie są oznaki wskazujące, iż rząd amery-kański pójdzie dalej w swych propozycjach wo-bec rządu radzieckiego niż wszystkie poprzednie administracje. Myśli się o zaprzynowaniu re-dukcji broni strategicznej po obydwu stronach w granicach od 30 do 50 proc. Jest to rzecz zu-piełnie nowa i będzie stanowiła fantastycznie skomplikowany problem, włącznie z kluczową kwestią — co powinno być uwzględniane przy ustalaniu sprawiedliwej i możliwej do weryfi-kacji równowagi sił nuklearnych”.

Podjęcie rozmów radziecko-amerykańskich po długim okresie chłodnych stosunków między Wschodem i Zachodem, może otworzyć drogę ku ponownemu odprężeniu. Z pewnością jednak droga ta będzie długa i, znając chwiejność w polityce Białego Dому, należy przypuszczać, iż pojawi się na niej wiele trudności i przeszkód.

Czy ciągle „kamie- nie przez Boga rzucane na szaniec”?

GRZEGORZ MATUSZAK

1. PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Informacje o ulicznych zajściach, jakie w pierwszych dniach maja 1982 r. miały miejsce w Warszawie, Lublinie, Toruniu, Szczecinie i innych polskich miastach oraz świadomość, że w przeważającej części ich uczestnikami byli ludzie młodzi i bardzo młodzi, przypominały mi znane stwierdzenie R. E. Parka, że „człowiek nie rodzi się ludzkim, lecz staje się nim w procesie wychowania”. A więc w procesie kształtowania jego osobowości, kierowanym przez wychowawcę — rodzica, nauczyciela, według przyjętego i społecznie akceptowanego ideału, wzorca wychowawczego.

Szczególna rola w tym procesie przypada szkole — instytucji, której celem jest nauczanie i wychowanie dzieci i młodzieży, wyposażenie ich w umiejętności i postawy niezbędne do wypełniania w przyszłości ról społecznych związanych z wiekiem dojrzałym. Warto przy tym podkreślić, że w czasach nowożytnych szkoła stała się instytucją wychowania zbiorowego organizowanego przez państwo według wzorów i zasad określonych normami ustrojowymi państwa.

Wydarzenia z początków maja budzą uzasadniony niepokój i chociaż na ulice wyszła tylko niewielka część współczesnego, młodego pokolenia Polaków, to przecież dostatecznie liczna, aby mogły zrodzić się uzasadnione pytania i wątpliwości o ideał wychowawczy i o odpowiedzialność wychowawców. W różnych środowiskach padły słowa oburzenia i oskarżenia pod adresem nauczycieli i wyników ich oddziaływania wychowawczego. Postawiono pytania o to, jaki jest ideał wychowawczy polskiej szkoły, jak zrozumieć, że jej wychowankowie dopuszczają się łamania prawa, buntu prowadzącego do ulicznych ekscesów i zniszczeń, do sponiewierania jednego z najwspanialszych polskich symboli — flagi biało-czerwonej, tylko dlatego, że wywiesili ją „inni” Polacy, ci, przeciwko którym skierowano młodych niewiele rozumiejących uczniów?

Wprawdzie oczywiście jest opinia, że na kształtowanie osobowości młodego człowieka ma wpływ całe środowisko, w którym on żyje i przyswaja sobie wzorce zachowań, ocen oraz uczy się motywacji swego postępowania, ale będzie to jednak tylko odpowiedź połowiczna. Nie wyjaśnia, niestety, dlaczego wychowanie, przede wszystkim szkolne, nie jest w stanie przeciwdziałać niepożądanym wpływom, z jakimi spotyka się młodzież, dlaczego nie uniemożliwia, a przynajmniej nie utrudnia instrumentalnego wykorzystania młodzieży w awanturach politycznych.

Model wychowania szkolnego okazał się mało skuteczny, a szczególnie dobitnie jego słabość stała się widoczna w ciągu minionych dwudziestu miesięcy. Wydaje się, że pilną koniecznością jest postawienie podstawowych pytań dotyczących wzorca wychowawczego, czy jest on odpowiedni do czasów, w których go realizujemy oraz kwalifikacji merytorycznych, intelektualnych i politycznych wychowawców. Trzeba znaleźć odpowiedzi na kardynalne problemy — kogo wychowujemy i jakie treści wychowania uznajemy za szczególnie ważne? Próby subiektywnego spojrzenia na te kwestie zapewne mogą wzbudzić sprzeciw i polemiki.

2. UMIERAJĄCY RYCERZ

Do kanonu cnót określonych w ideale wychowawczym Polaka należy maksyma wyrzuta na nagrobku hetmana Stanisława Żółkiewskiego: „Jak słodko jest umierać za Ojczyznę, ucz się ode mnie”. Świadomość tej powinności była podstawą etosu rycerskiego. Ojczyzna miała prawo żądać od swych synów każdej ofiary krwi i życia i ten kto chciał być godny miana Polaka, nie mógł wahać się. Jedynie słuszną drogą była droga, jaką wybrał tragiczny bohater spod Cécory.

W poetyckim skrócie ujął tę powinność J. Słowacki pisząc:

„A kiedy trzeba na śmierć iść po kolei
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”

Na szaniec tym obok tysięcy bezimiennych znaleźli się bohaterowie polskiego panteonu narodowego: książę Józef Poniatowski, Emilia Plater, generał Józef Sowiński, Romuald Traugutt, powstańcy listopadowi i styczniowi, Jędrzej Dąbrowski, ale także Henryk Baron, Stefan Okrzeja, Józef Montwiłł-Mirecki i bojownicy rewolucji 1905 roku. Nawet miłość została podporządkowana temu właśnie nakazowi walki i złożenia w niej ofiary życia. Anonimowy autor „Pożegnania” z okresu powstania listopadowego tak pocieszał swą ukochaną:

„I choć przyjdzie zginąć w oczyszczonej

Nie rozpaczaj, dziewczę, zobaczysz się

A potem, „kiedy kraju runęło niebo i śmierć

się stała” ów rycerski etos walki i gotowości śmierci zdemokratyzował się, stał się własnością plebejskich, chłopskich obrońców Westerplatte, żołnierzy spod Warszawy i Kocka spod Lenino i Monte Cassino, Major Dobrzański-Hubal i Franek Zubrzycki, powstańcy warszawscy i partyzanci Gwardii Ludowej walczący o sprawy najważniejsze — ocalenie życia i godności narodu. Ich pamięć poeci poświęcił setki wierszy ich chwale głosiła pomniki i groby, ich imionami nazywamy szkoły i ulice. Ich gotowość do ofiary stała się powszechnie akceptowanym wzorcem wychowawczym. Stała się niemal jedynym wzorcem dla tego pokolenia Polaków, które nie musiało już walczyć i ginąć za Ojczyznę.

4 ODGŁOSY

3. MIT WALKI

Od blisko czterdziestu już lat nie zazналиśmy jako naród zagrożenia swego niepodległego bytu, ale zafascynowani tymi, co jak „kamienie na szaniec”, nie potrafiliśmy ukazać Polakom rosnącym i wychowywanym w pokoju, innego wzorca niż wzorec umierającego rycerza, partyzanta, powstańca. Cień klęski, ofiar i mogił zdaje się uniemożliwiać przekonanie tych, którzy dopiero uczą się własnych dziejów, że jako naród, jako państwo, które wybrało socjalistyczny kształt swego ustroju i określiło swe nowe sojusze, byliśmy wśród zwycięzców II wojny światowej.

Martyrologia i cierpienie, gdy nie są własnym osobistym doświadczeniem, wydają się emocjonalnie odległe, bywa, że młodego człowieka niecierpliwią, gdy zbyt często i zbyt natrętnie są eksponowane. Pochylieni nad grobami, którym winniśmy część i pamięć, zapominamy w wychowaniu, że przecież życie zwyciężyło śmierć, że nawet w czasach pogardy dla człowieka można było bronić swej godności, ludzkich uczuć i wartości.

Dzisiaj dla wielu młodych Polaków wojna zdaje się jawić jako barwna przygoda, jako szczególnie rodzaj ekspresji życiowej. Myślę, że dla wielu z nich obca jest gorzka refleksja zawarta w dialogu Andrzeja i Maćka, bohaterów „Popiołu i diamentu” J. Andrzejewskiego:

„... Czego mogliście chcieć? Zebysmy ginęli. Teraz chcę tego samego. I w porządku. Stać nas na to, nie?”

Dzisiaj młodzi ludzie, którzy mogliby być synami Andrzeja i Maćka, gotowi są przeżywać swą przygodę — walczyć, iść do „powstań”. Wydaje im się, że to walka o wolność, sprawiedliwość, demokrację. Wpajany im przez dziesiątki lat mit powstańczy niespodziewanie wydał swe zatrute owoce. Dzisiaj też znajdują się setki, a może tysiące ludzi, którzy uważają, że ich na to stać.

Wychowywani w kulisach walki i gotowości umierania, nauczani dramatycznych gestów bez rozumienia ich prawdziwego sensu, wychodzą na ulicę, bo ktoś im powiedział, że tak powinni czynić. Krzyczą „gestapo”, choć nie rozumieją złowrogiej treści tego słowa, ciskają kamieniami w drugiego Polaka, bo uwierzyli, że jest to ich osobisty przeciwnik, krzyczą „Polska, Polska” nie zadając sobie trudu szukania odpowiedzi na pytanie „a jaka?”

Jak to się dzieje, że gdy trzeba pracy i mądrości Polaków, rozumienia świata, w którym się żyje, ograniczeń i warunkowań, w które jako naród jesteśmy uwikłani, część młodych ludzi gotowa jest podpalić dom, ten, w którym wszyscy mieszkamy — Polskę? Czyżby miał po nas zostać „głuchy, drwiący śmiech pokoleń”, że nie potrafiliśmy wychować swych synów i córek inaczej niż tylko na obojętnych konsumpcyjnym, którym się wszystko należy lub zdesperowanych frustratów, którzy nieodpowiedzialnymi manifestacjami chcą zmieniać mapę Europy?

Czy winą to rycersko-straceńczego wzorca wychowawczego, nieudolności lub złej woli wychowawców, czy może jeszcze innych przyczyn, które podzieliły nas, Polaków? Jedno wydaje się pewne — niepowetowane straty dokonują się w umysłach i sercach młodzieży.

4. KONIECZNOŚĆ MYŚLENIA

Zachowaniami wielu ludzi kieruje coś, co pozwalam sobie nazwać syndromem przegranej wojny hazardzisty, który ciągle liczy na to, że się odegra i coraz więcej traci. Jego postępowaniem kieruje wyłącznie emocja i chęć rewanżu. Myślę, że emocje i tylko emocje, które przesłaniają ostrość widzenia rzeczy takimi, jakie one są. Kierują również i tymi młodymi ludźmi, którzy namówieni zostali do „odegrania się”. Nie ma już miejsca na rzeczowe argumenty, logiczny wywód, otwartości na inne poglądy niż własne i gotowości do zmiany postawy.

Czy młodzi ludzie, owe kamienie, które bywają zwalane na rozmaite szaniec chroniące wątpliwie wartości, zdają sobie sprawę ze swej roli, czy mają świadomość czemu służą? Przecież ich podmiotowość zależy od myślenia, od świadomości, której nie zdobywa się poprzez zapamiętywanie wyuczonych formułek. Hasłami i pojęciami można dowolnie żonglować, skutecznie nadużywać i dotąd, dopóki człowiek nie zacznie myśleć, można wykorzystywać go do rozmaitych celów, nawet celów samobójczych.

Czy w trakcie wychowania uczymy myśleć nasze córki i naszych synów, czy tylko każemy im wierzyć w formułki pochodzące z oficjalnego lub nieoficjalnego pokątnego źródła? Czy w obowiązujący ideał wychowawczy wbudowana jest konieczność wiedzy i rozumienia świata, czy tylko posłuszeństwa i podporządkowania się? Czy wyłącznie mamy być „rozumni szaleńcami”, czy też trzeźwością myślenia i realizmem w ocenianiu własnych chęci i możliwości? Jak spełnia swoją rolę wychowawczą polska szkoła, jakich wychowuje Polaków?

Posługując się metaforą można powiedzieć, że dziedzina wychowania to obecnie krajobraz po bitwie. Trzeba skrupulatnie obliczyć straty i zniszczenia, rozpocząć mozolne porządkowanie i odbudowę, a będzie to zapewne proces długi i trudny. Sądzę, że zachowując szacunek i pamięć o przeszłości musimy wreszcie zacząć patrzeć w przyszłość i z myślą o niej szukać istniejących a zapomnianych lub tworzyć nowe wzorce i ideały wychowawcze, aby kamienie przygotowane do rzucania na szaniec można było wykorzystać w innym, lepszym i bardziej twórczym celu. Tylko spełniając ten warunek staniami się zdolni do odnalezienia odpowiedzi na pytanie Zbigniewa Herberta postawione w „Rozważaniach o problemie narodu”:

„czy wskutek przeżyć historycznych
nie staliśmy się psychicznie skrzywieni
i na wypadki reagujemy teraz z prawdziwością histeryków...”

OD REDAKCJI

Rodziców, pedagogów, wychowawców młodzieży i wszystkich zainteresowanych problemami poruszonymi w artykule Grzegorza Matuszaka zachęcamy do nadsyłania uwag i wypowiedzi. Najciekawsze opublikujemy na łamach „Odgłosów”.

W

czasach niezbyt odległych każdy dzień pracy rozpoczynałam od kawy. Drugą wypijałam po obiedzie, a trzecią wieczorem. Potem zaczął się kryzys, kawa pojawiała się w sklepach rzadko, jej zdobycie wymagało kilkugodzinnego stania w kolejce. Ograniczenie do jednej, porannej szklanki okazało się konieczne. W końcu i te zabrakło. Znajomym, skarżącym się na poranne bóle głowy, radziłam: — pij mocną herbatę, to o wiele skuteczniejsze. Dodawałam przy tym, powołując się na własny przykład, że bez kawy żyć można, nawet z bardzo niskim ciśnieniem. Co innego, gdyby brakło herbaty. Jeszcze wtedy, starannie omijałam w sklepach półki z „Gruzińską”...

Teraz piję mleko. Jest zdrowe, pożywnie i chyba smaczne, skoro w niektórych krajach, gdzie kawy ani herbaty nie brakuje, właśnie mlekiem popijają niemal każdy posiłek. Wszystkie argumenty nie ułatwiają mi jednak polubienia tego napoju. W poszukiwaniach herbaty mam pecha. Przycho-dzę zwykle zbyt późno. Ekspedientkę, która informuje, że „była, ale już wyszła”, mam o-chotę zamordować. Taka chęć opanowuje wielu klientów bez-skutecznie poszukujących artyku-łów, bez których co prawda żyć można, ale... co to za życie.

Nie każdy potrafi się w ta-kiej sytuacji opanować, stąd między innymi częste awantu-ry w sklepach. Oczywiście, każdy po zastanowieniu musi przyznać, że brak towaru nie jest winą pani stojącej za skle-pową ladą. Handel jednak za-wsze — bez względu na situa-cję rynkową — pełni rolę swego rodzaju łącznika między producentami towarów, z któ-rymi przeciętny obywatel nie ma praktycznie żadnego kon-taktu, a klientem. Ten ostatni, tu właśnie, w sklepie, w różno-rodny sposób demonstruje swo-je zadowolenie lub — w obec-nej sytuacji znacznie częściej — niezadowolenie, z całokształ-tu sytuacji gospodarczej, wyrażane w formie negatywnej oceny pracy sklepów. Jest więc handel czymś w rodzaju chłop-ca do bicia, odbierającego cieżę także i za cudze winy. Ale nie tylko za cudze.

Od wielu lat również i w tej dziedzinie gospodarki na-warstwiały się błędy, powo-dujące uzasadnione pretensje klientów także i w czasach względnej obfitości dóbr. Kolejne reorganizacje, przepro-wadzane zawsze pod hasłem „Dla klienta”, pochłaniały mnóstwo pieniędzy, a zauważal-ny rezultatów nie przynosiły. Często powodowały natomiast efekty nieplanowane, lecz prze-cież możliwe do przewidzenia; zwiększanie administracji, wydłużanie drogi od producenta do sklepów, zmniejszanie ope-ratywności podstawowych jed-nostek, wreszcie powstanie mo-nopoli handlowych, skazują-cych klienta na dokonywanie zakupów w warunkach określonych przez przedsiębiorstwo nie mające żadnej konkurencji. Jedyną alternatywą było więc zgodzić się na to, co dyktuje

handlowiec lub nie kupić wca-le. Czy jest nadzieja na zmia-nę tej sytuacji?

Niewątpliwie stwarza ją wdrażana obecnie reforma, o-bejmująca wszystkie dziedziny gospodarki, a więc także i han-del. Jej założenia sprawiają, że wszelkie usiłowania powrotu do stanu przedkryzysowego w niedalekiej perspektywie okaza-łyby się wybitnie niekorzystne nie tylko dla klientów, ale tak-że dla przedsiębiorstw handlo-wych, ich jednostek podstawo-wych i wreszcie załóg. Zmiany więc będą, a ich ogólny kie-runek utrzyma się w ramach powszechnie obowiązujących trzech S — samodzielności, samorządności i samofinansowa-nia. I tu właśnie, w trzecim S, kryje się nadzieja dla klientów. Aby działać na za-sadach samofinansowania przedsiębiorstwo musi sprzeda-wać, a więc dbać o to, aby jak najwięcej ludzi w tej wła-snej firmie, nie zaś w konkuren-ta, towar nabyło. Wysiłki handlu muszą więc zmierzać w kierunku pozyskania klienta poprzez zaofiarowanie mu jak

cośki przestają być zupeł-nie puste. Jak ostatnio doniósł GUS, w marcu, po raz pierw-szy od wielu miesięcy, uzy-skano globalne zrównoważenie dochodów i wydatków ludno-sci, co oznacza pewne uspokoe-nie i normalizację rynku. Nie warto popadać w euforię z powodu takich danych staty-stycznych, dobrze bowiem jesz-cze nie jest, są one jednak ko-lejnym argumentem, że odpo-wiednie działania w handlu muszą być podejmowane już teraz, nie zaś odkładane do chwili, gdy nastąpi znaczniej-szy wzrost podaży dóbr. Tak też zresztą się dzieje, chociaż zmiany są — zdaniem wielu ludzi — wprowadzane zbyt wolno.

Niecierpliwość klientów jest w tym przypadku zrozumiała, bo skoro reforma ma przynieść pożądane, pozytywne efekty, dlaczego nie wprowadzić jej od razu, przyspieszając tym sa-mym osiągnięcie celu? Tyle, że akurat w tej dziedzinie zbędny pośpiech owego celu nie przy-bliży, wręcz przeciwnie. Można bowiem wydać zarządzenie, że

TERESA JERZYKOWSKA

Można żyć bez herbaty

największej ilości towarów dobrej jakości, dostosowanych do różnych gustów i zawartości portfeili, stworzenia możli-wości zakupów w dobrych wa-runkach i dogodnych porach.

Na razie trudno uwierzyć, że sytuacja taka kiedykolwiek na-stąpi. Wydaje się raczej, że sprzedać można wszystko, bez względu na cenę i otoczenie, w jakim odbywa się transakcja. I tak też jest rzeczywiście. Przy-miarka do reformy w handlu o-znacza więc myślenie i działa-nie perspektywiczne. Jest to jednak niezbędne, aby osiągnąć jakąkolwiek poprawę — w in-nym przypadku cała reforma gospodarcza nie miałaby sensu. Pojawiają się już zresztą pierw-sze symptomy świadczące, że przyjęte kierunki działania są słuszne. Możemy przekonać się o tym, odpowiadając sklepom, które od kilku tygodni przestały wyglądać jak salony sztuki kon-strukcje półek i regałów. Nadal nie udaje się utrzymać ciągło-sci sprzedaży niektórych artyku-łów spożywczych, ale coraz więcej możemy po prostu kupić bez uciążliwego polowania na to, gdzie, kiedy i co „rzuci-ć”.

Gorzej przedstawia się sytuacja w sklepach z artykułami przemysłowymi, choć i te pla-

na przykład od 1 lipca wszyst-kie przedsiębiorstwa handlowe i sklepy zyskują pełną samo-dzielność, skąd i ile towaru zdobędą oraz w jaki sposób, nie interesuje nikogo, a co za-robia — to w całości ich. Wkrótce okazałoby się, że taka absolutna swoboda sprzyja tylko najsłabszym i nie za-wsze zgodnie z kodeksem działa-jącym jednostkom, a zamiast praw rynku upowszechniają się prawa dzungli. Ponadto pamię-tać należy, że nowe zasady w handlu realizować muszą lu-dzie przygotowani do tego ży-dynie teoretycznie, przyzwyczaieni do pracy według dia-metralnie odmiennych, dotych-czas obowiązujących regul. Praktyczne umiejętności naby-wać będą dopiero w samym procesie wdrażania reformy, mając przy tym prawo do o-mylek i potknięć. Zbytnie przyspieszanie takiej nauki przyczyniłoby się do tak znacz-nego zwiększenia ilości błędów, że wypaczyłoby to słuszne ge-neralne założenia.

Obecnie nastał dla handlu okres najtrudniejszy. Obok podstawowej przeszkody w sposób istotny hamującej pełne wprowadzanie w życie założeń reformy, jaką jest brak dostatecznej ilości towarów rynko-wych, występują dodatkowe



bariery. Wymienić tu trzeba przede wszystkim reglamentację wielu podstawowych artykułów, ciągle jeszcze niezbędnych, ale będącą zaprzeczeniem handlu w ogóle, a także problem „drugiego pieniądza”. Po prostu bowiem wszyscy posługują się takimi samymi „złotówkami”, ale na niektóre z nich pokrycie towarowe musi być zapewnione, na inne — niekoniecznie. Obok normalnego, ogólnodostępnego rynku, działają co najmniej trzy specjalne: młodych małżeństw, powiązany z systemem kredytowym, rolniczy — związany ze skupem oraz górniczy — uzależniający możliwość zakupów od pracy w wolne soboty. Trafiają tu towary atrakcyjne, poszukiwane na ogół bezskutecznie przez wszystkie pozostałe grupy ludności. Oczywiście, klienci tych specjalnych rynków mają nieograniczone możliwości korzystania także i z rynku ogólnodostępnego. Za podjęciem decyzji o stworzeniu takich uprzywilejowanych grup ludności przemawiały istotne argumenty. Nie podważając ich słuszności, trzeba jednak uznać, że powoduje to dodatkowe trudności z zaspokojeniem powszechnych potrzeb.

Kolejnym zadaniem, które należy rozwiązać, realizując reformę w handlu, jest stworzenie właściwych powiązań między nim a przemysłem, produkującym na potrzeby rynku, ale także na potrzeby wyposażenia technicznego jednostek detalicznych i hurtu. W tej dziedzinie następuje proces szybkiej dekapitalizacji górnictwa w przyszłości poważnymi, odczuwalnymi także przez klientów, konsekwencjami.

Posłużyć się prostym przykładem. Od wielu lat trwa batalia między handlem a przemysłem o paczkowanie towarów. Obecnie, około 80 proc. artykułów masowych dociera do magazynów luzem. Handel nie dysponuje odpowiednią ilością automatów i paczkowanie maki, kaszy, itp. (a są to dziesiątki ton) odbywa się ręcznie, jak sto lat temu. Zdarza się więc, że w sklepie nie ma jakiegos towaru nie dlatego, że brak go w ogóle, ale pracownice po prostu nie zdążyły rozważyć go do torebek. Z braku odpowiedniej wielkości właściwie wyposażonego zaplecza, część artykułów spożywczych marnuje się, np. przechowywane w kopcach u rolników — bo innej możliwości nie ma — warzywa czy ziemniaki. Istnieje więc konieczność z jednej strony wygospodarowania pieniędzy na rozbudowę zaplecza i budowę nowych obiektów handlowo-usługowych w osiedlach, z drugiej — skłonienia zakładów poprzez odpowiednie bodźce ekonomiczne do podjęcia lub rozszerzenia produkcji niezbędnych urządzeń i elementów ich wyposażenia. Sprawa wymaga podjęcia odpowiednich decyzji i kroków na szczeblu centralnym, sam handel jej nie załatwi.

Kolejna, wymagająca także współdziałania kilku partnerów, sprawa, jest właściwe ukształtowanie struktury produkcji, powiązanie jej z potrzebami handlu, a zatem i

klientów w ramach określonych regionów gospodarczych. Na ostatnich krajowych giełdach w Poznaniu okazało się, że nikt prawie nie chce kontraktować atrakcyjnych nawet towarów na dalekie odległości, bo wymagałoby to zróżnicowania cen tych samych artykułów w różnych miejscowościach, zależnie od kosztów transportu. W najbliższym czasie problem ten mogą rozwiązać we własnym zakresie zrzeszenia przedsiębiorstw handlowych poprzez wypracowanie jednolitej polityki zakupowej wobec producentów. W dalszej przyszłości trzeba jednak dążyć do wyeliminowania zbędnych przewozów i stworzenia pewnej samowystarczalności w ramach regionów. Podkreślam, regionów ekonomicznych, które w wyniku reformy administracji uległy sztucznemu podziałowi i w żadnym przypadku nie pokrywają się z granicami 49 województw. Można to osiągnąć poprzez właściwe ukierunkowanie rozwoju przemysłu terenowego i drobnej wytwórczości, przy czym chodzi tu o towary codziennego użytku, obecnie równie wytwarzane przez wielu producentów. W ten sposób, działając na jednym terenie, producent i handlowiec będą mieli możliwość lepszej współpracy i reagowania na potrzeby odbiorców. Doprowadzenie do takiego stanu wymaga ukierunkowanych działań nie tylko ze strony zrzeszeń handlu i przemysłu, ale także od władz terenowych. Jest to zamierzenie obliczone na lata, wymagające inwestycji, nie-możliwe do zrealizowania w najbliższej przyszłości. Teraz, choć zapewnienia samowystarczalności objawia się wydawanym przez władze administracyjne zakazem wywozu produkowanych na miejscu artykułów poza województwo. Na szczęście przypadki takie są coraz rzadsze.

Zanim więc zreformowany handel zacznie różnymi sposobami starać się o klienta, pokonać trzeba jeszcze wiele barier, odpowiedzieć na wiele pytań. Ponadto, o czym chyba powinni wiedzieć i zmęczeniu klienci, reformy w handlu nie można omawiać, a tym bardziej wdrażać w inną rytmie i w inny sposób, niż w pozostałych branżach. Jest ona przecież integralną częścią wielkiej reformy w całej gospodarce i tylko kompleksowa realizacja może przynieść zakładane efekty. Także i w handlu.

Refleksje powyższe nasunęły mi się w czasie spotkania pracowników WSS „Społem” z ministrem handlu wewnętrznego i usług, Zenonem Komen-derem, który niedawno gościł w Łodzi. Gospodarze poczęstowali wszystkich uczestników spotkania herbatą, bez której jednak żyć można. Czy, zanim reforma przyniesie odczuwalne efekty, handel będzie miał okazję przekonać nas bez czego jeszcze można żyć?

Dokończenie ze strony 1

Dom Opieki Społecznej i Dom Dziecka. Jak z tej wyliczniki wynika, jest tego sporo i na brak roboty nie możemy się skarżyć.

Tyle Marian Skotnicki. Trzeba dodać, że przed sierpniem 80 i zaraz po nim, opieka i kontakty zakładów pracy oraz samorządów mieszkańców z tymi placówkami były częste i bliskie. Ale z czasem stawały się coraz rzadsze, sporadyczne, w końcu ustały całkowicie. Nie trzeba nikogo przekonywać, czym jest opieka i patronat dla tego typu placówek wychowawczych, szczególnie jeśli idzie o dzieci upośledzone.

Dlatego też zaraz po 13 grudnia 1981 r. Marian Skotnicki i Zdzisław Karbowiczek postanowili przywrócić dawne, dobre tradycje. Zaczeli poszukiwać ludzi dobrej woli i wielkiego, serca, społeczników, którzy by sprawę współpracy mieszkańców z placówkami opieki wychowawczej poprowadzili dalej. Pierwsi zgłosili się HENRYK GRANICKI, KAZIMIERZ ZEBRACKI, FRANCISZEK WOCHNIAK, EWA PASZKIEWICZ...

Takie były początki. Jeśli ktoś, kto nigdy nie zajmował się pracą społeczną, sądziłby, że jest ona łatwa i lekka, mocno by się pomylił. Nie wystarczy bowiem sama inicjatywa, choćby była nie wiedzieć jak słuszną. O wartości takiej pracy świadczy udział szerokiego rzeszy ludzi dobrej woli. A tych nie zawsze udaje się znaleźć, przekonać, wzbudzić w nich entuzjazm. Tak było i tym razem. Członkowie nowo powstałego OKON udali się do szkół, zakładów pracy, instytucji z propozycją nawiązania współpracy. Przedstawiali swój program, mówili o społecznej i obywatelskiej potrzebie pracy na rzecz mieszkańców z ich okolicy, mówili o istniejących placówkach opieki wymagających szczególnej troski, odwoływali się do dobrych tradycji spo-

właścicieli, PGM-Śródmieście, nie bardzo się przejmował w minionych latach losem swojej własności. Nie jeden raz samorząd mieszkańców nr 24 oraz Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa zwracały się do PGM o nieodpłatne przekazanie tego terenu, ale ich propozycje pozostawały bez odpowiedzi. Ziemia, choćby to był zwykajny ugor, nie może leżeć odłogiem. OKON zapewnia, i gotów jest poświadczyć to dokumentami, że najdalej za rok na pustym i zarośniętym dziś placu staną urządzenia i przyrządy do zabaw, piaskownice, zieleńce, alejki, itp., że będzie to najpiękniejszy plac zabaw dla dzieci w całej Łodzi. Jest więc inicjatywa, są chętni do pracy ludzie, uzyskano partycypację od zakładów pracy i instytucji, nie ma jedynie zgody PGM na przekazanie tego kawałka ziemi dla potrzeb społecznych. Ale, jak powiada pułkownik w stanie spoczynku, Kazimierz Zebracki, ta sprawa będzie załatwiona, choćby ludzie z OKON mieli zedrzeć ostatnie swoje buty.

Pod koniec maja odbędzie się spotkanie wszystkich obywatelskich komitetów odrodzenia narodowego ze Śródmieścia. Będzie to pierwsze tego typu forum wymiany doświadczeń, na którym zostanie opracowany wspólny program działań na rzecz środowiska. Chodzi przede wszystkim o opiekę nad młodzieżą. Organizatorzy planują, że uda im się przyciągnąć młodych ludzi do prac na rzecz własnego miejsca zamieszkania, do organizowania wspólnych festynów oraz gier sportowych. Członkowie OKON są pełni optymizmu i wierzą, że akcja się powiedzie, tym bardziej, że zgłaszają się coraz to nowi nauczyciele do współpracy. Przyszli wychowawcy z XXIX LO, Zespołu Szkół Chemicznych, z Liceum Medycznego, ze Szkoły Podstawowej nr 79. Zjawili się też sporo nauczycieli-emerytów. Wszyscy są zgodni co do jednego: nie można pozostawiać młodzieży samej sobie, nie można pozwolić, by uległa nieprzemysłanym i awanturniczym hałsom różnych domorosłych polityków i ludzi wrogich Polsce. Stąd tyle uwagi przywiązuje się do szczegółowego opracowania programu działań komisji do spraw współpracy z młodzieżą.

Są ludzie, którzy chcą pracować dla innych

lecznikowskich istniejących tu od wielu lat... Nie była to sprawa łatwa, nie wszyscy zrozumieli lub chcieli zrozumieć nagłą potrzebę niesienia pomocy innym, nie wszyscy uznali OKON za organizację pragnącą integracji i konsolidacji tych, dla których spokój i porządek w kraju jest sprawą najwyższej wagi.

Z natychmiastową pomocą pośpieszyli natomiast Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych oraz Zespół Szkół Chemicznych. Ludzie z tych placówek od razu czynnie włączyli się do prac komisji i porządku, do komisji socjalnej i do komisji współpracy z młodzieżą. Jako pierwsi z LZWKFi stanęli do pracy m. in. BOLESŁAW DUCHAŁSKI, TADEUSZ DUBRAWSKI, TERESA MISTAD, ADAM WOLAŃSKI...

W tym miejscu godzi się przypomnieć, że LZWKFi od wielu lat opiekowały się Państwowym Zakładem Wychowawczym nr 7 dla Dzieci Upośledzonych im. dra H. Jordana, mieszczącym się przy ul. Tkackiej 34/36. Nie ma potrzeby przypominać o jakie to dzieci chodzi, natomiast trzeba powiedzieć, że wspomniany zakład jest niezwykle ważną placówką leczniczo-rehabilitacyjną w mieście, do której trafiają mali pacjenci także spoza granic łódzkiej aglomeracji. Te same LZWKFi w przeszłości troszczyły się także o ludzi z Domu Opieki Społecznej i o dzieci wymagające specjalnej troski i opieki. Mając jeden, jedyny mikrobus zakłady organizowały zarówno dla pensjonariuszy z Domu Opieki Społecznej, jak i dla dzieci przebywających w placówkach wychowawczych — wycieczki do innych miast, przewoziły na kolonie, dostarczały i wysyłały filmy, fundowały książeczki mieszkańcom. Dziś, kiedy kryzys paliwowy trwa i nie wiadomo kiedy nastąpi poprawa na rynku benzynowym, mikrobus został postawiony na kółki. A tu własna, rozpoczynająca się kolonia. Kto zawiezie te dzieci do odległych ośrodków kolonijnych, kto ludzi z Domu Opieki Społecznej powiezie do pobliskich lasów? Są to pytania proste, ale dziś odpowiedź na nie nie leży w możliwościach Łódzkich Zakładów Wytwórczych Kopii Filmowych, ani w zarządzie OKON.

Sprawa przedstawia się następująco: OKON zamierza wystąpić do Pełnomocnika Miejskiej Grupy Operacyjnej, działającego przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Śródmieście o pomoc w przydziale paliwa do wspomnianego wyżej mikrobusu. Obliczono, że na całą akcję, tj. do końca br., potrzeba zaledwie 1200 litrów benzyny. Jest to niewiele, około 100 litrów miesięcznie, ale przecież żadnej pomocy społecznej dla ludzi starych i upośledzonych dzieci nie da się przeliczyć na złotówki.

Niemniej piękna inicjatywę niesienia pomocy OKON zaproponował Zespół Szkół Chemicznych. Tamtejsi pedagodzy, że wymienię zaledwie tych najbardziej aktywnych, jak FRANCISZEK WACHOWIAK, STANISŁAW BIERNACKI i WACŁAW ZGLIŃSKI, podjęli się nawiązania kontaktów z młodzieżą z Osiedla im. J. Matejki oraz z młodzieżą pracującą. Szkoła oddała tej młodzieży do dyspozycji własną salę do gier sportowych, boisko, pomieszczenia do muzykowania. Założenie jest proste: poprzez masowy, prowadzony przez wykwalifikowanych nauczycieli i wychowawców sport, do wychowania obywatelskiego. Wałecząca się częstokroć młodzież winna trafić do sal i klubów, do pomieszczeń z dobrą muzyką. Nauczyciele z ZSCH są przekonani, że przyjdą do nich nie tylko ci z zakładów pracy, ale zjawiają się także ci, którzy po ukończeniu szkół nie podjęli pracy i dziś oscylują w kierunku tzw. marginesu społecznego.

Wspomniałem już, że OKON za podstawę swojej działalności przyjął reaktywowanie współpracy pomiędzy samorządami mieszkańców, a tym samym rozpoczął żmudną pracę nad porozumieniem społecznym. W jednym z fragmentów swojej Deklaracji napisał:

„Porozumienie i zaufanie społeczne, troska i odpowiedzialność obywatelska jest niezbędna do odbudowy więzi społecznych i obywatelskich, rodzinnych i sąsiedzkich. Porozumienie to jest platformą dla wszystkich tych, którzy chcą się przyczynić do porządkowania wspólnego domu — Polski”.

Tak, w tych zdaniach jest zawarta głęboka racja nie tylko na dziś. Ale porządkowanie wspólnego domu, jakim jest Polska, trzeba zaczynać od własnych podwórek, od rzeczy na skalę osiedla czy dzielnicy.

Jeszcze nie tak dawno Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa opiekowała się Szkołą Podstawową nr 79 im. J. Krasickiego, ale dziś mało kto o tym pamięta, a już najmniej władze spółdzielni. Podobnie było z Zakładami Przemysłu Włókiennego im. J. Nie-dzielskiego „Textilpol”, które współpracowały z samorządami mieszkańców nr nr 8 i 24. I ta współpraca umarła śmiercią naturalną. Czyżby zarówno spółdzielnia, jak i wielki zakład, nie miały nic do oferowania dzieciom z placówek wychowawczych? Ludzie z OKON twierdzą, że powinno się wrócić do dobrych tradycji, już nawet nawiązano kontakt z tamtejszymi organizacjami partyjnymi, teraz kolej, aby włączyć do sprawy dyrekcję, odszukać lub pozyskać nowych społeczników.

Na osiedlu im. J. Matejki jest plac zabaw dla dzieci. Pomiedzy budynkami wspomnianej już Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, przedszkolem a Zakładem dla Niepełnosprawnych znajduje się rozległy teren, leżący odłogiem od wielu lat. Rosną tam krzewy i drzewa, wśród których okoliczni mieszkańcy urządzili sobie wysypisko śmieci, natomiast nikt nie zadbał, by plac ten zaadaptować jako plac zabaw dla dzieci i młodzieży. Jego

OKON, o którym mowa, działa zaledwie trzy miesiące. Działanie to nie polega na dublowaniu działania samorządów mieszkańców, choć OKON mieści się na tym samym terenie, ani na przejęciu pracy wykonywanej dotychczas przez Front Jedności Narodu. Wynika to ze specyfiki spraw, którymi się zajmuje, a które to sprawy nie mieszczą się w zakresie działania wspomnianych organizacji. Nieraz są to sprawy wymagające natychmiastowego działania, zdecydowanej interwencji, jak to było w przypadku Domu Opieki Społecznej przy ul. Narutowicza 114. Panujące w tym Domu stosunki od dość dawna niepokoiły niektórych działaczy i stały się przyczyną różnych, nieraz bardzo krytycznych komentarzy. Byli tacy, którzy wręcz żądali wkroczenia w sprawę przedstawicieli prokuratury.

Członkowie OKON, gdy tylko zostali on powołani, przystąpili do wyjaśnienia krążących pogłosek. Okazało się, że personel owego Domu Opieki Społecznej, traktował przebywających tam pensjonariuszy jak zło konieczne, pozbawił ich opieki lekarskiej, zupełnie zaniedbał sprawę higieny, a na domiar wszystkiego okradł tych ludzi z „kartek” żywnościowych. Wybuchł skandal. Przecież w takim Domu przebywają także ludzie, którzy nie opuszczają już łóżek, a więc niedołężni, wymagający szczególnej troski i opieki. Rezultatem działalności OKON było dyscyplinarne usunięcie byłego personelu opiekuńczego i zatrudnienie nowego, spowodowanie podjęcia właściwej opieki medycznej, właściwego żywienia.

Oczywiście, są załatwiane przez OKON także sprawy drobne, jak reperacja jakiejś studzienki kanalizacyjnej, założenie lamp oświetleniowych, naprawa płyt chodnikowych, urządzenie zieleńca, itp. Natomiast najważniejszą sprawą pozostaje nadal Zakład Wychowawczy Nr 7 dla Dzieci Upośledzonych im. H. Jordana. Zakład zajmuje jeden budynek, w którym mieszczą się placówki do przystosowania zawodowego, sale szkolne, zaplecze gospodarcze oraz internat. Przebywa tu 120 dzieci, z czego w internacie jest 80. Zachodzi obecnie pilna potrzeba poszerzenia internatu i pomieszczeń dydaktycznych dla poszczególnych grup zawodowych.

W Zakładzie Wychowawczym dzieci uzyskują przystosowanie do życia, ale część z nich, po zakończeniu tu pobytu, nie znajduje, ze względu na swoje schorzenia, zatrudnienia i dalszej rehabilitacji. Część, nie mogąc wrócić do domów, jest umieszczana w domach opieki dla dorosłych, gdzie ulega wtórnemu niedołęstwu ze względu na brak opieki fachowej. Zachodzi więc pilna konieczność wybudowania domu stałego pobytu i rehabilitacji dla dzieci niepełnosprawnych.

Miejsce na taki dom jest, na terenie istniejącego zakładu. Poczyniono już nawet wstępne przygotowania. A więc: uzbrojono teren pod budowę, przygotowano dokumentację techniczną (opracował ją Miastoprojekt nr 2, a w czynie społecznym wykonał zespół architektów pod kierownictwem Jerzego Bieli). Odbłyło się też posiedzenie OKON, w którym udział wzięli prof. Henryk Rafalski, przewodniczący sejmowej Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej. Profesor poparł inicjatywę, obiecując wszelką pomoc. Lecz — by rozpocząć prace budowlane — potrzeba około 50 milionów złotych. Dlatego też OKON wystosował apel do wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc. (Pieniądze można przekazywać na konto bankowe: NBP U/O Łódź, nr 47047-2769-189-85 „Fundusz dobrowolnych świadczeń społecznych”). Znalazł się już nawet inwestor. Jest nim Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu m. Łodzi.

A sama historia budowy sięga roku 1980, kiedy to rzucono hasło wzniesienia pomnika włókiennika. Wówczas samorząd mieszkańców nr 8 zwrócił się do wszystkich zakładów opiekuńczych, do władz miasta, do instancji partyjnych i do istniejących organizacji związkowych, aby pomnikiem włókiennika stał się właśnie Dom dla Dzieci Niepełnosprawnych. Byłby to zarazem pomnik dla dzieci wymagających szczególnej społecznej troski, opieki i uwagi.

Inicjatywa zyskała uznanie i poparcie. Niestety, na skutek pogłębiającego się kryzysu i rozprężenia, które nastąpiło od sierpnia 80 roku do 13 grudnia 81, ta piękna inicjatywa została zapomniana. Teraz OKON ze Śródmieścia wrócił do tej sprawy uzyskując natychmiast poparcie ze strony dzielnicznej instancji partyjnej.

W tej chwili rozpoczyna się akcja propagandowa na rzecz pomocy w budowie Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Upośledzonych: w kinach będą wyświetlane odpowiednie przeobrażenia, wydrukowano już „cegiełki”, podobno do tych, jakie rozprowadzano przy wznoszeniu Centrum Zdrowia Dziecka. Jest to piękna inicjatywa i godna poparcia.

Kiedy żegnałem się z ludźmi, tworzącymi trzon OKON w Śródmieściu, MARIAN SKOTNICKI powiedział:

— Przedstawiliśmy zaledwie część spraw, które usiłujemy rozwiązać, a przecież nie ma dnia, aby nie zjawiał się nowy problem. Dobrze, że są jeszcze ludzie, którzy chcą społecznie pracować.

EUGENIUSZ IWANICKI



Fot.: M. Zajdler

Ciąg dalszy ze strony 1

Starsze pokolenie doskonale pamięta, jak bombardowano nasze umysły, wpajając od dziecka miłość i uwielbienie dla tego, „który Polskę wywalczył”. W historii najnowszej Polski był tylko ON. Wszyscy inni nie dorastali mu do pięt. Pierwszoklasiści recytowali wiersze o nim. Lekcje historii wypełnione były opisem bitew I Brygady. Za wykazany brak uwielbienia można było dostać po twarzy (i nie tylko). Nie było miasta i miasteczka bez głównej ulicy czy placu jego imienia. Tysiące szkół, instytucji użyteczności publicznej nosiło jego imię. Ba, czasy w których żył nazywano epoką J. Piłsudskiego. Spoczął zgodnie ze swą wolą na Wawelu, wśród królów. Rocznicę jego urodzin, dzień imienin obchodzono jako nieoficjalne święto państwowe. To musiało dawać efekty. Jakimi metodami to czyniono, ukazuje w swojej ostatniej monografii Andrzej Garlicki („Od maja do Brześcia”).

Józef Sobiesiak — „Maks”, dowódca polsko-ukraińskiego oddziału partyzanckiego w latach 1942-1943, w swojej książce „Ziemia płonie” wspomina: „Dzień spędziłem w lasach w pobliżu Kostuchówki, gdzie w 1916 r. Piłsudski jako sprzymierzeniec Niemiec bił się z Rosjanami ze swoją legionową Brygadą. Ludzie żyli tu w straszliwej nędzy, w maleńkich lepiankach, w których zamiast szyć kłutwy w otworach okien, baranie pecherze. Jak na ironię wystawiono pośród tych nędznych kurników, wspaniałą murywaną szkołę im. J. Piłsudskiego. Na każdym niemal kroku napotykalismy kamiennie tablice, na których wyrzeźbione były takie np. słowa: „Tutaj w 1916 r. Wódz Polski Marszałek Józef Piłsudski jako brygadiera wydawał rozkazy”. Albo, „W tym miejscu Wódz Polski Marszałek Józef Piłsudski spędził noc na odpoczynku”.

Każdy, kto ma ambicje i rzeczywiście pragnie poznać prawdę o J. Piłsudskim, ma pełne możliwości, by to osiągnąć. Z kultem J. Piłsudskiego istotnie skończono. Ale to inna sprawa. I nie do przyjęcia jest kolejna teza Z.J. Michalskiego, iż „czas najnowszy przyniósł ze sobą odrodzenie kultu J. Piłsudskiego”. Myślę że jest to już w ogóle niemożliwe.

Kultu Piłsudskiego odrzucić już nie można. Właśnie dzięki wyższej świadomości narodu. Można tylko co najwyżej usiłować go odrzucić. I to właśnie miało miejsce w niedawnych czasach.

Trafnie, acz niezbyt czytelnie stwierdza Z. J. Michalski, że przy tym „odrądzaniu kultu”, tak naprawdę to chodziło o jedno. O stosunek Piłsudskiego do Rosji. Ale oczywiście. Czyż nie z Piłsudskiego symbol narodowej chwały, usiłowało wykorzystać jego fizyczna nienawiść do Rosjan, dla rozpetania w zupełnie innych warunkach historycznych antyradzieckich nastrojów.

Tylko, nie dlatego nienawidził Piłsudski Rosjan, że „przyszedł na świat w zaborze rosyjskim”. W tym zaborze, także na Wileńszczyźnie, przyszli na świat Adam Mickiewicz i Feliks Dzierżyński, zachowani we wdzięcznej pamięci Rosjan.

I jeszcze jedno. Ideowi przeciwnicy polskich marksistów starali się zawsze w biografii J. Piłsudskiego sprowadzić wszystko do jego stosunku do Rosji. Tymczasem dla nas Polaków, najistotniejszymi w ocenie jego historycznej roli pozostają: jego koncepcja niepodległościowa, rola w polskim ruchu robotniczym, jego stosunek do demokracji, klas posiadających. Ocena jego polityki wewnętrznej i międzynarodowej w niepodległym państwie, a także, czy może przede wszystkim, ocena jego spuścizny.

Pisze Z. J. Michalski o ostatnich latach XIX w.: „Idee walki wyzwoleńczej zastąpiło hasło pracy organicznej, zakładającej gospodarczą i kulturalną rozwój społeczeństwa”. Następnie przytacza przykłady kolaboracji, by przechodzić już do Piłsudskiego stwierdzać pompatycznie: „Nie wszyscy jednak kapitulowali”. No pewnie, że nie wszyscy. Patriotów było setki, tysiące, jeśli nie miliony. We wszystkich zaborach. Reprezentujących różne warstwy społeczne i niemal wszystkie prądy społeczno-polityczne. Na pewno też nie kapitulowali przywódcy, twórcy hasła pracy od podstaw, jakkolwiek odrzucał awanturnicze hasła walki zbrojnej, za co ich Piłsudski zwał „czarną kolaboracją” i deprecjował narodu.

Przechodząc do „czasów, w których urosła” odnotowuję, że Z. J. Michalski bezkrytycznie powtarza upiększającą wersję piłsudczykowski biografiów, jakoby ojciec Piłsudskiego musiał uchodzić z Kowieńszczyzny przed carskimi prześladowcami. Tak, jakby w sąsiedniej Wileńszczyźnie, prześladowania te nie mogły go osiągnąć. A chodziło oczywiście o to, że Maria Billewiczówna, matka Piłsudskiego otrzymała pokątny posag pod Wilnem. Majątek w Żuławie składał się bowiem nie tylko z dworku, o którym pisze Z. J. Michalski (jakie to swojskie i romantyczne), ale i z dziesięciu tysięcy mórg ziemi, licznych młynów, tartaków i cegielni, a także z fabryki drożdży i terpentyny.

Giermek Piłsudskiego, ostatni premier II Rzeczypospolitej Felicjan Sławoj-Skłodowski w swych „Strzępach meldunków” opisuje, jak Piłsudski wspominał ojca: „Mój ojciec nieboszczyk był wspaniałym, uczonym agronomem. Ale ta-

POLEMIKI

Józef Piłsudski — legenda a rzeczywistość

ki ogromny majątek jak Żuławki, przy końcu Jego życia wyglądał jak Smorgonie po rozstrzelaniu”. Zubrami kresowymi to Piłsudscy i Billewiczowie nie byli. Nie był też jednak Piłsudski hetką pętelką.

Majątek Piłsudskich wykupił w 1882 r. książę Michał Ogiński. W niepodległej Polsce przeznaczono go na poligon wojskowy, a w 1934 r. „wykupił” go od rządu Związek Rewolucyjny, który odbudował dworek. Dla interesujących się biografią Piłsudskiego może wydać się interesujące, że w niepodległej Polsce stał się Piłsudski właścicielem niewielkiego zresztą folwarku Pikieliszki pod Wilnem. A także dworku w Sulejówku (w którym nowe związki zawodowe zamierzali urządzić muzeum).

Był Józef Piłsudski dwukrotnie żonaty. W lipcu 1899 r. z Marią z Koplewskich Juszkiewiczową, dla której musiał przejść na wyznanie ewangelicko-augsburskie i w 1921 r. z Aleksandrą ze Szczerbińskich z którą pozostawał w konkubinacie aż do zgonu pierwszej żony w 1921 r. (wobec jej odmowy zgody na rozwód). Z tego drugiego związku miał dwie córki: Wandę urodzoną w lutym 1918 r. i Jadwigę urodzoną w 1920 r. Na katolicyzm wrócił 27. II. 1916 r. w czasie walk legionowych, gdy poważnie chory leżał we wsi Krasin na Wołyniu (Zofia Nalkowska — „Dzienniki 1918-1929”, cz. 3.).

Cytuje Z. J. Michalski Piłsudskiego, który stwierdza, że nazwał siebie socjalistą już w 1884 r., bo taka była moda, epidemia. No właśnie moda, a nawet epidemia. Wymowne. Ale moda i epidemia szybko przemijają. Pierwsze związki z socjalizmem nie urzekły Piłsudskiego. Biografowie piszą o jakimś mitycznym kółku socjalistycznym, ale zgodnie przyznają, że nie zachowały się żadne ślady.

Nie pociągają także Piłsudskiego próby współdziałania z kółkami socjalistycznymi w Charkowie. Działaczom tych kółek powie twardo: „Róbcie sobie swoją rewolucję, bo zarzę sie Wasza, a nie nasz. Nie utuczcie się polskim proletariatem Wasza rewolucja”. Z działaczy „Ziemli i Woli” pokpiwał: „Ziemie rozdacie chłopom, a co zrobicie z wolą?” (cytaty z „trylogii” Bolechowskiego „Wódz narodu”).

Z Charkowa gdzie ukończył dwa semestry medycyny, nie wyjechał dobrowolnie w związku ze staraniami przeniesienia do Dorpatu, lecz został wydany przez ochrone jako podejrzany (zresztą bezpodstawnie) o udział w rozruchach. Od maja 1886 r. do 22 marca 1887 r. przebywał w Wilnie. Studiów medycznych (ani żadnych innych) już nie podejmował. W niepodległej Polsce na pamięć tych „związków z medycyną” otrzymał tytuł do kłosa medycyny honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Miał też tytuł doktora praw honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, nadany 29 kwietnia 1921 r.

W przygotowywanym spisku na cara Aleksandra III udziału nie brał, ani nawet o nim nie wiedział. Przenocował tylko w styczniu 1887 r. studenta terroryzmu Kanczerę, przy aresztowaniu którego znaleziono jego adres. To wystarczyło.

Z socjalizmem wiąże się nie zaraz po powrocie z Syberii i nie z „uświadomionej potrzeby”. Ruch ten jest mu obcy klasowo i ideowo. Ruch ten był mu potrzebny w tych samych celach, dla których w „ostatnich czasach” usiłował go wykorzystać niektórzy gracze polityczni. Jeszcze w październiku 1892 r. jedzie do Warszawy na rozmowy z Romanem Dmowskim. Nie odpowiada mu jednak ograniczony program autonomii przy Rosji. Szanse związania się z ruchem socjalistycznym i wykorzystania go dla realizacji jego celów, stworzył mu dopiero Zjazd Paryski socjalistów polskich, a następnie rozbiór polskiego ruchu robotniczego na le. m. n. pierwiastków narodowych.

Pierwszym redaktorem i organizatorem „Robotnika” był doświadczony konspirator Jan Stróżecki. Nie Piłsudski, a CKR PPS był wydawcą „Robotnika”. Aresztowano Piłsudskiego przy opracowywaniu 36, a nie 96 numeru „Robotnika”. Nie stanowi dowodu czy przykładu związania się Piłsudskiego z interesami klasy robotniczej, cytowana przez Z. J. Michalskiego, okoliczność: a-Majowa (z 1895 r.), odezwa CKR PPS, nawet jeśli była przez niego pisana. W publicystyce Piłsudskiego z latnych czasów na próżno by szukać przykładów uświadamiania klasowego robotników, zbliżania ich do ideologii Karla Marksa czy krzewienia internacjonalizmu proletariackiego. Carat, niewola carska, Moskale. To dominuje absolutnie.

Dlatego swój talent publicystyczny poświęcił wyłącznie rozważaniom: „Jak tu wythumaczyć robotnikowi polskiemu wyznacznemu Marksa, że Róża Luksemburg jest wrogiem Polski, że niepodległość Polski, choć obrazi Różę, musi być jego celem” (tenże Bolechowski — „Wódz Narodu”).

Dlatego według Piłsudskiego „niepodległość Polski jest warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce”. A narodowe powstanie zbrojne miało zastąpić rewolucję proletariacką. Zanim się jeszcze związał z „Robotnikiem”, przekazał „Przedświtowi” artykuł pt.: „Stosunek do rewolucjonistów rosyjskich”, w którym siał nieufność do robotników rosyjskich i zwał ich internacjonalizm proletariacki, pisząc: „...nawet w szeregach rewolucyjnych Rosji nie mamy do tej pory szczerych przyjaciół”. A w Jednoludności „Rosja” w okresie czasowego zawieszenia „Robotnika” (w 1895 r.) znajdujemy takie perelki: „Klasa robotnicza Rosji nie jest proletariacką”, „Ludzie się nie możemy i musimy uznać, że utworzenie silnej partii robotniczej przy obecnych warunkach ekonomiczno-politycznych w Rosji, jest niemożliwym i długim takim postrękiem”.

W artykule „Na posterunku” „Robotnik” nr 7 pisał: „Rola historyczną socjalizmu w Polsce jest rola obrońcy Zachodu (W 1895 r. — przyp. RK) od zaborczego i reakcyjnego caratu. Socjalizm w Polsce jest najdalej wysuniętą placówką”. Nienawidził do caratu i Rosji przysłała mu wszystko. To ona spowodowała w maju 1904 r. bez wiedzy i zgody CKR, wstępnych i kontaktach z ambasadorami Japonii w Berlinie i Londynie, jego wyjazd do Tokio, dla zaferowania tam usług mitycznej organizacji podziemnej. To ona, wbrew uchwale VII Zjazdu PPS odrzucającej jego koncepcję powstania zbrojnego, doprowadziła do rozbudowy Organizacji Bojowej i postawienia jej ponad partię. A następnie jeszcze przed IX Zjazdem w listopadzie 1906 r., na którym dokonał się rozbiór PPS, do pierwszych kontaktów (udokumentowanych w nauce) z wywiadem austriackim.

Od zbudowania Organizacji Bojowej, przekształconej w 1908 r. przez jego podkomendnych, w Koła Milievine, Związek Walki Czynnej i Drzazg Strzeleckie działające legalnie, partia nie jest mu już

potrzebna. Jakkolwiek dopiero w 1912 r., dowodzona przez niego Rada Oficerska stwierdza w swej uchwale: „Jesteśmy wojskiem. Służymy tylko Narodowi i uciemiężonej Ojczyźnie, a nie partyjnym interesom”, to faktycznie już w 1908 r., gdy stworzył swe upragnione „wojsko”, partia przestała być mu potrzebna, mimo, że z nią jeszcze nie zrywał. Już wtedy właściwie „wyśiadł” z czerwonego tramwaju.

Cytowany przez Z. J. Michalskiego artykuł z 1910 r. pt. „Zadania polityczne rewolucji w zaborze rosyjskim” dowodzi, że swój program niepodległościowy ograniczał do zaboru rosyjskiego. Dał temu wyraz we wrześniu 1915 r. w liście do Prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego Jaworowskiego, w którym pisał: „Na wstępie zaznaczam od razu, że politycznym celem wojny, który sobie od początku stawiałem, było i jest jak dotąd zlanie się Galicji i Królestwa w składzie monarchii Austro-Węgierskiej. Nie sadziłem i nadal nie sadzę, by można było w tej wojnie uzys-

kać lepsze warunki dla Polski”. Sekundował mu najbliższy przyjaciel i ideolog Jodko-Narkiewicz, który pisał: „Zadaniem polityki nie oczekuje na serlo wyrzeczenia się przez zwycięskie Niemcy lub Prusy części ich posiadłości na rzecz niepodległej Polski, a w każdym razie nikt tego nie będzie żądał” (Polska a Niemcy. Żurich 1915 r.).

Taka była myśl polityczna J. Piłsudskiego od 1906 do 1917 r. i jej wyznacznikiem jest to, co wtedy głosił w swych pismach, mowach i rozkazach, a nie co o tym mówił, w cytowanym przez Z. J. Michalskiego wywiadzie udzielonym ppłk. Laudafskiemu w 1924 r. I to nie dlatego, by ktokolwiek odmawiał mu patriotyzmu. Był po prostu trzeźwym, realnym politykiem. Losów wojny i upadku wszystkich trzech monarchii nikt wtedy, włącznie z Leninem, nie przewidział.

Stosunek Piłsudskiego i I Brygady do niepodległości Polski oddaje najlepiej pieśń żołnierska cytowana w wydanej po jego śmierci w 1935 r. ilustrowanej książce poświęconej jego pamięci:

„Gdy skończym z Nikołą, pójdziem na Wilhelma Odbić Wielkopolskę Co ja dawał szelma Co zrobimy z trzecim Djabłom u tym wędzaju Może nam przelotne Jaskółki powiedzą”.

Nie skończyli z Nikołą, gdy poszli do (a nie na) Wilhelma. Nie wiedzieli ci młodzi, wspaniali patriotki, jak pobie wszystkich trzech zaborców. Nie powiedział im tego Piłsudski, bo sam nie wiedział. Legiony Polskie w okresie ich największego rozkwitu liczyły 16 tysięcy żołnierzy, a armie każdego z państw zaborczych po kilka milionów doskonale wyposażonych i wyszkolonych żołnierzy.

W cytowanym już wywiadzie udzielonym przez J. Piłsudskiego w 1924 r. ppłk Laudafskiemu stwierdził on „Nie robiłem żadnych przypuszczeń, czy ci, czy tamci zwyciężą. Byłem przekonany, że jedni i drudzy ostatecznie, a my na tym skorzystają możemy”. Nie wyjaśnia to zresztą, dlaczego pomagał państwu centralnym, osłabianiu których oczekiwał. Wymaga przynajmniej zasygnalizowania, że „Rząd Narodowy” i „Jego” „odezwa” do narodu z 3 sierpnia 1914 r., to wielka mistyfikacja Piłsudskiego.

Pisze Z. J. Michalski o Piłsudskim, że: „był to człowiek, który po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci wyprzedził regularne wojsko polskie na biwetone szlaki wielkiej wojny”.

Śluchająca jego rozkazu w dniu 6 sierpnia i wyruszająca do Kongresówki I Kompania Kadrowa składała się ze 150 strzelców. Do 13 sierpnia zdołał Piłsudski zgromadzić 3 tysiące strzelców i sformować 5 batalionów piechoty i 100-osobowy szwadron kawalerzystów. Już tego dnia Austriacy zawiadzeni nieudaną akcją Piłsudskiego w Królestwie (licząc na zmobilizowanie co najmniej 50 tysięcy ochotników), postawili mu ultimatum, w którym żądali, aby strzelcy włożyli żółto-czarne opaski i stali się oddziałem austriackiego pospolitego ruszenia, gro-

ząc rozwiązaniem oddziału. Uratował Piłsudskiego Naczelny Komitet Narodowy, który uzyskał zgodę na organizację Legionów Polskich, ale pod austriacką komendą i z przysięgą na wierność i posłuszeństwo „...Jego Apostolskiej Mości, Naszemu Monarsze i Panu Franciszkowi Józefowi I, z Bożej Łaski Cesarzowi Austrii, Królowi Czech, Królowi Apostolskiemu Węgier, Królowi Polskiemu...”, bez sztandarów, orzekłów, stopni i dystynkcji wojskowych.

W Legionach Polskich dotychczasowy „Komendant Główny Polskich Sił Wojskowych”, jak się dotąd określał J. Piłsudski, przyjął z rąk Austriaków funkcję Komendanta 1 pułku w Legionie Zachodnim. Nigdy nie był Piłsudski mianowany pułkownikiem ani przez Austriaków, ani później przez Niemców. Jego pierwszym stopniem wojskowym był stopień Marszałka Polski, nadany mu przez Sejm w marcu 1920 r. Nigdy też nie był Piłsudski Komendantem Legionów Polskich, jak się to pow-

tarza w legendzie. (Komendantami Legionów byli kolejno: gen. Baczyński, gen. Trzaska-Durski, gen. Puchalski, ppłk Szeptycki).

5 września 1914 r. złożył Piłsudski wraz ze swym 1 pułkiem przysięgę i do 26 września 1916 r. walczył u boku i w składzie armii Franciszka Józefa. Jak to pogodzić z tezą Z. J. Michalskiego, że: „po mianowaniu go pułkownikiem, a następnie brygadierem, podjął polityczną walkę z Austrią”?

Dymisja Piłsudskiego we wrześniu 1916 r. była wynikiem przedłużających się intryg z Naczelnym Komitetem Narodowym i austriacką Komendą Legionów, a przede wszystkim wynikiem zmiany orientacji, z austriackiej na pruską.

Niezgodna z rzeczywistością jest wersja o orzekomym wstrzymaniu przez J. Piłsudskiego w sierpniu 1915 r. wbrew woli Naczelnego „Komitetu Narodowego, zaciągu do Legionów. W istocie bowiem ten ochotniczy zaciąg nie powiódł się wobec nieufności świeżo „wyzwolonych” Królewaków, do państw centralnych i sprzymierzonych z nimi Naczelnego Komitetu Narodowego, w imieniu którego działał Piłsudski, a także dlatego, że już wcześniej zmobilizował 300 tysięcy Królewaków do swej armii.

Na manifest dwóch Cesarzy z 5 listopada 1916 r. Józef Piłsudski zareagował natychmiast listem z tegoż dnia do Edwarda Rydza-Smigłego, w którym entuzjastycznie ocenia manifest i rozkazuje oficerom I Brygady wycofanie dymisji.

Pisze Z. J. Michalski: „Wybuch rewolucji lutowej 1917 r. uświadomił Piłsudskiemu, że Rosja przestała zagrażać, a na placu boju pozostały dwa mocarstwa centralne” oraz, że Piłsudski znalazł się nie w nej sytuacji”.

Piłsudski znalazł się nie w trudnej, ale tragicznej, kompromitującej go, jako polityka sytuacji. Runęła cała jego koncepcja niepodległościowa, obliczona na współdziałanie z Austro-Węgrami i Prusami. Pozostał na placu boju bez wroga. W sojuszu z wrogami Polski. I jeszcze jedno. Uświadomił to sobie Piłsudski nie od razu. Doszedł do tego wniosku co najmniej po 2 lipca 1917 r., gdyż jeszcze w tym dniu w przemówieniu na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu mówił: „Akt 5 listopada ma realniejszy charakter niż inne oświadczenia w sprawie polskiej, ponieważ jest pisany na ziemi, a nie na obłokach”.

Tak, jeszcze 2 lipca 1917 r., oceniał Piłsudski przedzie prezydenta Wilsona z 22 stycznia 1917 r. stwierdzając, że w wyniku wojny musi powstać Polska zjednoczona, samodzielną i niepodległą. (Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny przeciwko państwu centralnym 6 kwietnia 1917 r.). Tak oceniał Piłsudski w dniu 2 lipca 1917 r. deklarację Rządu Tymczasowego Rosji z 30 marca 1917 r. w sprawie niepodległości Polski. Tak wreszcie ocenił w tym dniu oredzie Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 marca 1917 r., w którym proklamowano

„prawo Polski do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym”.

Dopiero w lipcu 1917 r. dociera do Piłsudskiego wiadomość z dalekiego Piotrogradu, że obradujący tam od 8 czerwca 1917 r. Zjazd Wojskowi Polaków z armii rosyjskiej wybiera go Honorowym Przewodniczącym Zjazdu. (W armii carskiej, przeciwko której walczyli Legiony i I Brygada Piłsudskiego, zmobilizowanych było 300 tysięcy Polaków, w tym 50 generałów pochodzenia polskiego). W niepodległej Polsce na Zjeździe byłych Wojskowych Polaków z armii rosyjskiej, w dniu 2 sierpnia 1921 r., złożył im za tamten wybór podziękowanie.

W sierpniu 1914 r. po powrocie pierwszej kadrowej z Królestwa ratuje go i przygarnia Naczelny Komitet Narodowy. Teraz ratują go Polacy z armii rosyjskiej (o tym właśnie myślał, cytowany w pierwszej części cyklu prof. Konstanty Gryniewiczowski, „Szedł od kłeski do kłeski, każda kłeska była równocześnie jego zwycięstwem”). Zagrał jak pokerzysta. Wykorzystał pretekst przysięgi. Został internowany, ale zwyciężył, bo wrócił w glorię chwały, jako męczennik sprawy polskiej (w dodatku, jako rzekomy socjalista).

I jeszcze jeden mit, o Polskiej Organizacji Wojskowej. POW nie powstała w pierwszym tygodniu wojny, lecz została założona jesienią 1914 r. przez oficera Związku Strzeleckiego A. Kocę, którego wybuch wojny zastał w Warszawie. J. Piłsudski w wywiadzie udzielonym ppłk. Laudafskiemu twierdził wbrew oczywistym faktom, że to on sam stworzył POW, gdy leżał chory w Otwocku (we wrześniu 1915 r.). Wydawcy Pism Zbiorowych J. Piłsudskiego twierdzą, że nie znał on szczegółów założenia POW.

Pisze Z. J. Michalski, że po internowaniu Piłsudskiego: „...w Warszawie coraz bardziej uaktywniała się POW. Szykowano się do generalnego uderzenia na jesieni 1918 r. zakładając, że wtedy właśnie nastąpi zakończenie wojny”.

Tak o tym mówił sam Piłsudski w 1924 r. ppłk Laudafskiemu. A jak wyglądają fakty?

Już 16 stycznia 1917 r. ówczesny Komendant POW T. Kasprzycki ofiarował Tymczasowej Radzie Stanu: „...Krew POW do rozporządzenia”.

Polska Organizacja Wojskowa wraz z Polskim Korpusem Posiłkowym, w który 20 września 1916 r. przekształcono Legiony i który przekazano 10 kwietnia 1917 r. Niemcom, stanowiła załogę Polnische Wehrmacht. Po „krzyżysie” przysięgowym w lipcu 1917 r. powiacy podzielili los legionistów, tj. zostali internowani lub wysłani na front.

Nie uderzyli więc w dniu 11 listopada 1917 r. bojówki POW na niemiecki garnizon w Warszawie, bo nie miały na to ani sił, ani możliwości. Rozbrajano tylko zdemoralizowanych dezertorów, którzy oddawali broń komukolwiek i wracali do kraju wobec zakończenia wojny i wybuchu rewolucji w Niemczech. Już rano 11 listopada 1918 roku, Piłsudski wziął udział w zebraniu niemieckiej Rady Żołnierskiej, na której wezwał żołnierzy do absolutnego posłuchu wobec nowego rządu berlińskiego, powrotu do Heimat i oraz: „nie sprzedawania karabinów ręcznych i maszynowych na peryferiach miasta metom społecznym” (Dziela już w Warszawie Rada Delegatów Robotniczych, formowała właśnie Czerwona Gwardia). Po wyjściu z Rady Żołnierskiej, Piłsudski zakomunikuje: „W imieniu narodu polskiego wziętem Rade pod swoją opiekę, ani jednemu z nich nie śmie stać się krzywdą”. 12 listopada 1918 r. wyda w tej sprawie odezwę do ludności zakazując ekscesów.

Mit o rozbrajaniu i „uderzeniu na garnizon”, przysłał jednak do legendy. Mniej znane potonym są natomiast niemieckie pogromy w Międzyrzeczu Podlaskim i Białej Podlaskiej, gdzie upojeni wólnością Polacy usiłovali ich rozbrajać. Mniej znane są także, inne wydarzenia w Warszawie w dniu 11 listopada 1918 r., jak np. zdemolowanie przez bojówki POW lokalu redakcji „Naszej Trybuny”, organu SDKPiL, czy też aresztowanie w tymże dniu Marcelo Nowotki bądź zawieszenie na Zamku Królewskim czerwonego sztandaru. Szkoda, że Z. J. Michalski nie podjął także tego waku.

**Dokończenie
na stronie 7**

Józef Piłsudski—legenda a rzeczywistość

Dokończenie ze strony 6

Nie udzielił Józef Piłsudski pomocy walczącej Wielkopolsce, a następnie krwawemu w powstaniach Śląskowi. Nie interesuje go Gdańsk, Pomorze, Warmia i Mazury. Pozostanie głuchy na wołania znacznej części narodu, w tym i endecji, która optowała za jednolitym narodowo państwem. S. Cat-Mackiewicz pisał: „Na wschodzie nie byliśmy nigdy narodem chłopów czy robotników kopalnianych, lecz narodem panów”. (Inaczej było na zachodzie, gdzie panami byli Niemcy).

Pozostał głuchy Józef Piłsudski na słowa pisane z gorczy i zadziwiającą intuicją w czasie wyprawy kijowskiej, przez Stefana Żeromskiego (który od 5 września 1914 r. zwalczał niepodległościowe koncepcje Piłsudskiego, a o którym i Z. J. Michalski zapomnieli): „Jakże śmiech pomyśleć, że nie zdobywszy jeszcze granic zachodu i północy, takie ziemie mając zajęte i wyszarpane przez Niemców w ich niebezpiecznym zabieganiu — my krwią bohaterów naszych rycerzy zlewamy teraz przyczółki mostowe na Dnieprze i zdobywamy rzekę Sośnę! W pogardzie ma Polskę cały świat robotniczy Zachodu. Wdaliśmy się w siepaniny z Moskwą, zaniebując zachód i morze. Polska runęła

w przepaść zaniechawszy zachód i morze”.

„Jest faktem niezaprzeczone, że ta Moskwa dzisiejsza słożyła uroczystą deklarację niepodległości Polski” podczas gdy „panowanie Niemiec nad nami grozi nam na każdym kroku. Błada nam po tysiącokroć, jeżeli w tej straszliwej godzinie nie okazemy się narodem świadomym swego celu i sensu swego życia, w tej godzinie, kiedy ma się zdecydować los pokoleń przyszłych! Błada nam po tysiącokroć, jeżeli teraz opuścimy Mazurów i zaprzędamy w niemieckie niewole braci spod Kwidzyna i Sztumu — jeżeli teraz nie zdołamy ławy, Kwidzyna, Malborka.”

Interesuje Piłsudskiego wyłącznie, jak szeroko uda się otworzyć drzwi na Wschód. Wrogiem jest Rosja, a nie Niemcy. Na wschodzie, w polskich biotach budowano fortyfikacje, których w 1939 r. zabrakło na zachodzie. Wiara Piłsudskiego w przymierze z Niemcami spowodowała, że dopiero po jego śmierci, w 1935 r. Edward Rydz-Śmigły zlecił Sztabowi Głównemu opracowanie studium „Niemcy” na wypadek wojny z nimi.

Usiłuje Z. J. Michalski znaleźć odpowiedź na pytanie o wiarygodność legendy Piłsudskiego. Otóż żadnej legendy nie można uwierzyć. Można ją tylko obalić. Legenda bowiem jest z natury swej niegodna wiary. Nie jest pewna, rzetelna.

Jest ona zaprzeczeniem prawdy, gdyż polega na przekształcaniu, czy jak kto woli, fałszowaniu faktów. To jest zdarzenie prawdziwych, które rzeczywiście miały miejsce i zastępowaniu ich wyobrażeniami.

Jeśli tak, to czy warto zajmować się legendą? Ujawniamy fakty, zdarzenia udokumentowane i upowszechniamy je. Wtedy legenda przestaje być instrumentem rozgrywek politycznych. I nie tworzymy legend w polityce.

Co się zaś tyczy odpowiedzi na pytanie, kim był Piłsudski, bohaterem narodowym czy wrogiem ludu, to istotnie nie tak postawione pytanie jednoznacznie odpowiedzieć nie można. Nie mówiąc o tym, że ma swoich bohaterów narodowych prawica i ma ich też lewica. Pokazujemy więc J. Piłsudskiego takim, jakim był naprawdę, a nie takim za jakiego sam chciał uchodzić. Przedstawiamy rzetelnie jego myśli i czyny. A nade wszystko szukamy odpowiedzi na pytania, co politycznego, względnie szkodliwego zrobił dla kraju i narodu.

Legenda Piłsudskiego konstruowana długo i intensywnie. Legenda ta jeszcze żyje, bo miał Piłsudski ten dar, że wiedział kiedy odejść. Jego ostatnia, największa klęska — śmierć, znów okazała się jego zwycięstwem.

Żyje, bo umarł. A gdyby do czekał Września?

**RYSZARD
KAŹMIERAK**

NAUCZYCIEL, TOLERANCJA I AUTORYTET

— Podświadomie młodzież oczekuje od nas konsekwencji. Wspominać szczególnie tych nauczycieli, którzy w swoim postępowaniu byli konsekwentni. Oni nie mówili o partnerstwie, nie deklarowali go, oni byli dla nas partnerami. I potrafili do końca realizować to, co zaproponowali. Dla mnie jednak partnerstwo zawiera w sobie pewne niebezpieczeństwo. Może ujawnić słabą stronę nauczyciela, a wtedy grozi niebezpieczeństwo utraty autorytetu.

— Jeśli nauczyciel okaże czasem słabość, to go tylko uczłowiecza. A młodzież oczekuje od nas, abyśmy byli też ludźmi.

— Nauczyciel nie powinien zapominać o tolerancji. Oczywiście tolerancja musi mieć swoje granice. Uczeń powinien wiedzieć, że są sprawy, w których tolerancja jest absolutnie szkodliwa, ale są i takie, kiedy jest niezbędna. Nadmierna tolerancja również nie podoba się młodzieży. Trzeba więc wyczuwać te granice. Zawód nauczyciela musi opierać się na intuicji. Wiele się mówi o talencie pedagogicznym, ale nie wiem, czy potrafilibyśmy zdefiniować, co to jest talent pedagogiczny. Myślę, że to właśnie jest intuicja. Lekarz ma aparaturę, która mu pomaga w diagnozie. A co my mamy? Intuicję, rozsadek, człowieczeństwo, wrażliwość. Nazwijmy to narzędziami nauczyciela. Czy jest możliwe skupienie tych narzędzi w jednym reku? Nie, bo to byłby ideał. Ilu może być takich ideałów? Nasi maturzyści powołują się na pisarzy, którzy dobrze wspominali swoich nauczycieli. Czy wtedy nie było nauczycieli rzemieślników? Byli. W pamięci zachowali się ci najlepsi. Czy takich dziś nie ma? Są. My przecież pracujemy na żywym młodym organizmie, który staramy się ukształtować. Tu trudno trafić — jak to się mówi — w dziesiątkę, za spokojnie wszystkie oczekiwania, bo dysponujemy tylko tym, co mamy w sobie.

— Owi pisarze, o których mówi młodzież, Melchior Wańkowicz, Jan Parandowski, Kornel Makuszyński, pisali swoje wspomnienia już w wieku dojrzałym, kiedy patrzyli na szkołę z perspektywy czasu, to stępiła kontury, daje inne spojrzenie, wyostre obraz, ale zaciemnia go.

— Na lekcji propedeutyki nauki o społeczeństwie, który to przedmiot na ogół przydaje się historykom, kiedy już w społeczeństwie zaczęły do głosu dochodzić emocje, zasypano mnie zarzutami. Lekcja dotyczyła naszego życia gospodarczego. Była to klasa czwarta. — Gdzie jest mój? — zapytała mnie klasa. — Gdzie są meble? — zapytałam klasę. Oni znowu, gdzie? A ja im, gdzie tamto? Wreszcie nie wytrzymałam i powiedziałam: — słuchajcie, zdaje się, że my niepotrzebnie się trudzimy, ani wy, ani ja, ani was nie mogę obwiniać za takie czy inne decyzje gospodarcze. I to był ten moment, kiedy zyskaliście wzajemne zaufanie. I to chyba było już partnerstwo. Sądzę, że młodzież obdarzyła mnie zaufaniem, dzieliła się ze mną swoją wiedzą, spostrzeżeniami, odczuciami. Jaką mi rolę pozostawiła? Systematyzowania wiadomości, kierunkowania wiedzy, oczywiście w oparciu o program nauczania. Młodzież odczuwa niedosyt wiedzy na tematy życia społecznego. Tu nam z pomocą przychodzi nowy program propedeutyki nauki o społeczeństwie. Daje on nauczycielowi możliwość wprowadzenia propedeutyki filozofii, socjologii, wprowadzenia pewnych pojęć i ujęcia kultury politycznej w dyskusjach. Daje więc młodzieży możliwość przygotowywania pewnych tematów w oparciu o wskazane lektury, mogą wyjść poza te wskazania, pod warunkiem, że sięgną do lektury prac naukowych, rzetelnych. Mogą wyrażać swoje poglądy, ale bez krzyku, atmosfery wiecu, propagandy. Staramy się eliminować z lekcji język propagandy. Staramy się wspólnie kształtować przekonania, że szkoła jest miejscem zdobywania wiedzy, ale nie tylko nauczyciel jest za nią odpowiedzialny. Musi to być wspólny wysiłek ucznia i nauczyciela. I nie tylko! Wiedza jest bowiem rozległa, wiele jest spraw skomplikowanych i trzeba wspólnie dochodzić do ich zrozumienia. Dotyczy to i historii. Trzeba było włożyć wiele wysiłku, aby uczniowie nie szeptali po kątach, ale mieli zaufanie mówić o różnych sprawach z naszej przeszłości z nauczycielem. Cenię sobie te rozmowy z młodzieżą, mogę jej wyjaśniać różne sprawy zgodnie ze stanem moich kwalifikacji, stanem wiedzy. A historycy nie jest w łatwej sytuacji. Mamy zbiory szkolne, własne biblioteki, możemy korzystać z innych bibliotek. Ale brakuje syntetycznych opracowań, rzetelnych, na właściwym poziomie.

— W podobnej sytuacji jest i polonista. Dziś, przy cenach książek i czasopiśmie stajemy się odcięci od tego, co dzieje się w nauce, kulturze, a nauczyciel musi to śledzić, musi dużo czytać, jeśli chce odpowiadać uczniom na wiele ich pytań.

— No, dobrze, jeśli jest tak dobrze, to skąd ta gorzka w wypowiedziach maturzystów o szkole i nauczycielach?

— Oni powiedzieli, że nie wszyscy nauczyciele są jednakowi. A dla mnie to dużo.

— Czy rzeczywiście padły już wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi zostały udzielone?

— Młodzież interesuje się życiem politycznym. Jest poszukująca, ale i kategoriyczna. Pytają: — jaka jest gwarancja, że nie powtórza się te same błędy? I na to pytanie trudno mi odpowiedzieć.

— Pytania padły już chyba wszystkie. Odpowiedzi tylko mogą być niejednoznaczne.

— A czy nauczyciel nie może się przynajmniej, że nie jest w stanie odpowiedzieć na to, czy inne pytanie? I wyjaśnić, dlaczego nie jest w stanie.

— Może. Może powiedział: — słuchajcie, ja nie wiem, ja wam dzisiaj nie potrafię odpowiedzieć, ale dajcie mi trochę czasu, pomyślę, albo zaproszę kogoś bardziej w tej sprawie kompetentnego, kto wam na to odpowie. I taki nauczyciel będzie miał autorytet. Młodzież tego oczekuje od nas. Wcale nie chce, aby nauczyciel zamieniał się w encyklopedię i na wszystko miał gotową odpowiedź.

— Mówimy o autorytecie. Jest takie piękne powiedzenie, nie pamiętam czyje, że trzeba mocno odczuwać, aby innych do czucia pobudzić. Nauczycielem powinien być człowiek, który swoją osobowością, charakterem potrafi przeko-

nać, poruszyć innych. A to nie oznacza, że potrafi na wszystko odpowiedzieć. Nauczyciel musi sobą coś reprezentować, nie tylko wiedzę encyklopedyczną.

— Ja uważam, że nauczyciel musi być w stanie na wszystko odpowiedzieć. Jeśli jest pytanie i nauczyciel nie potrafi na nie sam odpowiedzieć, to musi umieć wskazać źródło, gdzie uczeń znajdzie to odpowiedź. Nie można pozostawić ucznia samemu sobie. Bo jak nie znajdzie odpowiedzi w szkole, to pójdzie szukać jej gdzie indziej. A przecież wiemy, że szczególnie dziś wiele jest problemów spornych, kontrowersyjnych, dyskusyjnych. I ta sytuacja też nie buduje autorytetu nauczyciela. Uczeń w szkole słyszy jedną prawdę, a gdzie indziej — inną. Komu ma wierzyć?

— Ja bym się z tobą nie zgodziła. Dla mnie szkoła nie jest miejscem, gdzie otrzymuje się odpowiedzi, natomiast jest miejscem, gdzie wspólnie formułujemy pytania i wspólnie szukamy na nie odpowiedzi.

— A ja nie jestem taką optymistką. Mam na to przykłady — nie chcę mówić jakie — że uczniowie negują wszystko i wszystkich. To są bardzo gorzkie prawdy.

— Może postawmy takie pytanie: kto to jest nauczyciel i jakie ma cele do spełnienia w szkole? Bezwzględnie powinien to być człowiek, który ma szeroką wiedzę. Czy zawsze ma tę wiedzę wykladać jak papkę? Na pewno nie. Powinien zarażać uczniów bakiem poszukiwania i wyrażania w nich umiejętność wspólne go poszukiwania. Jak będzie się uważał za najmądrzejszego, nigdy nie będzie miał autorytetu. Powinien raczej być czymś w rodzaju dyskretnego dyrygenta, powinien go cechować duży spokój i duża serdeczność w stosunku do uczniów. I powinien być sprawiedliwy w ocenie pracy ucznia. Nie skazywać go z góry na przeciętność.

— To wszystko prawda. Trzeba wychodzić naprzeciw młodzieży, podejmuwać z nią rozmowę, odpowiadać na jej pytania. Ale nie zapominać, że dziś jest to szczególnie trudne. Niewiele ludzi zdobyło się na głębokie przemyślenie tylu spraw aktualnych, trudnych, kontrowersyjnych, których wyjaśnienia oczekuje młodzież. Czy w takiej sytuacji możliwe jest mieć na wszystko gotową odpowiedź?

— Na młodzież oddziałują różne bodźce. Trzy z nich są najważniejsze: dom, otoczenie czyli koledzy i szkoła. To czyni tak trudnym wychowywanie. A w szkole klasy są przeludnione, nie ma czasu na rozmowę z każdym z osobna. Na ogół rozmawiamy z tymi, którzy sprawiają nam kłopoty, albo z tymi, którzy sami chcą porozmawiać. A niezbędny jest kontakt z wszystkimi.

— Panuje przekonanie, że szkoła stawia na przeciętność. Ja bym zapytała: stawia, czy musi się godzić na przeciętność? Szkoła, jeśli chce być szkołą z prawdziwego zdarzenia, musi wychodzić do młodzieży z ogromną różnorodnością propozycji. Bo uczeń często przychodzi do szkoły już z góry urobionym nastawieniem przez dom i tylko czeka na okazję, aby zaatakować. I nawet autorytet nauczyciela nie będzie tu decydujący. Więc trzeba mu do tego ataku nie stwarzać możliwości, właśnie przez tę ilość propozycji. A szkoła ma z tym trudności. Na ogół dobrze ocenia się te szkoły, która wypuściła iluś tam olimpijczyków, którymi później na uczelni, nikt się nie interesuje i którzy wpadają w przeciętność. Czy to nie jest marnowanie wysiłku i zdolności? Czy nie lepiej te energie wykorzystywać właśnie we wzbogaceniu propozycji, z którymi szkoła wychodzi do młodzieży?

CO SZKOŁA, A CO DOM?

— Nauczyciele są bardzo zaniepokojeni tymi wszystkimi zarzutami, jakimi nas się ostatnio obciąża. W takim sposobie myślenia traktuje się szkołę jako coś wyizolowanego ze społeczeństwa. A przecież szkoła jest tysiącem drobnych nici powiązanych ze społeczeństwem, reaguje również na to, co się dzieje w życiu. I tu nie pomoże żaden nauczyciel-artysta, czy inny cudotwórca, jeśli nam nie pomoże rzeczywistość.

— My obserwujemy na przykład bezradność domu, bezradność rodziców. Proszę mnie nie posadzać o metodę spychotechniki. To nie o to chodzi. To jest bardzo smutne zjawisko. Ale przychodzi do nas ludzie, zajmujący poważne stanowiska i niemal płaczą, bo nie mogą sobie poradzić ze swoimi dziećmi. A co dopiero my?

— Takie są skutki, jeśli się zaczyna wychowywać dziecko w wieku 18 lat. Jeśli się nie miało z nim kontaktu od najmłodszych lat.

— To nie są przykłady odoobsonie. Zdarzają się ucieczki z domu. Albo dramaty, jakie młodzi przeżywają, o których czasem nie śni się rodzicom.

— Jeden z uczniów powiedział mi kiedyś: — pani profesor, ja nie chcę być „obsprawnym”, ja chcę mieć matkę i ojca.

— Bo oni oczekują serdeczności. I tę serdeczność powinien dawać im dom. Ale również oczekują jej od nas.

— Myślę, że wypowiedzi maturzystów o szkole trzeba też ocenić w kontekście czasu, w jakim odbyła się dyskusja. I to, że odbyła się tuż przed maturami, też ma swoje znaczenie. Więc nie oceniamy tego surowo. Raczej zastanówmy się, jakie wyciągnąć wnioski.

Dyskusja dobiegła końca. Jeszcze padło kilka gorzkich uwag na temat systemu kształcenia nauczycieli, ale pominęliśmy ten wątek, gdyż jest to osobna sprawa. Ktoś nieśmiało powiedział, że trzeba byłoby też o bazie, ale i to osobny temat, w dyskusji zresztą nie podjęty. Przedstawiliśmy więc dwa różne spojrzenia na szkołę: maturzystów, którzy ją opuszczają i nauczycieli, którzy zostają i będą dalej uczyć. Być może ta dyskusja zapoczątkowana w jednej szkole będzie podjęta w innych. Być może nie wszyscy zgodzą się z prezentowanymi przez nas wypowiedziami. Gdyby zechcieli o tym napisać — chętnie opublikujemy.

**Opracowała:
BOGDA MADEJ**

Szkola 82

Dokończenie ze strony 1

cy. A my chyba realizujemy partnerstwo typu administracyjnego poprzez przydzielanie wychowawcy do klasy, poprzez fakt, że wychowawca posiada dziennik. Nie można więc do tego pojęcia w szkole stosować kryteriów ogólnych. Trudno jest o partnerstwo tam, gdzie się obie strony nie znają dostatecznie. A uczeń z nauczycielem może się lepiej poznać w zasadzie tylko na zajęciach pozalekcyjnych. I dlatego, przede wszystkim tutaj — w moim przekonaniu może być mowa o partnerstwie.

— Czy zgodzicie się ze mną, że obecna młodzież jest bierna? Zamknięta w sobie. Trudna do sprowokowania do udziału w dyskusji. Ale tylko z nauczycielem. We własnym gronie to oni dyskutują, a za bardzo. Czasem, jak widzę taką dyskutującą młodzież, to podchodzę i trochę na siłę włączam się do dyskusji. W tych dyskusjach prezentują na ogół poglądy wyniesione z domu. I to nie dziś. Wiele jeśli my chcemy wychowywać od nowa młodzież w wieku 15 — 16 lat, to niewiele już zdziałamy.

— Nic nie dzieje się bez przyczyny. Oddziaływanie na młodzież nie tylko dom, oddziaływanie to idzie z różnych stron. A my musimy jednak zastanawiać się nad przyczynami.

— Niechęć młodych do zastanych struktur nie jest czymś nowym i nie występuje tylko u nas. U nas natomiast występuje jeszcze kilka przyczyn właściwych naszym warunkom społecznym, politycznym, historycznym. Być może stąd właśnie bierze się ta bierność. Formę karykaturalną przybiera ona na studiach. Uczą się „odtąd dotąd”, chodzą na ćwiczenia, seminary, zdają egzaminy i nic więcej.

— Ja obserwuję dążenie do robienia tylko tego, co im się chce. Mają marzenia być kimś, ale zapracować na to — co to, to nie. I to zjawisko narasta.

— Może mi ktoś potrafi wytłumaczyć, dlaczego na Zachodzie odnoszą sukcesy małe szkoły, gdzie małe grupy uczą się z mistrzem, który jest duchowym przywódcą uczniów, ich moralnym przewodnikiem, ale również dobrym nauczycielem o rzetelnej wiedzy? Tam jest spory luz. My bismy tego nie znaliśmy. My się obawiamy, że za tym pójda zmiany w mentalności, sposobie bycia, zachowaniu, że nam to naruszy dyscyplinę.

— To się wiąże ze sprawą wyboru. U nas tego nie ma. Jeśli w szkole jest angielski, to uczeń — choć nie ma predyspozycji do tego języka — musi się uczyć go do końca. No i pamiętajmy, że u nas są jeszcze dość liczne klasy. Tam, uczeń po dwóch latach może dokonać wyboru zajęć, a u nas dokonuje wyboru klasy od razu. Poza tym, tam, jeśli uczeń nie pracuje systematycznie, to jego sprawa, ale opanować określony materiał musi i musi udowodnić, że to zrobił.

— Ja nie mówię o luzie w nauce. Chodzi mi o pewne objawy zewnętrzne, jak choćby fryzury, stroje...

— U nas też pojawiły się już propozycje,

Wielka Trójka w Teheranie

BOGUSŁAW RAKOWSKI

Konferencja teherańska była pierwszym spotkaniem szefów rządów trzech mocarstw — członków Wielkiej Koalicji i weszła na stałe do historii dyplomacji II wojny światowej. Jej znaczenie, choć może mniejsze niż konferencji w Jałcie i Poczdamie, przekracza jednak chronologiczną cezurę końca wojny; w Teheranie wymieniano poglądy także na temat wizji powojennego świata.

Idea spotkania Wielkiej Trójki zrodziła się z konieczności. Wymaganie najbardziej efektywnego prowadzenia wojny oraz pewne zagadnienia polityczne stworzyły potrzebę nawiazania osobistych kontaktów — przez przywódców koalicji antyfaszystowskiej. Zwykle kanały dyplomatyczne, różne formy współpracy wojennej, a nawet dwustronne rozmowy na szczycie nie mogły zastąpić spotkania w trójkę. Dyskusje na temat miejsca i daty spotkania trwały stosunkowo długo. Marszałek Józef Stalin nie chciał oddalać się od granic państwa radzieckiego, co mogło wynikać z faktu, że sprawował funkcję Naczelnego Wodza walczących wojsk; Roosevelt nie wyrażał zgody na przyjazd do ZSRR. Decyzja zapadła na początku listopada: Teheran 28. XI. — 1. XII. 1943.

W owym czasie sytuacja na frontach zmieniła się coraz wyraźniej na korzyść koalicji. Po wyparciu Niemców i Włochów w maju 1943 roku z Afryki — alianci zachodni wyładowali na Sytylii, a następnie we wrześniu na Półwyspie Apenińskim. Na początku listopada wojska sprzymierzone doszły do linii Gustawa, której kluczowym punktem było Monte Cassino. Droga do Rzymu pozostała jednak zamknięta aż do drugiej połowy maja 1944 roku. Pewne sukcesy odnieśli Amerykanie w walkach na Dalekim Wschodzie: m. in. w maju 1943 r. lądowali na Aleutach, a w czerwcu na Nowej Gwinei. Ale zasadnicze zmiany nastąpiły na froncie radziecko-niemieckim. Po zwycięstwie pod Stalingradem, a następnie w bitwie kurskiej (lipiec — sierpień 1943) — wojska radzieckie przejęły inicjatywę strategiczną. Kolejne uderzenia doprowadziły do wyparcia Niemców z Dniepru i wyzwolenia Kijowa (6 listopada). Zwycięskie operacje Armii Czerwonej oraz fakt, że Związek Radziecki nadal dźwigał główny ciężar wojny umocniły pozycję radzieckiej delegacji na konferencji.

W godzinach popołudniowych 27 listopada 1943 r. wszystkie trzy delegacje znajdowały się już w Teheranie. Okazało się wówczas, że — mimo podjętych środków zapobiegawczych — konferencja nie jest publiczną tajemnicą. Tymu przed lotniskiem i poselstwami, portrety Wielkiej Trójki w oknach wystawowych były tego aż nadto przekonującym dowodem i mocno zirytowały Winstona Churchilla. Mając na uwadze bezpieczeństwo uczestników konferencji — Józef Stalin przesłał F.D. Rooseveltowi zaproszenie do zamieszkania w ambasadzie ZSRR. Poselstwo amerykańskie oddalone było od przedzielonych jedynie ulicą, ambasad radzieckiej i poselstwa brytyjskiego o 3 km. Poruszanie się po zatoczonych ulicach miasta, w którym z łatwością działacze mogli agenci niemieccy, byłoby wyzwaniem losu. W tej sytuacji — zwłaszcza, że prezydent poruszał się jedynie na wózku inwalidzkim, a jego pokoje w ambasadzie sąsiadowały z salą obrad — zaproszenie zostało przyjęte.

Przed otwarciem konferencji doszło do rozmowy Roosevelta ze Stalinem. Obaj mężowie stanu pragnęli nie tylko poznać się osobiście, ale i osiągnąć w wyniku spotkania określone korzyści. Stalin zainteresowany był przede wszystkim otwarciem drugiego frontu. Ku jego zadowoleniu wymiana zdań na ten temat wykazała daleko idącą zbieżność poglądów. Roosevelt oświadczył wprost, że pragnie odciągnąć z frontu wschodniego 30—40 dywizji niemieckich, by w ten sposób dopomóc Armii Radzieckiej. Z kolei prezydent uzyskał poparcie Stalina dla swoich antykolonialnych planów odnoszących się do Francji. Obaj rozmówcy byli zgodni w krytycznej ocenie postawy Francuzów w okresie wojny i zamierzali doprowadzić do likwidacji francuskiego imperium kolonialnego. Nie udało się natomiast prezydentowi poznać stanowiska radzieckiego przywódcy w sprawie Indii, które zdaniem Roosevelta powinny szybko otrzymać niepodległość. Stalin najwyraźniej nie zamierzał stać się sojusznikiem prezydenta w jego rozgrywkach z Churchillem. Nadto jego uwaga skupiona była na sprawie otwarcia drugiego frontu, a lądowanie w północnej Francji musiało nastąpić z terenu Wielkiej Brytanii. Przyjaźnielska atmosfera spotkania, a zwłaszcza zbieżność poglądów w kwestiach strategicznych przyczyniła się niewątpliwie do sukcesu konferencji.

Centralnym zagadnieniem teherańskiego spotkania były problemy wielkiej strategii, a zwłaszcza operacja Overlord (lądowanie w północnej Francji). Poświęcono im w całości pierwsze plenarne posiedzenie trzech delegacji oraz większość następnego. Zgodnie z wcześniejszym ustaleniem konferencji przewodniczył prezydent Stanów Zjednoczonych. On też jako pierwszy wypowiedział się na temat wspomnianych

problemów, podkreślając znaczenie decyzji o utworzeniu drugiego frontu. Inicjatywę w tej ostatniej sprawie natychmiast przejął Stalin. Bardzo zręcznym posunięciem taktycznym z jego strony było potwierdzenie już na wstępie gotowości przyłączenia się ZSRR do wojny na Dalekim Wschodzie. Dodał jednak kategorię, że może to nastąpić dopiero po rozgromieniu Niemiec. W ten sposób utwierdzał delegację amerykańską w przekonaniu o ogromnej wadze decyzji dotyczących drugiego frontu, w tym i terminu jego otwarcia. Swoje stanowisko w kwestii operacji na Zachodzie wyraził Stalin bardzo jasno i dobitnie: 1. Overlord należy uznać za główną operację w roku 1944; 2. Przyjąć termin jej rozpoczęcia; 3. Operacje w basenie Morza Śródziemnego będą mieć charakter pomocniczy.

Propozycje radzieckie zupełnie nie odpowiadały premierowi brytyjskiemu. Wprawdzie z wypowiedzi jego mogło wynikać, że docenia znaczenie operacji Overlord — ale zarazem eksponował różnego rodzaju trudności związane z jej przeprowadzeniem. Wypowiedział się stanowczo przeciwko ustalaniu sztywnego terminu rozpoczęcia operacji Overlord (chodziło o maj 1944 roku), uzależniając go od spełnienia pewnych warunków. Jednocześnie zaproponował przeprowadzenie większych operacji w rejonie Morza Śródziemnego: we Włoszech, południowej Francji i na Bałkanach. Operację bałkańską wiązał z możliwością przystąpienia Turcji do wojny (Roosevelt i Stalin byli w tej kwestii bardzo sceptyczni). Churchill starał się przekonać swoich partnerów, że chodzi mu o to, by wojska sprzymierzone nie pozostały bezczynne w ciągu najbliższych 6 miesięcy oraz by udzielił efektywnej pomocy Armii Radzieckiej jeszcze przed lądowaniem w północnej Francji. Upór z jakim premier brytyjski wracał do operacji na Bałkanach (uderzenie w miękki podbrzusze Europy) zrodził u Rosjan, a także i Amerykanów przekonanie, że Churchill w ogóle jest przeciwny operacji Overlord. Ocena koncepcji i konkretnych planów Churchilla w tej sprawie pozostała nadal przedmiotem sporów w historiografii.

Dyskusja, zwłaszcza w drugim dniu obrad, nabrała ostrości. Kontrowersje dotyczyły zwłaszcza terminu rozpoczęcia operacji Overlord. Churchill z uporem dążył do przesunięcia terminu majowego o 4—6 tygodni i konsekwentnie powracał do operacji na południu Europy. Nastąpił moment krytyczny, w którym omal nie doszło do zerwania konferencji. „Stalin gwałtownie wstał z miejsca — wspomina (tu) delegacji radzieckiej Walentin Bierzieżkow — i zwracając się do Molotowa i Woroszyłowa, powiedział:

— Chodźmy, nie mamy tu co robić. Mamy wiele spraw na froncie...”

Sytuację uratował Roosevelt. Stwierdzając, że zapewne wszyscy są już bardzo głodni zaproponował przerwanie obrad, „by stawić się na obiad, którym nas dziś podejmuje marszałek Stalin...”

Ostatecznie Anglicy musieli ustąpić. Na posiedzeniu Połączonych Komitetu Szefów Sztabów w dniu 30 listopada (stronę amerykańską reprezentowali: gen. G. Marshall, adm. E. King i adm. W. Leahy — brytyjską: gen. A. Brooke, marszałek lotnictwa Ch. Portal i adm. A. Cunningham) Amerykanie przeformulowali swoje stanowisko. Operacja Overlord rozpoczęła się w maju 1944 roku przy wsparciu desantu w południowej Francji. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych w obecności Winstona Churchilla uroczystym tonem zakomunikował Stalinowi tę wiadomość — zapanował podniosły nastrój. Cytowany już Bierzieżkow zanotował:

„Wzruszenie Stalina zdradzała tylko jego niezwykła bledność i głos, który stał się jeszcze bardziej głuchy, gdy pochylał głowę rzekł:

— Jestem zadowolony z tej decyzji...”

Ciągące się od lata 1941 roku dyskusje o otwarciu drugiego frontu przechodziły do historii.

Obok decyzji w sprawie operacji Overlord, tajny dokument, zawierający ustalenia natury militarnej, zobowiązywał uczestników konferencji do: koordynacji działalności sztabów, udzielenia pomocy partyzantom jugosłowiańskim, podjęcia kroków na rzecz przystąpienia Turcji do wojny oraz wypowiedzenia wojny przez Związek Radziecki Bułgarii, gdyby jej wojska dokonały ataku na Turcję.

W Teheranie dyskutowano także na temat wielu zagadnień politycznych — ale była to jedynie wymiana poglądów. Żadnych decyzji nie podjęto. Do najważniejszych kwestii należy zaliczyć problem niemiecki. Roosevelt wysunął propozycję rozbięcia Niemiec na pięć samodzielnych państw z jednoczesnym odłączeniem od Niemiec Zagłębia Ruhry, Zagłębia Saary, Hamburga, Kilonii i oddania ich pod zarządek międzynarodowy. Inną koncepcję rozbięcia Niemiec

przedstawił premier Wielkiej Brytanii. Stalin natomiast, opierając się na doświadczeniach historii, zasadnicze znaczenie przywiązywał do pozabawienia Niemiec politycznych, ekonomicznych i geograficznych warunków do prowadzenia agresywnej polityki. Twierdził, że jeśli nie zostaną podjęte odpowiednie decyzje — Niemcy w ciągu 15—20 lat odbudują swoją potęgę i ponownie zagrożą Europie. Problem niemiecki postanowiono ostatecznie przekazać do dalszych studiów Europejskiej Komisji Doradczej.

Podczas jednego ze spotkań dwustronnych — prezydent Stanów Zjednoczonych usiłował pozyskać Stalina dla swojej koncepcji organizacji międzynarodowej, której celem byłoby utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa w powojennym świecie. Przyjął na siebie rolę chciał odegrać znacznie lepiej, niż prezydent T. W. Wilson ze swoją ideą Ligi Narodów. Kluczową rolę w nowej organizacji miał odgrywać Komitet Czterech Policjantów (USA, ZSRR, Wielka Brytania i Chiny), dysponujący środkami przymusu z militarnymi wyłączeniami. Stalin zgadzał się z samą ideą, ale zarazem wysunął pewne uwagi i wątpliwości. A w ogóle daleki był od angażowania się w szczegółowe dyskusje.

Wśród wielu omawianych w Teheranie zagadnień do najbardziej złożonych należała sprawa polska. Największe zainteresowanie dyskusją oraz osiągnięciem porozumienia w tej kwestii wykazywała strona brytyjska. Roosevelt stał z boku. W rozmowie ze Stalinem oświadczył wprost, że ze względu na czekające go za rok wybory prezydenckie nie będzie mógł podpisywać żadnego porozumienia na temat Polski, by nie utracić głosów Polonii. Dyskusja na oficjalnym posiedzeniu w ostatnim dniu obrad konferencji doprowadziła do wstępnego ustalenia przyszłych granic Polski. Zachodnią granicę stanowić miała linia Odry, wschodnią linia Curzona, choć pewne kontrowersje budził jej południowy odcinek. Ostatecznie Churchill mógł być zadowolony. Nie tylko osiągnięcie porozumienia w sprawie granic — ale zarysowała się także możliwość rokowań pomiędzy rządem radzieckim a polskim rządem emigracyjnym, które od kwietnia 1943 roku nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych. Mogło się wówczas wydawać, że sprawa polska przestanie być czynnikiem osłabiającym spójność Wielkiej Koalicji.

W ogłoszonej po zakończeniu konferencji deklaracji akcentowano przede wszystkim niezłomną wolę osiągnięcia wspólnego zwycięstwa nad państwami faszystowskimi. „Żadna siła na świecie — stwierdzano — nie może nam przeszkodzić w zniszczeniu armii niemieckich... Oczekujemy z ufnością na nadejście dnia, kiedy wszystkie narody świata będą mogły żyć swobodnie, wolne od tyranii, zgodnie z różnorodnymi dążeniami i swym sumieniem”.

Druga deklaracja dotyczyła Iranu — jego południowe rejony były wówczas okupowane przez wojska brytyjskie, a północne przez wojska radzieckie — i zapowiadała przywrócenie temu państwu „całkowitej niezawisłości, suwerenności i integralności terytorialnej”.

Konferencja zakończyła się sukcesem. Podjęte wówczas decyzje przyczyniły się do umocnienia Wielkiej Koalicji i otwierały możliwości do bardziej efektywnego prowadzenia działań militarnych przeciwko Niemcom. Był to przede wszystkim osobisty sukces Józefa Stalina. Zasadnicze cele delegacji radzieckiej zostały przez nią w pełni osiągnięte (Overlord, granice) bez przyjmowania żadnych zobowiązań politycznych na przyszłość. O sukcesie mógł mówić również Roosevelt. Wprawdzie nie udało mu się narzucić Stalinowi amerykańskiej wizji powojennego świata, ale w kilku sprawach ich poglądy nie różniły się w sposób zasadniczy.

Na konferencji ujawniły się również rozbieżności amerykańsko-brytyjskie. Churchill w wielu sprawach był osamotniony, a decyzja w sprawie operacji Overlord oznaczała jego osobistą porażkę. Ten najbardziej dynamiczny do spotkania w Teheranie członek Wielkiej Trójki schodził na drugi plan. W Teheranie zaznaczyła się tendencja, która w pełni ujawniła się po zakończeniu wojny w Europie; decydującą rolę w polityce światowej miały odgrywać dwa mocarstwa: USA i ZSRR.

„Przyszliśmy tu z nadzieją i niezłomnym postanowieniem. Odechaliśmy jako prawdziwi przyjaciele do duszy i w celach”. Te końcowe słowa deklaracji teherańskiej miały świadczyć o trwałości współpracy wielkich mocarstw. Życie dowiodło, jak bardzo zawodne bywały w polityce nawet najbardziej uroczyste zapewnienia.

2x „Teheran 43”

Z filmu „Teheran 43” zamówiliśmy oczywiście recenzję, która miała niejako korespondować z tekstem pomieszczonego obok, pech chciał jednak, że autorka się pochorowała, a nim znalazł się recenzent następny, obraz zszedł już z ekranów łódzkich kin... Nie chcąc wszelako dłużej zwlekać, niejako zastępczo przedstawiamy Czytelnikom opinie „Perspektyw” i „Polityki”.

„Teheran 43” w reż. Aleksandra Ałowa i Wiadimira Naumowa należy do najbardziej spektakularnych osiągnięć kinematografii radzieckiej ostatnich lat — plasze na łamach „Perspektyw” autor skromnie ukryty pod literkami Cz. D.

(...) Widowisko obliczone na masowy odbiór i szeroki oddźwięk społeczny musi mówić o rzeczach ważnych w sposób maksymalnie atrakcyjny i przystępny. Ałow i Naumow zadali o to. Obok Natalii Biełochostikowej i Igora Kostolewskiego, głównych bohaterów tej dwuczęściowej epopei, grają znane zachodnie gwiazdy filmowe m. in. Alain Delon, Curd Jurgens, Claude Jade. Temu samemu celowi służy szpiegowsko-kryminalna konwencja filmu z odpowiednią porcją niespodzianek, morderstw i strzelanin. Niestety natłok wątków i zdarzeń spowodował, że autorzy trochę pogubili się w dramaturgii. Super-utajnione przygotowanie wywiadu niemieckiego do zamachu na Wielką Trójkę od początku są „kontrolowane” przez kontrwywiad radziecki. Po co to pomniejsza napięcie? Podobnie niekonsekwentnie poprowadzony jest wątek najemnego zabójcy, który niezależnie od innych montowanych równoległe zamachów, samodzielnie ma dokonać zabójstwa, gdyby tamte się nie udały. Ten najgłośniejszy i najciekawszy wątek zostaje zawieszony w połowie rozpoczętej już akcji i wyjaśniony w słownej opowieści po trzydziestu latach. Ze zamach się nie udał, to wiemy z historii, ale jak zamachowcy uciekli z matni otoczonej przez radzieckich agentów — nie wiadziliśmy. To błąd w sztuce”.

Od nieco innej strony spogląda na film Zygmunt Kałużyński który w recenzji zamieszczonej na łamach „Polityki” podkreśla, iż mimo udziału zachodnich gwiazd kina „...film jest jak najbardziej radziecki i przy całym swoim zaobaczeniu widowiskowym różni się zasadniczo od podobnej produkcji światowej. Przede wszystkim ma dobitną intencję publicystyczną, aktualną, jako że akcja toczy się dwutorowo w 1943 r. i współcześnie, bo właśnie wtedy na jaw świadczyła, dostarczona przez stale żyjącego zamachowca, który tym sposobem sypie innych, również ciepłe funkcjonujących, i wywołuje brutalną walkę o przejęcie ówch dowodów. Specjaliści od zbrodni politycznych, którzy działali lat temu 40, dzisiaj znowu są na chodzie i postarali się o pomocników młodszych wiekiem, w przeciwnieństwie do optymistycznych finałów podobnych filmów zachodnich, gdzie przestępcy wpadają w ręce władz, w „Teheranie 43” udaje im się uciec. Tym sposobem film ma ostrą wydźwięk przeciwko terroryzmowi, zarówno dawnemu, jak obecnemu, i łączy je, traktując ów współczesny jako „dalszy ciąg” mentalności faszystowskiej. Być może „Teheran 43” jest zamierzony jako polemika z zarzutami występującymi ostatnio na Zachodzie, że ZSRR popiera akcje terrorystyczne”.

Druga różnica w porównaniu z kinem zachodnim to znaczenie, jakie film nadaje związkowi uczuciowemu między oficerem wywiadu radzieckiego oraz tłumaczką przypadkowo umieszczoną w wydarzeniu i która mu pomaga, graną przez Biełochostikową; final jest tragiczny, za sprawą stale działających terrorystów, co znowu ma wymowę ostrzegawczą; rozwiązanie, na które kino komercyjne sobie nie pozwala.

„Teheran 43” jest ciekawy właśnie ze względu na ów odrębny charakter, jaki kino radzieckie nadaje gatunkowi sensacyjnemu, a następnie z powodu informacji o mało u nas znanym epizodzie II wojny; m. in. są tu wplecione w akcję autentyczne zdjęcia kronikarskie spotkania Wielkiej Trójki, które się rzadko ogląda. Dodam, że zasłużona firma Studia Opracowań Filmów wykonała staranny dubbing polski w reżyserii Marii Piotrowskiej”.

Tyle Kałużyński, który — jak widać — wprawdzie nie wpadł w zachwyt, ale coś ciekawego w filmie jednak znalazł.

J. P.



Niezwykle prężna, łódzka delegatura Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego zorganizowała w ub. tygodniu „Dni jazzu i rocka” z udziałem wielu gwiazd, m. in. Zbigniewa Namysłowskiego. Powodzenie ogromne!

Zakończyły się VIII Opolskie Konfrontacje Teatralne. Nagrodę honorową przyznano pamiernie Witoldowi Zatorskiemu za reżyserię „Skiza” Zapolskiej w Teatrze Dramatycznym m. st. Warszawy.

Wyróżniono realizacje następujących teatrów: im. Kochanowskiego w Opolu, Nowego w Poznaniu, im. Bogusławskiego w Kaliszu i wymienionego Dramatycznego w Warszawie.

Na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi odbyła się premiera „Wesela” St. Wyspiańskiego. Reżyserował Maciej Zonon Bordowicz. Scenografia — J. Gorazdowski, opracowanie muzyczne — B. Pawłowski, układ tańca — K. Knoll. W spektaklu uczestniczy cały zespół teatru.

Kronika kulturalna

Powrócił do kiosków „Miesięcznik Literacki”. W numerze m. in. Opowieść o Witkiewiczu i Zakopanem Henryka Worcella, „Pałacowy przewrót w Czung-nan-haju” W. Namysłowskiego. Cena — 80 zł!

Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu organizuje ekspozycję stałą pt. „Armia Poznań 1939”. Otwarcie — 1 września br. Ekspozycja mieści się w Cytadeli Poznańskiej, w pobliżu pomnika Armii Poznań i cmentarza, na którym znajdują się groby uczestników wojny obronnej 1939.

Autorem scenariusza jest doc. dr hab. Karol Olejnik (UAM). Trwa gromadzenie materiałów. Muzeum zwraca się do kombatantów i wszystkich, którzy są w posiadaniu map, fotografii, proporczyków, umundurowania, oznak pułkowych, dokumentów itp. o udostępnienie eksponatów.

Adres: Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. M. Kasprzaka, Stary Rynek 3 (Odwach) 61-772 Poznań.

Na festiwalu fantazji filmowej w Avoriaz (Francja) nagrodę specjalną uzyskał film Piotra Szulkina „Wojna światów”. Również na festiwalu w Oporto (Portugalia) obraz Szulkina uzyskał laur, tym razem główną nagrodę za reżyserię. W najbliższym czasie „Wojna światów” prezentowana będzie w Seattle (USA) na festiwalu filmów muzycznych.

W Bielsku-Białej otwarto X Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek pod hasłem: „Teatr lalek — teatr kultur narodowych”. Uczestniczy w festiwalu 31 teatrów z siedemnastu krajów Europy, Ameryki i Azji. W Okręgowym Muzeum w Bielsku-Białej trwa jednocześnie wystawa pn. „Lalka animowana” ze zbiorów Łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego.

Nowy gmach Filharmonii Łódzkiej stanie przy al. Mickiewicza. W minioną sobotę, w ramach obchodów Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, odbyła się uroczystość przekazania placu, na którym zbudowany zostanie gmach, Społecznemu Komitetowi Budowy Filharmonii.

W czasie wojewódzkiej uroczystości z okazji Dnia Działacza Kultury, która odbyła się w Teatrze Wielkim w Łodzi, udekorowano licznych twórców, artystów i pracowników upowszechniania kultury wysokimi odznaczeniami.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał Tadeusz Gawroński. Krzyż Zasługi otrzymało 14 osób, medale Komisji Edukacji Narodowej 3 osoby, Honorowa Odznaka m. Łodzi 12 osób, a odznaka „Zasłużony Działacz Kultury” 32 osoby.

Stan wojenny a rozrywka czyli na czym tracie?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Pierwszego dnia z wczorajszego dnia jeszcze na refleksję. Ogłoszenie w niedzielę, 13 grudnia ubiegłego roku stanu wojennego na terenie całego kraju, postawiło nas, jego mieszkańców, w sytuacji nie mającej precedensu w powojennej historii Polski. Jakże tragicznie lapidarnie nabrały — napisane kilkanaście lat wcześniej — słowa popularnej piosenki: „Trzynastego wszystko zdarzyć się może”. Sprawa była zbyt poważna, by pozwolić sobie na żarty. To, co się zdarzyło, to, co się działo, sprawiło, że tego dnia nie myśleliśmy nawet o sobie samych — na pierwszym planie były raczej losy Ojczyzny. Refleksja przyszła nieco później, gdy w pełni można było sobie zdać sprawę z nowych, znacznie surowszych warunków życia. Pisałem w poprzednim materiale, że wprowadzenie stanu wojennego sparaliżowało niemal zupełnie działalność na niwie kultury i sztuki. Nas wszystkich, związanych z „branżą estradową” i z niej żyjących nurtowało wcale nie bagatelne pytanie: co dalej? Chodziło w tym pytaniu już nie o ambicje artystyczne, ale po prostu o podstawowe środki do życia, bo wiadomo, że oszczędność i zapasy nie starczy na długo. O ile w przypadku wielu innych zawodów — w pewnym sensie wolnych, ale potwierdzonych etatami — sytuacja była jasna: pensje wypłacano jak za czas urlopu, o tyle u nas, utrzymujących się z tego, co się na co dzień wypracuje, a wczoraj, czy później podejmiemy w postaci gotówki w kasie lub przelewu na konto bankowe, zrobiło się nagle niezbyt wesoło. Nie ma pracy — nie będzie pieniędzy. Oto konkluzja refleksji.

Spróbujmy dokonać pewnego przeglądu rodzimego show-biznesu w półrocznym okresie trwania stanu wojennego. Rzecz jasna, nie będzie to jakaś wnikliwa analiza tego zwaśnionego odradającego się życia kulturalnego kraju, a jedynie kilka uwag na temat tego, co w ciągu minionych sześciu miesięcy się działo w naszej „branży”. Po trosze są to ciekawostki, bo w końcu komu w obecnej sytuacji chciałoby się obserwować całą otoczkę życia estradowego w czasie, gdy kryzys w Polsce odsunął na plan dalszy wszystko, co będąc kulturalną nadbudową było do tej pory w centrum zainteresowania.

Telewizja pozostaje od kilkunastu lat środkiem masowego przekazu o największym chyba zasięgu. Tam właśnie szukamy informacji, ale i... rozrywki. Ekran od pierwszych dni stanu wojennego zmnożony przez wojskowe mundury wydał się widzom niezwykle asceetyczny. Bodaż pierwszym, kto owego pamiętnego niedzielnego dnia pokazał się na małym ekranie był pikt. Janusz Szymbalski, skądinąd sympatyczny i dowcipny kolega, z którym nie dalej niż rok temu odbywaliśmy wspólnie wycieczkowy rejs jachtem po Bałtyku. 13 grudnia na twarzy Janusza odczytującego kolejne komunikaty malowała się troska i powaga. Zresztą trudno się temu dziwić. Ta powaga rzutowała na program telewizyjny przez kilka jeszcze następnych dni. I właściwie wszelka rozrywka telewizyjna serwowana widzom w późniejszym terminie była albo wtórna (przygotowana wcześniej lub emitowana powtórnie), albo pochodziła z ośrodków telewizyjnych krajów demokracji ludowej. Pierwszym programem zrealizowanym dla telewizji w okresie stanu wojennego w zakresie rozrywki (była to oparta na piosenkach forma muzyczna) jest stworzony w Łódzkiem Ośrodku TyP „Fort niepokornych serc” z muzyką Benedykta Konowalskiego i tekstami Zofii Bystrzyckiej i Janusza Przymanowskiego. Nie pokuszę się o recenzję tego widowiska, bo nie chce wchodzić w parady specjalistom od telewizji piszącym w „Odebach”. A poza tym każdy mógł to zobaczyć i ocenić.

Drugim elementem rozrywkowym w Telewizji Polskiej stały się piosenki — fragmenty koncertów Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu. Prezentowano owe wybrane piosenki ostatniej zimy w absolutnym nadmiarze, tak jak teraz pokazuje się bez umiaru śpiewającą Ewę Bem, która tyleż zachwyca słuchaczy, co ich nuży wykonując wszystkie utwory według jednego wzoru i z tą samą manierą.

Polskie Radio w swym programie I (bo innego przecież nie było) niektóre piosenki z Kolobrzegu serwowało już w pierwszych dniach po 13 grudnia. Poza tym przeważała muzyka instrumentalna. Jeżeli zaś chodzi o audycje propagujące nową muzykę rozrywkową, to praktycznie przez kilka miesięcy nie było ich na antenie.

Podobnie sprawa wyglądała z nagraniami piosenek. Przed grudniem 1981 roku studia radiowe były miejscem, gdzie nagrywano najczęściej i najwięcej przebojów trafiających później do szerokiego rzesz słuchaczy. Teraz nagle wszystko się ucieło. Wstrzymano nagrywanie tak piosenek, jak i utworów instrumentalnych. W tej kwestii niewiele uległo zmianie do tej pory.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa z płytami gramofonowymi i kasetami. Na początku stanu wojennego powstała trudność, głównie transportowa, sprawiła, że nowy asortyment nie docierał do sklepów muzycznych. Jednak przyczyną usunięcia i wolna bieżąca roku nie tylko dotarły do rąk klientów zanadto wcześnie, ale też włączono na rynek sporo czekiwanych — zwłaszcza przez młodzież — nowości.

Zgola innego podejścia wymaga sprawa imprez estradowych. Dlaczego? Po prostu tzw. koncerty stanowią podstawę utrzymania prawie połowy „branży estradowej”. Sytuacja, jaka powstała, uderzała w równie mierzcie wykonawców i twórców. Jeżeli podstawa utrzymania artysty estradowego był honoraria za występy, to nagle został on pozbawiony pieniędzy, bo wszystkie imprezy zostały wstrzymane, zawieszono, odwołano. Aby lepiej zrozumieć czelniekom rozmiar estradowo-bezrobocia w pierwszej fazie stanu wojennego przytoczę jeden fakt. Na zebraniu Zarządu Stowarzyszenia Artystycznego w Łodzi, którego jestem członkiem, dowiedziałem się, że w ciągu stycznia agencja Stowarzyszenia zorganizowała...

cztery imprezy. Podczas gdy już w lutym było ich prawie siedemdziesiąt. Jedyną bodaj składanką, która jeszcze w końcu grudnia ubiegłego roku zaczęła jeździć po kraju (wiosną dwukrotnie pokazywano ten program w łódzkiej filharmonii), był „Przeboje Kolobrzegu” z udziałem m.in. Barbary Książkiewicz, Ilony Wiecek, Ireny Woźniackiej, Ryszarda Arlinga, Romana Fronia, Bogumiła Kłodkowskiego, grupy wokalne „Medium” i zespołu muzycznego pod kierunkiem Henryka Zomerskiego. Gdy w ostatnich dniach stycznia wybrałem się do stolicy, okazało się, iż „ruszyli” tam już imprezy z przeznaczeniem dla najmłodszych widzów; w sali kongresowej Pałacu Kultury i Nauki dla dzieci występowali m.in.: Maryla Rodowicz i Andrzej Rosiewicz. Pomimo pewnej stabilizacji, na dobrą sprawę, nawet teraz ilość imprez estradowych jest wyraźnie mniejsza niż przed ogłoszeniem stanu wojennego. Wydawałoby się, że mało kto ma dziś czas na poświęcanie go rozrywce, że oddzielenie wcale nie jest łatwą, że ceny biletów — wysokie, a jednak obserwując frekwencję na organizowanych w ubiegłym miesiącu na terenie Łodzi imprezach stwierdzić muszę jednoznacznie: publiczność i tak nie odwróciła się. A jednak — nie samym chlebem i rekompensatami...

Wszyscy, którzy zapamiętali sens mojego poprzedniego artykułu zamieszczonego na tych łamach, mogą w tej chwili wyobrazić sobie, jakie straty z tytułu ograniczenia ilości koncertów ponoszą aktualnie autorzy i kompozytorzy. Ich utwory nie są przecież wykonywane więc nie zarabiają. Może to nie jest dokładnie tak, bowiem — jak pisałem wcześniej — tantiemy wypłacane są z paromiesięcznym opóźnieniem i jeszcze obecnie wpływają na nasze konta jakieś drobne sumy, ale za dwa, trzy miesiące przyjdzie wbić zęby w ścianę. W Stowarzyszeniu Autorów ZAIKS w Warszawie wstrzymano wypłacanie zaliczek, ograniczono do minimum pożyczki z kasy pożyczkowej, nie bardzo było z czego wypłacić pracownikom biura tzw. „trzydziestą pensję”, być może trzeba będzie zredukować ilość tychże pracowników, jeśli tak dalej pójdzie. „Nie ma laski” — to hasło słychać tam na każdym kroku i jeżeli ktoś w stanie wojennym musi zaciąkać pas, to na pewno członkowie ZAIKS-u. No, może nie wszyscy, ale przede wszystkim ci piszący na estradzie.

Trudną sytuację samofinansującego się ZAIKS-u pogłębił fakt wstrzymania — wraz z wprowadzeniem godzin milicyjnej — działalności rozrywkowej w lokalach gastronomicznych. Odeję zostało w ten sposób jeszcze jedno źródło dochodów i to na długo, bo dopiero od paru dni dobiegają do nas z niektórych lokalów wiadomości, że na powrót zespoły dancingowe. Słyszałem, choć nie sprawdziłem tej wiadomości, że w okresie absolutnego zawieszenia „grania w knajpach” ZAIKS tracił z tego powodu kilkaset tysięcy złotych dziennie. Moje jest w tym trochę przesady, lecz tantiem za ten okres nikt nam nie zwróci.

Osobną sprawą stanowiło zamrożenie wyjazdów zagranicznych polskich muzyków na kontrakty. Zawieszony — podobnie jak i wiele innych tego typu instytucji — w swej działalności PAGART (czyli Polska Agencja Artystyczna) przestał na pewien czas zajmować się eksportem i importem artystów. Zresztą nie wiem, w jakiej mierze działa obecnie, gdyż od pół roku nie otrzymałem wysłanego przedtem co miesiąc biuletynu. Dość powiedzieć, że niejednemu spotkać interesantów gromadzących się zwykle w PAGARCE stał się na pewien czas... baryk w hallu hotelu „Europejskiego” w Warszawie.

Właściwie jedyną chyba placówką związaną z jakąś formą rozrywki, a ściślej mówiąc — z muzyką rozrywkową, działającą bez większych zakłóceń był warszawski oddział Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Tam właśnie redagowane są zeszyty „Śpiewamy i tańczymy” oraz „Synkopy”, tam przygotowuje się zbiorki przebojów i śpiewników. To prawda, że w pierwszych dniach trwania stanu wojennego również PWM przestało pracować, ale już wkrótce zaczęło rozzywać umowy o dzieło i przygotowywać do wydania kolejne fortepianówki. Zasadniczym kłopotem był wówczas brak nowego repertuaru — w nowych numerach „Śpiewamy i tańczymy” przypominały się niejednokrotnie stare piosenki (zupełnie tak samo, jak na antenie Polskiego Radia). Jako ciekawostkę podam, że pierwszym wydawnictwem, na jakie podpisanym PWM-owi zezwolenie w stanie wojennym był zbiorek piosenek... żołnierskich na tegoroczny festiwal kolobrzeński. Zresztą konkurs Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego na piosenkę żołnierską był, jak się wydaje, jedynym jak dotąd w tym roku rozstrzygniętym ogólnopolskim konkursem. Stał też od początku było wiadomo, że Festiwal Piosenki Żołnierskiej również tym razem odbędzie się. Nie było tylko pewności co do terminu. W międzyczasie odbyła się jeszcze jednak impreza o zasięgu ogólnopolskim poprzedzona wojewódzkimi i regionalnymi eliminacjami — VI Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki. W poprzednich latach finał przeglądu odbywał się w Toruniu; w tym roku z młodymi piosenkarzami i zespołami przyszło nam spotkać się w połowie kwietnia we Wrocławiu.

Mówiąc dzisiaj o imprezach festiwalowych — wiemy już znacznie więcej. Łada dzień rozpocznie się w Zielonej Górze mający już też wieloletnią tradycję Festiwal Piosenki Radzieckiej. „Kolobrzeg 82” ma wyznaczony termin w trzecim tygodniu lipca. Festiwalu sopockiego — nie będzie. Zaś, jak dochodzą miłe słuchy w końcu sierpnia — a więc w okresie odbywania się w poprzednich latach festiwalu sopockiego — ma zostać zorganizowany kolejny Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. Podobno wiodącą rolę w przygotowaniu tegorocznego „Opola” ma odegrać ZAKR. Co to takiego? Skróć — Związek Polskich Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych. Ale na ten temat może już przy następnej okazji.

Uroda materiału i wdzięku przedmiotu. Tyle najkrócej da się powiedzieć o udostępnionych zwiedzającym zbiorach ubioru i galanterii z lat 1800—1939, a zgromadzonych przez Centralne Muzeum Włókiennictwa.

Właśnie dla uroku koronek, zwiewności jedwabów i kokieteryjnego wdzięku różnorodnych drobiazgów uświetniających ubiory naszych ciekawych niedawnych przodków, a raczej przodków, warto do niewielkiej sali w Muzeum zawędrować. Obyczaj jawi się z tej kolekcji raczej bez troski, nawet kryzysy dwudziestolecia międzywojennego jakby nie bardzo się na zgromadzonych fatalaszkach odbiły. Nie da się ukryć, że pokazano jedynie część zawartości starych szaf, tę część, która przeznaczona była na bardziej uroczyste okazje. Nie jest to zarzutom wobec wystawy. Odzież codzienna używała się szybciej, a że jeszcze była przerabiana w nieskończoność, praktycznie nie miała szans przetrwania do naszych czasów. Pogodźmy się więc z tym niedostatkiem i dajmy się poprowadzić kustoszowi Muzeum i jednocześnie twórcy tej wystawy — Andrzejowi Urbanowskiemu — przez tajemnice toalet wielkiego świata.

Zaczynamy od sukni balowej z okresu „nagiej mody”. Polki nosiły do tego stroju szale kaszmirskie, które ostaniały zbyt nieligi, ale też chroniły przed chłodem w salonie ogrzewanym jedynie ciepłem z kominka. Obok, w sąsiedniej gablocie, koronkowa rzeźbiarsko-złotnicza robota wachlarzy, nawijanie do rokokowego zdobnictwa, a obok już prawdziwe koronki: klockowa i jej półfabryczne naśladownictwo — na tytuł aplikacje z kwiatowych wzorów.

Do połowy dziewiętnastego wieku stroje szyły ręcznie. Popularne wówczas żurnale z modą paryską, chociaż informowały o obowiązującej linii ubioru, bardziej były reklamą francuskich tkanin, których produkcja rosła wówczas gwałtownie, niż wprowadzaniem w arkana modelowania odzieży. To bowiem była domena krawieckich mistrzów.

Na marginesach wielkiej sztuki

Życie w koronkach

W połowie wieku, po wynalezieniu maszyn do szycia, pojawiają się pierwsze ubiory konfekcjonowane. Na wystawie pokazano mantolet wykonany w Paryżu sposobem fabrycznym, z maszynowo robionej koronki. Ale rozwój takiej konfekcji jak ją rozumiemy dzisiaj możliwy był praktycznie dopiero po pierwszej wojnie światowej, kiedy nowy obyczaj, włącznie się kobiet w rytm zawodowego życia zrewolucjonizowały dokładne damskie stroje. Suknie stają się luźniejsze, do lamusa idą gorzej, najważniejsza jest wygoda i higiena. Panie co najwyżej pozwalają sobie na różne dodatki, jak choćby ów z czwartej gablotki secesyjny w formie kapelusza przypominający splecione ze sobą ogromne owadzie skrzydła...

Zmienia się obyczaj, zmienia się kraj, odchodzą w zapomnienie fatalaszkę nieprzydatne przy nowym trybie życia. Kobiety jednak niechętnie zostają się z tym, co w ubiorze niepożądane, indywidualne, co daje świadectwo mistrzostwa twórcy ubioru.

Mniej więcej w połowie lat dwudziestych z upodobaniem ozdabiano suknie koronkowym haftem. Jednolity kraj różnicowano właśnie poprzez na różne sposoby przyszywane koronki. Jest na wystawie kilka takich szat. — Jedna — wyrób paryski z ok. 25 roku zwraca szczególną uwagę, cała jej bowiem powierzchnia pokryta jest naszytymi w określonym porządku drobnymi ciekawymi, pajestkami, koronkami; stanik jest więc w podłużnej prążki, w talii — ornament z kwiatów, zaś na spodnicy jakby fioletki naszyte ukośnie dają rysunek pasów.

Zademonstrowano obok, naszą polską wersję „koronkowej mody” mniej może urzeka formą, ma za to swoją historię. Pewna łódzianka wystąpiła w tej sukience na pierwszym balu, zaś rozpoczęła wówczas serdeczna znajomość zakończyła się do dziś szczęśliwym — małżeństwem. Niektórzy powiadają, że właśnie dlatego sukienka wciąż wygląda jak nowa.

I tak możemy sobie wędrować od przezroczystej balowej szatki z początków minionego stulecia do wieczorowego kostiumu, pomysłu ostatnich lat przed II wojną światową. Podziwiać jak fabryczne koronkarstwo zastępowało wyroby ręczne; zatrzymać się przy dyskretnym ażurowym wzorze czarnych pończoch i uśmiechnąć się na widok podwiązki z różyczką.

Zas wychodząc z wystawy prawie gotowi będziemy uwierzyć, że nasze mamy i babki żyły w naprawdę pięknych bez troskich czasach, z których zostało jedynie wspomnienie bali, wieczorów w operze i niedzielnej przejażdżki powozem. Bowiem to, co świadczyło o pracowitej codzienności rozpadło się na szmaty, wtało w zapomnienie. Jedynie czasem stare fotografie przypominają, że żyło się wówczas nie tylko w koronkach.

Szkoda, że z tych ubiorów podziwiać możemy jedynie ich formę, elegancję linii, harmonię kolorów. Szkoda, że konieczność liczenia się z kosztami ekspozycji uniemożliwiła jej organizatorom pokazanie jak strój harmonizował z kompozycją wnętrza, jak mieścił się w stylu epoki.

Ala, jako że jest to jedyna taka wystawa w Polsce i chyba również jedyna systematycznie gromadzona kolekcja ubiorów dawnych i współczesnych, nie narzekajmy. To co jest też warto zobaczyć.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

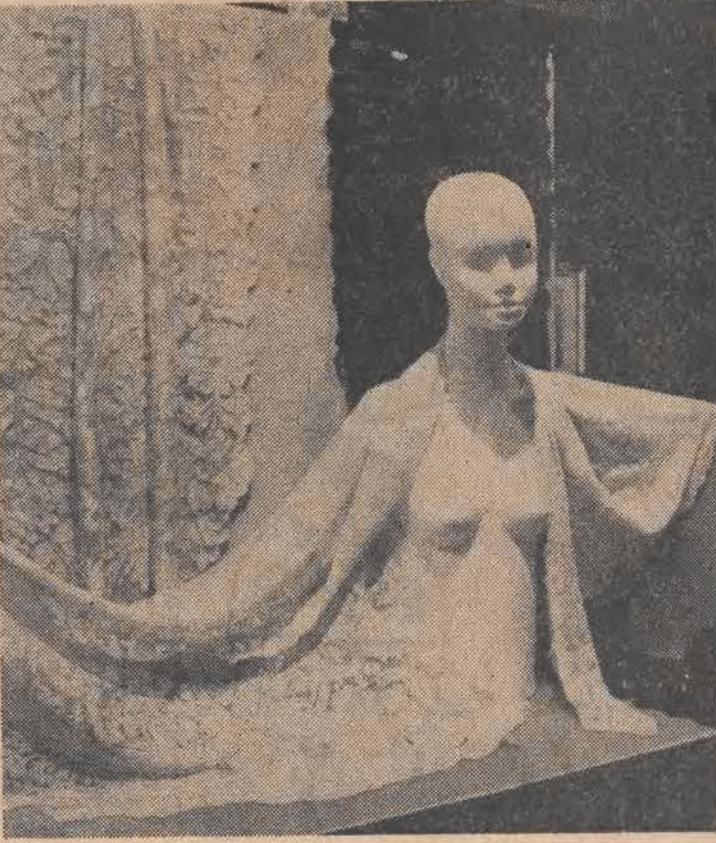


Foto: M. Zajdler

Biały kruk

Igor Sikirycy

Żył niegdyś król — niezwykły mruk,
Lecz krajem władał mądrze,
Bo miał w swym zamku tysiące sztuk
Ogromnych ksiąg i książek.

Dziś nawet małe dziecko wie —
W nich mądrość jest ukryta —
Król także wiedział, więc aż dwie
Codziennie książki czytał.

— Patrzcie, nasz król — szeptano w krag —
Z książką na łowy jedzie
I nie wypuszcza książki z rąk
Nawet i przy obiedzie.

Raz, gdy na obiad zając był,
Król księgę sosem splamił,
Potem widelec w kartkę wbił
I połknął z buraczkami.

Choć mądry król od tego dnia
Nie zmienił się na pozór,
Zaczęła krążyć plotka ta,
Że połknął własny rozum.

Że kupił jeszcze mnóstwo ksiąg,
Że w zamku od nich ciasno,
Że nawet w łożu książki tkwią
I król nie może zasnąć.

Ale najgorsza to jest ta
Prawda, co w oczy kole:
— Ostatnio kłopot wielki ma,
Bo książki jedzą mole.

A że z molarzy sypia król,
Gdy wchodzi do alkowy,
Więc dano mu przydomek: „Mól —
Mądrała”, bo książkowy.

A król wciąż czytał, aż po zmrok
O każdej porze roku,
Aż mu się wreszcie popsuł wzrok
I w serce wkradł niepokój.

Rozmyślał: — Już niewiele dni
Na książki mi zostało
Lecz jeśli ktoś pomoże mi,
To treść ich poznam całą.

I właśnie wtedy pewien mag,
Co przybył z Azji Średniej,
Do króla rzekł: — Oto jest ptak,
Dla ciebie odpowiedni.

Gdy wśród bezkresnych błędzi dróg
I kropli wody szukał,
Dopomógł mi ten oto kruk —
Niezwykle mądra sztuka.

Nie tylko wskazał źródło, lecz
I ludzkim głosem mnie pozdrowił.
Dla niego to zwyczajna rzecz,
Więc przyjrzyj się krukowi.

Wygląda tak jak zwykły ptak
Od rana do wieczora.
Wieczorem zaś, na dany znak,
Zamienia się w lektora.

Ma miły głos i piękne „ei”,
A tak się rwie do książek,
Że mu dostarczać nowych dzieł
Już dłużej nie nadaje.

Lecz to nie koniec moich trosk.
Serce mnie co dzień boli,
Bo kruk ten, co ma piękny głos,
Nic nie chce jeść prócz moli.

Brak mi i ksiąg i moli brak,
Dlatego jestem gotów
Oddać ci kruk. Ciebie ptak
Uwolni od kłopotów.

Przez noc potrafi tysiąc stron
Przeczytać bez wytchnienia
I tyleż moli połknąć — on
Wie, że go nie przeceniam.

Król rzekł: — Przyniosłeś dobrą wieść!
Mój problem kruk rozwiąże,
Bo dzięki niemu poznam treść
Swych najcenniejszych książek.

Uściskał maga, a że mrok
W tronowej zapadł sali,
Ku wyjściu swój skierował krok
I z krukiem się oddalił.

Od tego dnia przez wiele lat
Król z krukiem żył szczęśliwie,

Michałowi Kunie

A gdy oświał, po nim w ślad,
Kruk także zaczął świecić.

Kiedy przeczytał cały zbiór
Królewskich ksiąg wspaniałych,
Czerń znikła z jego kruczych piór
I stał się całkiem biały.

A na pamiątkę tych wydarzeń,
Patrząc na stary cenny druk,
I bibliofile i księgarze
Do dziś mawiają: Biały Kruk.

Palec Antka

Szedłbym śmiało na egzamin
Nie martwiąc się wcale,
Gdyby Antek mi pożyczył
Swoją najmniejszy palec,
Bo on wszystkie wiadomości
O stożku i walcu
Ma, jak mówi ścią klasa,
Właśnie w małym palcu.

Ludwik Jerzy Kern

Znam pewnego kawalera

Znam pewnego kawalera,
Co na niedzielę się tydzień ubiera.

W poniedziałek
Robi przedziałek.

We wtorek
Wkłada do umywalki korek.

W środę
Nalewa wodę.

W czwartek
Parska jak dziki lampartek.

W piątek
Myje nosa kawałatek.

W sobotę
Wyciera się ręcznikiem frotta.

A w niedzielę
Ma już do roboty bardzo niewiele.

Sam nie rozumiem
Dlaczego czasem
Śmieją się z niego,
Że jest brudasem.

Latający dywan

Są podobno na świecie
Latające dywany.
My dotychczas — jak wlecie —
W Polsce takich nie mamy.

A ja błady i drżący
Kombinuję i marzę,
Żeby tym latającym
Pierwszym być dywaniarzem.

Z domu dywan wykradłem
I wyniosłem na miedzę,
Rozpostarłem i siadłem,
I już tydzień tak siedzę.

Cała zeszła się gmina,
I dorośli, i dzieci —
Ja go proszę, zaklinam.
A on jakoś nie leci.

Jakie mogą być tego,
Mysle sobie, powody:
Niechęć jakaś u niego?
Czy po prostu za młody?

Ptak nie fruwa, gdy mały,
Pies, gdy mały, nie szczeka,
Więc mu także czas dałem,
Niech podrośnie. Zaczekam.

Dziecko jest jak młode drzewo...

Wśród artystów teatru uprawiających sztukę dla dzieci szczególne miejsce zajmuje Jan Dorman. Gdy założyciel słynnego i wielokrotnie nagradzanego Teatru Dzieci Zagłębia gościł w Łodzi poprosiliśmy go o wypowiedź na temat teatru dla dzieci.

Teatr Dzieci Zagłębia dał swoje pierwsze przedstawienie w grudniu 1945 roku. Pan jednak jeszcze przed wojną podejmował szereg przedsięwzięć organizacyjnych i artystycznych, którymi kierowała myśl o stworzeniu teatru dla dzieci.

Na krakowskich Krzemionkach w istniejącym tam Domu Tramwajarzy, jeszcze przed wojną organizowałem teatr dla dzieci, który tym głównie bulwersował wszystkich, że nie były to tylko prezentacje spektakli przeznaczonych dla najmłodszego odbiorcy, ale przede wszystkim udział dzieci w kreowaniu ich własnych wizji. Czy były to wizje teatralne? Raczej parateatralne, jak to się dzisiaj modnie nazywa. W moim teatryku dzieci bawiły się we wszystko, w zabawach kreowały nieludnie postacie i rozgrywały wykreowane we własnej wyobraźni dramatyczne konflikty między nimi. Celem takich działań, dla mnie i dla dzieci najcenniejszym, była droga do spektaklu. Na tej drodze ujawniały się niezgłębione pokłady wyobraźni, ożywały dziecięce marzenia, kształtowała się wrażliwość. Proszę przyrzec się dziecięcy zabawom: najciekawszy jest w nich element przygody, niespodzianki, rozwiązywanie tajemnicy. Stawanie się jest po prostu ciekawsze, bo bardziej emocjonalnie angażujące niż określone istnienie w jakiejś zamkniętej formie. Nazwałem ten rodzaj teatru, jaki wtedy wraz z dziećmi tworzyłem w Krakowie teatrem ekspresyjnym. To oczywiście nie wyczerpywało rozumienia istoty teatru i obok funkcji ekspresyjnej, ale zupełnie już naturalnie, teatr ujawnił najmłodszemu odbiorcy swoją rolę impresyjną. Sztuka odbioru i umiejętności, a także potrzeba odbierania określonych treści i emocji stała się drugim nurtem moich poszukiwań i działań.

W pełni realizowałem je po wojnie w Sosnowcu, w którym stworzyłem Teatr Dzieci Zagłębia. Naszym opiekunem był ówczesny Związek Zawodowy Górników. Po kilku latach przeniesiono nasz teatr do Będzina. Młodzi widzowie przyjeżdżali do nas nieraz z bardzo dalekich stron.

Teatr Dzieci Zagłębia niejednokrotnie szokował widzów rozwiązaniami inscenizacyjnymi i scenograficznymi.

Odpowiadając na to pytanie muszę uzupełnić je absolutnie prawdziwym stwierdzeniem, iż zaszokowani, niezbyt zresztą często, bywali dorośli, którzy towarzyszyli dzieciakom w ich wyprawach w nasz wspólny, to znaczy mój, a przede wszystkim tych dzieci świat wyobraźni. Dzieci nie były zaszokowane nigdy. Bawiły się i wzruszały w sposób dawno już niedostępny dorosłej publiczności. W krainie dzieciństwa można czuć się pewnie tylko w dzieciństwie. My, dorośli naprawdę nie jesteśmy już tam u siebie, tylko nielicznym udają się powroty, a i te nie są nigdy całkowite. Nie da się przecież zdjąć z dorosłych pleców bagażu doświadczeń, których ciężar nie przynosiła najmłodszym, nie określa ani nie ogranicza ich wrażliwości. Dzieci nie są wrażliwością jest wyjątkowym darem i bogactwem. Jest też jednak czymś niesłychanie kruchym. Wrażliwość dziecka wymaga wielkiej troskliwości, jej zachwianie bądź zniszczenie jakimkolwiek niebacznym, dyktanckim działaniem zakwalifikowałbym do kategorii grzechów najcięższych i będąc świadomym tego bogactwa i jego ulotności ze zgrozą patrzę na nieodpowiedzialne poczynania tych twórców, którzy do działań artystycznych dla dzieci czują się tylko zobowiązani. Same zobowiązania nie wystarczą, wszyscy możemy ich sobie dla dobra dziecka oszczędzić. Tu potrzeba autentycznego pragnienia, tego zaś jest naprawdę niewiele.

Co radziłby Pan młodym reżyserom?
Jeśli potrzebują i oczekują rady niczego radzić im nie będę. To trzeba czuć. Tego trzeba chcieć. Jeśli czuje i chce, to żadna rada nie jest mi potrzebna. Pracuję tak jak dyktuje mi serce i wiedza, bo wiedza jest oczywiście konieczna, ale co mam im radzić? — żeby zdobywali wiedzę. Taka rada udzielona inteligentnemu człowiekowi może być obelgą. Przerazają mnie fakty twórczości dla dzieci, która nie uwzględnia ich aktywności uczuciowej i intelektualnej, spektakle, w których nie ma miejsca na udział młodego widza. Dziecko, proszę zauważyć, nie jest ciekawe gotowego spektaklu, ma bowiem ochotę budować go sobą samym, własnymi pomysłami, a zatem i własną interpretacją dopełniać przedstawienie. Dziecko jest w teatrze przede wszystkim podmiotem, nasze uprzedmiotowiające je działania mogą być tylko działaniami uzupełniającymi. To dziecko ma inspirować przedstawienie, dziecko ma być twórcą i ożywienie jego wyobraźni, kształtowanie jej kreacyjnego charakteru jest naszym podstawowym obowiązkiem.

Teatr ma również funkcje dydaktyczne?
Nigdy od nich nie stroniłem. Ta funkcja dydaktyczna w dobrym teatrze realizuje się niepostrzeżenie. Wszelkie natręctwo natomiast widoczne jest już na pierwszy rzut także dziecięcego oka. Trzeba o tym pamiętać. Dziecko, podobnie jak dorosły widz, jest również niechętnie wszelkiej łopatologii i to zarówno tej używanej w procesie kształcenia, jak i tej stosowanej często jakże niebacznie i z jakże odwrótnym skutkiem w procesie wychowawczym. Za często do prawdy młodzi twórcy oferują dzieciom to, przed czym sami, gdy zasiadają w teatrze jako widzowie, bronią się z całą mocą. Teatr nie może też być żywym obrazkiem, ani nazbyt grubym konturem narysowaną malowaną do zapełnienia kolorem. Teatr powinien urzekać widza proponowaną formą, a przede wszystkim nie stronić od metafory. Szkodzi mu bowiem wszelka dosłowność, bo dosłowność nie zacieka, nie cieszy, nie pociąga do dalszych działań czy choćby wspólnej zabawy.

Bazuje Pan na wyobraźni dziecka, oferując mu to czego nie daje szkoła, która — co może jest jej prawem — działa konkretyzując i walczy o pewność i jednoznaczność.

Gdybyśmy tylko uzupełniali się wzajemnie sam dążyłbym do takiej syntezy. Ale nie zawsze tak jest. Często szkoła niszczy tę wrażliwość, o której możliwie najdłuższy żywot powinniśmy walczyć. Dziecko jest jak młode drzewo. W swojej ciekawości świata, w naturalnym pragnieniu słońca, radości i najczystszej chęci zdobywania wiedzy — bo przecież dziecko chce wiedzieć — biegnie w wielu kierunkach jednocześnie, wypuszcza gałązki. Nie potrafię zrozumieć dlaczego dorosłym z takim trudem przychodzi rozumienie potrzeb dziecka. Opowiem pani coś co zabrzmiało jak anegdota, ale to fakt autentyczny, choć może nazbyt skrajny: kiedyś minister Sokorski nie mógł zrozumieć, iż ja nie mogę się z nim spotkać o wyznaczoną przez niego zniżkową godzinie, ponieważ kilka dni wcześniej na ten dzień i na tę właśnie godzinę umówiłem się z własnym wnucukiem. Inni całkiem niedawno oburzyli się na mnie, gdy stwierdziłem, że ktoś u nas widocznie lubi patrzeć jak umierają dzieci.

Sformułowanie jest nader drastyczne, proszę o wyjaśnienie. Nie wiem komu postawił Pan ten zarzut, ale jest on nazbyt poważny, byśmy mogli nie wyjaśnić pańskich podstaw do postawienia go.

Proszę pani, czy widziała pani dzieci czekające nieraz bardzo długo na drogach na transport do zbiorczych szkół gminnych? Są wśród nich i takie, którym droga do tych szkół zabiera kilka godzin dziennie. Tu chodzi nie tylko o ich zmęczenie, choć o nie musi chodzić także, bo jak mają później chłonać wiedzę. Tu chodzi także o czas, to jest czas ich życia. Czas z ich życia wyrwany. Obrazono się więc na mnie, ale nie usłyszałem riposty. Tak zwane ogólne motywacje jakos do mnie nie przemówiły. Przemówił do mnie, ale w negatywnym znaczeniu fakt, wiążący się z ideą „gminnego”, „zbiorczego nauczania”. Małe wsie pozbawione nauczycieli, tych ludzi, którzy z przysłówiowym kagankiem oświaty i kultury spełniali tak ważne funkcje kulturowe w najmniejszych ludzkich siedziobach. Obrażano się na mnie bardzo często, ale jak pani widzi cieszę się doskonałym zdrowiem i humorem, bo bardzo mnie to wszystko inspirowało do dalszych, czy raczej ciągłych działań. Nie ustaję w nich bo widzę, że dużo mam jeszcze do zrobienia.

Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ

Rysowała: Małgosia Wolańska, lat 9

W kręgu fantastyki

Brontek

Do naszego moskiewskiego ogrodu zoologicznego przywieziono jajo brontozaury. Jajo to znaleźli chilijscy turyści w ośpiisku na brzegu Jeniseju. Jajo było prawie kuliste i wspaniale przechowało się w wiecznej zmarzlinie. Specjaliści stwierdzili, że jest absolutnie świeże. Wobec tego postanowiliśmy umieścić je w inkubatorze.

Oczywiście prawie nikt nie wierzył w sukces, ale już po upływie tygodnia zdjęcia rentgenologiczne stwierdziły, że zarodek brontozaury rozwija się. Kiedy ten fakt odnotowała Interwizja, do Moskwy zaczęli zjeżdżać uczeni i korespondenci z całego świata. Musieliśmy zarezerwować dla nich cały osiemdziesięciopiętrowy hotel „Wenera” na ulicy Gorkiego. Ale i tak nie wszyscy się pomieścili. Ośmiu tureckich paleontologów spało w mojej jadalni, ja sam zamieszkałem w kuchni wraz z dziennikarzem z Ekwadoru, a dwie korespondentki tygodnika „Kobiety Antarktydy” ulokowały w sypialni Alisy.

Kiedy nasza mama zawiadomowała wieczerą z Nukusa, gdzie buduje stadion, była pewna, że trafiła pod niewłaściwy numer.

Wszystkie telesatelity świata pokazywały jajo. Jajo z profilu, jajo z przodu; szkielety brontozaurów i jajo...

Kongres kosmofilologów w pełnym składzie przyjechał na wycieczkę do zoo. Ale wtedy już nie pozwalaliśmy nikomu wchodzić do inkubatora i filolodzy musieli poprzestać na obejrzeniu białych niedźwiedzi i marsjańskich modliszek.

Po czterdziestu sześciu dniach takiego zwanego życia jajo drgnęło. Siedziałem z moim przyjacielem profesorem Jakatą przy kopule, pod którą leżało jajo, i pililiśmy herbatę. Przesłaliśmy już wieść, że z jaja coś się wykluje. Nie przesłaliśmy go od jakiegoś czasu, żeby nie zaszkodzić naszemu „noworodkowi”. I nie mogliśmy niczego przewidzieć chociażby dlatego, że jeszcze nikt przed nami nie próbował sztucznego wychowu brontozaurów.

A więc jak powiedziałem, jajo drgnęło, jeszcze raz... pękło i przez grubą błonę skorupy wysunęła się czarna żmijowata głowa. Zaterkotały automatyczne kamery filmowe. Wiedziałem, że nad drzwiami pawilonu zapaliło się czerwone światło. Na terytorium naszego zoo zaczęło się coś, co niezmiennie przypominało panikę.

Po pięciu minutach wokół nas byli już wszyscy, którzy być powinni, a także wielu takich, którzy nie powinni, ale bardzo chcieli. Od razu zrobiło się gorąco.

Wreszcie z jajka wylał mały brontozaur.

— Tatusiu, a jak mu na imię? — usłyszałem nagle znajomy głos.

— Alisa! — zdziwiłem się. — Jak tu weszłaś?

— Z korespondentami.

— Ale przecież dzieci nie wpuszczają.

— Mnie wpuszczają. Mówiłam wszystkim, że jestem twoją córką. Więc mnie wpuścili.

— A czy ty wiesz, że to bardzo nieładnie wykorzystywać znajomości dla prywatnych celów?

— Ale przecież mały Brontek może się nudzić bez dzieci. No to przyszedł.

Machnąłem ręką. Nie miałem ani minuty czasu, żeby wyprowadzić Alisę z inkubatora. A nie było też nikogo, kto by się zgodził zrobić to za mnie.

— Stój tu i nie ruszaj się z miejsca — powiedziałem. A sam pobiegłem do kopuły pod którą siedział nowo narodzony brontozaur.

Przez cały wieczór nie rozmawiałem z Alisą. Gniewaliśmy się. Zabroniłem jej chodzić do inkubatora, ale Alisa powiedziała, że nie może nie posłuchać, bo jej żal Brontka. Następnego dnia znowu tam była. Przeprowadzili ją kosmonauci ze statku „Jowisz-8”. Kosmonauci byli bohaterami i nikt nie mógł im niczego odmówić.

— Dzień dobry, Brontek — powiedziała podchodząc do kopuły.

Brontozaur spojrział na nią spod łba.

— Czyje to dziecko? — surowo zapytał profesor Jakata.

Omal się pod ziemię nie zapadłem.

Ale Alisa też nie zapomniła języka w buzi.

— Nie podobam się panu? — zapytała.

— Ale skąd, wręcz przeciwnie. Po prostu myślałem, że być może pani się zgubiła... — profesor zupełnie nie umiał rozmawiać z małymi dziewczynkami.

— Dobrze — powiedziała Alisa. — Jutro znowu przyjdę do ciebie. Trzymaj się, Brontek.

I rzeczywiście przyszła. I przychodziła prawie codziennie. Wszyscy do niej przywykli i przepuszczali ją bez żadnych problemów. Ja zaś umyłem ręce. I tak nasz dom stoi niedaleko zoo, przez jeźnię nie trzeba przechodzić, zresztą Alisa zawsze znajdowała sobie jakieś towarzystwo.

Brontozaur rósł bardzo szybko. Po miesiącu miał już dwa i pół metra długości, wtedy przeniesiono go do specjalnie zbudowanego pawilo-

Drukujemy dziś dwa dalsze opowiadania Kiryła Bułyczowa o Alisie, „dziewczynce, której nigdy nie stanie się nic złego”, jak mówi o swojej bohaterce autor. Oba pochodzą z tomu „Ludzie jak ludzie” (wyd. „Iskry”, Warszawa 1976) i oba są jak gdyby zawieszane między starą, pocztową baśnią, a jakże poczytną

współczesną fantastyką, mogąc podobać się chyba równie dobrze dzieciom, jak i dorosłym.

Za tydzień — już raczej z myślą tylko o dorosłym, czy może młodzieżowym czytelniku — opublikujemy inne, nie tłumaczone dotąd opowiadanie tegoż autora „Czy mogę poprosić Ninę?”.

Nieśmiały szusza

Alisa ma wiele znajomych zwierząt. Dwa kociaki, marsjańską modliszkę, która mieszka pod łóżkiem Alisy i po nocach udaje bałabajkę, jeża, który był u nas krótko, a potem wrócił do lasu, brontozaury Brontka — jego Alisa odwiedza w zoo, i psa sąsiadów, Rekxa — miniaturowego jamnika, moim zdaniem niezupełnie rasowego.

A kiedy wróciła pierwsza ekspedycja z Syriusza, moja córka zdobyła jeszcze jedno zwierzę.

Alisa poznała Poroszkowa na pierwszomajowej manifestacji. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobiła — ma niezmiernie rozległe znajomości. W każdym razie znalazła się wśród dzieci, które przyniosły kwiaty kosmonautom. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy zobaczyłem w telewizji Alisę biegnącą przez plac z większym od niej bukietem błękitnych róż i wręczającą ten bukiet samemu Poroszkowowi. Kosmonauta wziął ją na ręce, razem oglądali manifestację i razem potem gdzieś poszli.

Alisa wróciła do domu dopiero wieczorem z dużą czerwoną torbą w ręku.

— Gdzieś ty była?

— Najbardziej byłam w przedszkolu.

— A najmniej?

— Zaprowadzili nas na Plac Czerwony.

— A potem?

Alisa zrozumiała, że oglądałem telewizję i powiedziała:

— Potem poproszono mnie, żebym powitała kosmonautów.

— Kto cię poprosił?

— Jeden pan, nie znam go.

— Alisa, czy zetknęłaś się kiedyś z terminem „kary cielesne”?

— Wiem, to wtedy, kiedy dają klapsy, ale to chyba tylko w bajkach.

— Obawiam się, że bajka może stać się okrutną rzeczywistością. Czy ty zawsze musisz lazić tam, gdzie nie trzeba?

Alisa już się chciała na mnie obrazić, kiedy nagle torba w jej ręku poruszyła się.

— A co to znów?

— Prezent od Poroszkowa.

— Wyłudziłaś prezent! Tego tylko brakowało!

— Niczego nie wyłudziłam. To szusza. Poroszkow przywiózł go z Syriusza. Mały brontozaur. Szuszątko.

I Alisa ostrożnie wyjęła z torby małe stworzonko o sześciu łapach, podobne do kangurzatka, o oczach wielkich jak u ważki. Szusza wczepił się przednimi łapami w ubranie Alisy i uważnie patrzył dookoła.

— Widzisz, on mnie już lubi — powiedziała Alisa. — Zaraz mu przygotuję posłanie.

Znałem historię z szuszą. Wszyscy ją znali, a szczególnie biolodzy. Miałem w swoim zoo pięć szuszy i z dnia na dzień oczekiwaliśmy powiększenia się rodziny.

Poroszkow i Bauer znaleźli szusza na jednej z planet systemu Syriusza. Te sympatyczne łagodne zwierzątka, które ani na krok nie odstępowały kosmonautów, okazały się ssakami, chociaż sposobem zachowania raczej przypominają pingwiny. Ta sama nienatrzęta ciekawość i wieczne próby włazienia w najbardziej nieodpowiednie miejsca. Bauer musiał nawet raz

mając w ogóle ochotę w miarę regularnie poświęcać trochę miejsca literaturze Science Fiction. Nie sposób jej dłużej nie zauważać, skoro wszystkie książki reprezentujące ten gatunek — w tym, niestety, również bardzo złe — znikają niemal natychmiast z księgarskich półek...

ratować szuszątko, zamierzając utonąć w wielkiej puszcze skondensowanego mleka. Ekspedycja przywoziła cały film o szuszech, który odniósł wielki sukces we wszystkich kinach w wideoramach.

Niestety, ekspedycja nie miała czasu na przeprowadzenie szczegółowych obserwacji. Wiadomo było, że szusze przychodzą do obozu ekspedycji rano, a z nadejściem nocy gdzieś znikają w pobliskich skałach.

W każdym razie, kiedy ekspedycja wracała już na Ziemię, w jednym z pomieszczeń Poroszkow znalazł trzy szusze, które zapewne zabłądziły na statku. Początkowo Poroszkow pomyślał, że szusze przemysły któryś z uczestników ekspedycji, ale oburzenie kosmonautów było tak szczere, że jego podejrzenia rozwiały się.

Obecność szuszy spowodowała masę dodatkowych problemów. Po pierwsze, mogły okazać się źródłem nieznanych infekcji. Po drugie, mogły umrzeć w czasie podróży, nie wytrzymać przeciążeń. Po trzecie, nikt nie wiedział, co one jedzą... I tak dalej. Ale wszystkie obawy okazały się nieuzasadnione. Szusze znakomicie zniosły dezynfekcję, posłusznie jadły bullon i konserwowane owoce. Z tego powodu zyskały sobie nieprzejednanego wroga w osobie Bauera, który lubił kompot, a przez ostatnie miesiące podróży musiał się go wyrzec. Wszystkie owoce zjedli pasażerowie na gapę.

W czasie podróży urodziło się sześć szuszątk, więc statek przybył na Ziemię przepełniony szuszątkami i szuszątkami. Zwierzątka okazały się łagodne i pojętne i nikomu oprócz Bauera nie przyczyniły żadnych kłopotów i przykrości.

Pamiętam historyczny moment powrotu ekspedycji na Ziemię, kiedy pod ostrzałem kamer telewizyjnych i filmowych otworzyła się kłapa i zamiast kosmonautów, w jej otworze ukazało się zdumiewające sześciopalcie zwierzątko, a za nim kilka następnych, nieco mniejszych. Cała Ziemia westchnęła ze zdziwienia. Westchnienie urwało się dopiero w momencie, kiedy w ślad za szuszątkami ze statku wyszedł uśmiechnięty Poroszkow. Nioś na rękach szuszątko umazane skondensowanym mlekiem.

Część zwierzątek umieszczono w zoo, niektóre zostały u kosmonautów, którzy je bardzo polubili. Szuszątko Poroszkowa w końcu trafiło do Alisy. Jeden Pan Bóg raczej wiedzieć, w jaki sposób oczarowała surowego kosmonautę.

Szusza mieszkała w dużym koszu przy łóżku Alisy, mleś ją jadł, w nocy spał, przyjaźnił się z kocieciami, bał się modliszki i cichutko mruczał, kiedy Alisa głaskała go albo opowiadała o swoich sukcesach czy zmartwieniach.

Szusza rósł szybko i po dwóch miesiącach był już wzrostu Alisy. Kiedy chodził na spacer, na pobliskim skwer, Alisa nigdy nie wkładała mu obroży.

— A jeśli on kogoś przestraszy? — pytałem.

— Nie, nie przestraszy. A poza tym szusza się obrazi, jeśli mu założę obrozę. Jest strasznie wrażliwy.

Pewnego razu Alisa nie mogła usnąć. Kapryśliła i domagała się, żebym jej poczytał o doktorku Ajboli.

— Nie mam czasu, córeczko — powiedziałem. — Mam pilną pracę, a zresztą już sama powinnaś czytać książki.

— Ale to nie książki, tylko mikrofilm, a tam są takie maleńkie litery.

— Mikrofilm jest dźwiękowy, jeśli nie chcesz czytać, możesz włączyć dźwięk.

— Nie chcę wstawać. Jest mi zimno.

— To poczekaj, aż skończę pisać, to ci włączę.

— Jak nie chcesz — to poproszę szuszę.

— No to poproś — uśmiechnąłem się.

Po chwili usłyszałem z sąsiedniego pokoju subtelny filmowy głos: „...i miał jeszcze doktor Ajboli psa Awwa”.

A więc Alisa jednak wstała i włączyła dźwięk.

— Natychmiast do łóżka! — krzyknąłem. — Przebież się!

— Kiedy ja jestem w łóżku.

— Nie wolno kłamać. Kto w takim razie włączył dźwięk?

— Szusza.

Bardzo nie chcę, żeby moja córka wyrosła na kłamczuchę. Zostawiłem pracę i poszedłem, żeby z nią poważnie porozmawiać.

Na ścianie wisiał ekran: nieszczerliwie zwierzęta tłoczyły się u drzwi dobrego doktora Ajboli, a szusza coś majstrował przy mikroprojektorze.

— Jak ci się udało go tak wytresować? — zapytałem szuszę szczerze zdziwiony.

— Wcale go nie tresowałam. On sam wszystko umie.

Zmieszany szusza przebiegał przednimi łapkami.

Zapanowała niezręczna cisza.

— Ale jednak... — powiedziałem wreszcie.

— Przepraszam — rozległ się wysoki zachrypnięty głos. To mówił szusza. — Ale ja się naprawdę sam nauczyłem. To przecież nie trudne.

— Przepraszam — wykrztusiłem.

— To nietrudne — powtórzył szusza.

Przecież pan sam pokazywał wczoraj Alisie bajkę o królu modliszek.

— Nie, już nie o to mi chodzi. Kto cię nauczył mówić?

— Ja go uczyłam — powiedziała Alisa.

— Nic nie rozumiem. Dziesiątki biologów obserwują szusze i nigdy żaden szusza nie odezwał się słowem.

— A nasz szusza nawet czytać umie. Umiesz?

— Trochę.

— On mi tyle ciekawych rzeczy opowiada...

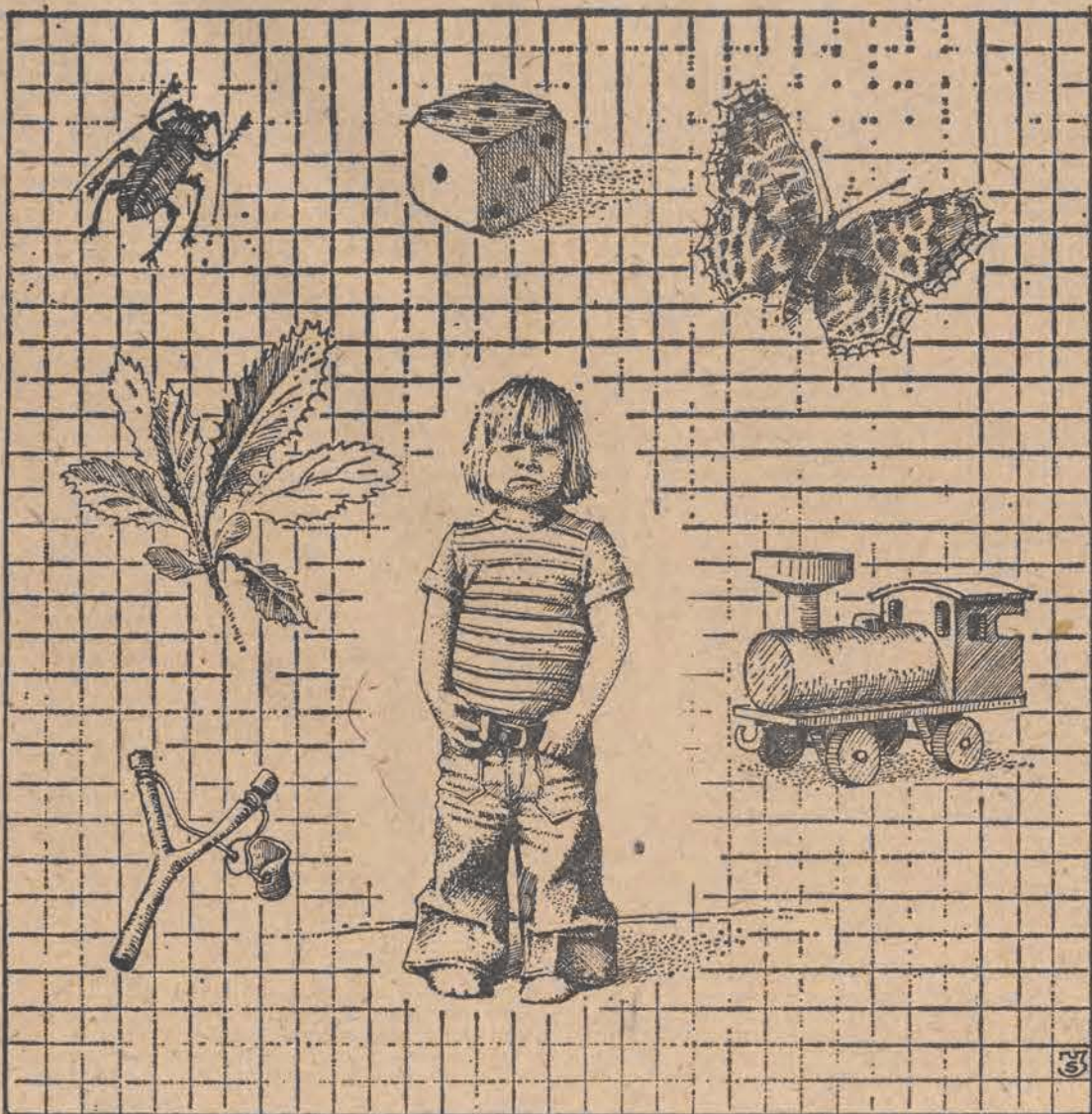
— Żyjemy z Alisą w wielkiej przyjaźni.

— A więc dlatego milczałeś tak długo?

— Bo się wstydziłem — odpowiedziała za szuszę Alisa.

Szusza spuścił oczy.

Przełożyła:
IRENA LEWANDOWSKA



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Dwa kroki od tabakierzy

JOLANTA WRÓŃSKA

Sam środek miasta. Pryncypalna ulica, ze swoimi wielkimi bogatymi kamienicami w stylu syntezy łódzkiej secesji. Tuż obok wymuszanego gmachu Urzędu Miasta Łodzi, dwa kroki od siedziby dzielnicowego zarządu Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Jest państwowa flaga, rozmaite tablice głoszą, że tu właśnie jest tabakiera dla nosa. Czyli mnóstwo urzędników, którym się płaci państwową pensję za to, żeby organizowali, ułatwiali i zatwierdzali tysiące ludzkich spraw i trosk.

Wystarczy przejść kilka metrów, obok ruchliwego pasażu z Mumnie odwiedzanym HORTEXEM i wejść w bramę pobliskiej kamienicy. Kamienica jest — co się zowie — łódzka. Od frontu pełna gale, ale wewnątrz... Wziątka parcela obudowana dwupiętrowymi oficynami, obdrapanymi i brudnymi. Ponure kamienne podwórko, z nieodłącznym śmietnikiem. Mimo całej ohydry, podwórko jest czyste. Ktoś zmiotł kamienne płyty, czyści ręce pielegnując rachityczne krzesła, zbudowane z drewna i słonek.

Wchodząc w jedną z obrzydliwych klatek schodowych w oficynie, Ogarnia cię, jak całun, opar smutku i beznadziejności. Niemal fizycznie wyczuwasz piekło wspólnych, ubożuchnych mieszkań, zwaśnionego sąsiedztwa. Rozpacz bezsilnej starości. Zawieszona żołądek, płotek, chorób. Znowu ktoś umarł. Tak zwyczajnie, że starości. Ktoś znów leży w chorobie i męczy się ciężką inną i sobie samemu.

Stara łódzka kamienica.

Starzy, samotni ludzie, zwrócenie twarzami w przeszłość.

Kiedys rodzili się tu dzieci, kiedys był tu gwar młodego życia. Potem dzieci dorosły, znalazły swoje życie gdzieś na dalekiej Dąbrowie, albo zgola w Chicago. Zostali starzy ludzie czekający na swe dzieci.

Może przyjdą, przyniosą węgiel z komórki, pomogą zrobić sprawunki, może posiedzą ze swoimi rodzicami. Może chociaż napiją się z tej niewyobrażalnej, syty Ameryki.

Mieszka tu stare kobiety, skubiące resztki swej smutnej starości, usiłujące wyżyć w tym oszalałym świecie za trzy tysiące renty. Często nie dojadają. Często płaczą samotnie w ponurach mieszkaniach.

Kiedy zaglądniesz w to miejsce, to jakbyś zanurzył się w dźwięnie gębinowym w inny świat. Gruba ściana życia, z którego przyszedłeś, obwoładnia twoją możliwość rozumienia, nawet współczucia. Z trudem głęboko ukrywając uczucie zniecierpliwienia, odrzucił nawet. Widzisz ten obcy świat samotnej rozpacz, ale siedzisz w swoim dźwięnie i nie pojmujesz. Zaraz przecież stąd sobie pójdziesz. Dojdziesz do parę kroków do bramy i już otoczy cię normalne, gwarne, znajome ci życia głównej ulicy wielkiego miasta. Jesteś tak daleki od tego podwórka, że nie zdobywasz się choćby na myśl, by pomóc, by pochylić się nad cudzym losem. Tamto życie, twoje życie, staro i ciebie odruch ludzkiego współczucia. Bo ty jesteś jeszcze młody, nie wierzysz, żeby i do ciebie przyszła samotna starość.

Wieg siedzisz beznadziejnie w paskudnej kuchni, między jakimś zniszczonymi gratami, utrzymywanymi przy życiu atachem starego człowieka. Bo jeśli umrą przedmioty, wśród których trwał ty le lat, to jakbyś sam otwarł drzwi przed śmiercią. Dlatego drzwi są solidne, opatrzone w siedem zamków. One nie chronią ubożuchnego bogactwa. One mają dać pewność, że póki trwają sprzęty, będzie trwał i życie, a przez takie dobre drzwi nic złego nie przyjdzie.

Ala przychodzi. Przychodzi codzienna troska jak zejść po schodach, kiedy nogi tak bardzo opuchły, a przecież trzeba kupić choćby chleb i mleko. Trzeba by i fajko, może kilka deko sera. Do lekarza trzeba pójść, badania zrobić, bo cukrzyca już bardzo dokucza. Tak ciężko iść po schodach, tak daleko na drugą stronę ulicy. I stąd już nie ma uwalę, żeby coś więcej. Bywa, że głodno i chłodno przepycha się dzień obok dnia.

Siedzisz tak, powalony niemocą swojego młodego, nie nie rozumiejącego życia. Siedzisz naprzeciwko starej kobiety i słuchasz bolesnej koronki.

Węgiel nie ma kto zrzucić do komórki. Jak już się kogo uprosi, to od razu żąda pół litra, albo cukru, albo że dwie setki chociaż. Więc zimno jest, no bo sama widzisz mienika, sił nie ma, żeby samemu. A doktor taki był kiedys dobry. Sam przyszedł, lekarstwa przyniósł, poradził. Teraz już nie. Teraz jest nowy. Każę przysiąc do siebie, wyszła do apteki. A kiedy już musi sam pofatygować swoje trzydziestokilkuletnie nogi, to jeszcze powie czasem coś takiego, że aż serce zaboli. Mówi, że brudno, że okna zapaskudzone, że pościel niewietrzona. No a widzisz sama, dziecko, jakże tu okna pomyć, kiedy ręce powykręcane.

Patrz, kiedys byłem inna, młodsza, silniejsza. Póki żył mąż, była pomoc i serce, a teraz co... Ja tak bardzo lubię czystość. Kiedys tu śniło. Ale teraz, jak poradzić, dziecinco, no powiedz jak? Mąż umarł, córka wyjechała już tyle lat temu do Ameryki, a ja tu sama czekam. Chyba tylko na koniec.

Podsuwa fotografie. To ona — postawna, uśmiechnięta kobieta. — To córka. Spójrz, jaka piękna dziewczyna, przysłała z Ameryki. Jest tam lekarzem, jest szczęśliwa, wiesz?... Z fotki patrzy młoda kobieta w bircie i tożde absolwenta amerykańskiego uniwersytetu. I jeszcze w samochodzie, a potem wśród pięknego krajobrazu Gór Skalistych.

Kiedy mówi o córce, twarz się rozświetla... — A pani dostaje od córki listy? pisze? pomaga jakoś? — No jakże, paczkę mi przysłała kiedys, jest przecież taka dobra...

— A listy? — Ona rzadko pisze, ma tyle pracy i chorowała bardzo ciężko. Ale teraz jest już dobrze. I co wieczór modłę się, żeby była zdrowa, żeby była szczęśliwa.

Płynie różaniec upleciony na przemian z jasnych myśli o córce i czarnej codziennej rozpacz bardzo samotnego człowieka. — Nikt pani nie pomaga? — A kto tu może pomóc? Tu sami starzy mieszkają. Była kiedys młoda dziewczyna. Sprzątnęła, okna umyła. Pomogła mi zrobić pranie, kiedy ręce już całkiem mdlały. Miała czas zająć, posiedzieć ze mną choć chwilę. Ale potem wyjechała do rodziny. Był ksiądz na święta, paczkę przyniósł, potem przysłał jakąś kobietę, żeby mi pomagała. Ale ona mnie okradła, zabrała dużo z tej paczki, ciągle chciała pieniędzy, kiedy ledwo moge kupić co najpotrzebniejsze. No powiedz dziecinco, jak sobie poradzić?...

A za bramą. Wytaniasz się z tamtego ciemnego świata. Jeszcze wracasz myślą, ale już przyspieszasz kroku. Po chwili mijasz Urząd Miasta Łodzi i dużo tabliczek objaśniających, że pracują tu urzędnicy od wszystkiego w mieście. I tylko myślisz, czy oni pamiętają, do czego służą tabakierka? Czy nie przeszkadzają im samotni ludzie czekający na córkę z dalekiej Ameryki?...

Pogoda dziś fatalna; mimo że to prawie połowa maja, od rana zimno, wietrznie i równo leje. W niewielkiej salce z zatrzymanymi oknami bije w nozdrza zapach przesiąkniętej, przemoczonej odzieży, rzucone na krzesła odciekają wodą parasole, przeciwdeszczowe płaszcze. W kilku miejscach blokują przejście potężne torby podróżne i walizy. Wieksość krzesel zajęta. Oczy wszystkich zwrócone w stronę przejściowych drzwi do sąsiedniej sali, gdzie odgrodzone od widowni stołem i wąską barierką zaczyna się urzędowanie dziewczyny w służbowych, niebieskich kitlach. Starszy pan w okularach baka kilka słów powitania i — zaczynamy...

— Dwa motki białej włóczki stylonowej, trzy kordonki, ścierka, grażka mała, żółta spodenki dziecięce, dwie pary skarpet — 100 złotych — odczytuje z jakichś papierzyków do mikrofonu szupła brunetka. Za jej plecami koleżanki dokonują pobieżnej prezentacji przedmiotów.

— Sto dwadzieścia! — rozdziera się niespodziewanie młodzieńca siedzący dwa krzesła obok. — Sto pięćdziesiąt! — słyszę

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Samo życie za „stówę”, po raz pierwszy...

gdzieś z przodu. — I pięć — to spod okna. — Dwadzieścia — już spokojnie rzuca mój sąsiad. — Dwadzieście po raz pierwszy, dwadzieście po raz drugi — recytuje skwapliwie dziewczyna z mikrofonem w garści. — Dwadzieście dziesięć — przeciwnie jednak nie rezygnują. (O co tak walczą — myślę — o te grzaski, czy kordonki?...). Mój nabywca jest twardy; przebieł się już do bodaj 300 złotych, a na „trzysta dwadzieścia” konkurencja rezygnuje. Słyszę — „...po raz trzeci” i młodzieńca z portfelem w garści wolno kieruje się w stronę barierki. Płaci i z paczką pod pachą triumfalnie zmierza na swe miejsce. Jeszcze nie skończył upiększać „zbiórów” do przepastnej torby, gdy za stołu leci już „nowa seria, nowa gra”.

Cztery widoczki ze stłom, dwa szalki bordowe, kalesony i anilany, ślipy męskie granatowe, koszula czarna, używane, brudne — dwadzieście złotych. Ani się obejrzałem, a widoczki z kalesonami wywindowano na 500 złotych. Jeszcze minuta, zażartych targów i zwycięzca, gdzieś z pierwszych rzędów, za całe 885 złotych staje się ich najnowszym właścicielem.

Ala nie czas drzeć szaty o używane ślipy, bowiem za balustrady już słychać montonny szepot: — Dziesięć uszkodzonych — puszek z farbą olejną, przewód dwużyłowy — 100 złotych. I cisza. Panie w głębi mają niejaki trudności z prezentacją: zawartości podniszczonych paki — wszystko skapane w białej, olejnej. — Eee, taki szajs — macha ręką pogardliwie facet w berecie. A jednak jest chętny. Młody człowiek płaci w kasie „stówę” i popokane puchy wędrują do turystycznej torby.

— Uwaga, chyba będą książki — słyszę z tyłu. Ale nie. Brunetka podnosi mikrofon i: — Eul na jaja, po dwadzieścia złotych, na sztuki, będzie z pięćdziesiąt, jest ktoś chętny? I to jeszcze ilu! Przypychając się jeden przez drugiego, wyprowadzają i roztrącając krzesła rzucają się do barierki po plastikowe pojemniki. Mały „kocioł”, czyli „młyn” w języku rubistów, przy stole, pierwszy kupują nawet po 4-5 sztuk. Jeszcze sąsiad sprawdza czy „aby” się zamyla, gdy dobiega nast: — Koszyk wilczyńowy, mały, zniszczony — trzydzieści złotych. I za tyle poszedł. A po chwili: — Fartuchy robocze, kilkanaście sztuk, też po trzydzieści. Nie ma chętnych. Nawet za te pienia-dze. Panie w kitlach pakują więc po raz któryś z rzędu pechową paczkę. Poczeka do kolejnej licytacji.

Z emocji robi się coraz cieplej, parę osób zdejmując wierzchnie okrycia. Atmosfera jak na poważnych licytacyjnych imprezach, choćby w Paryżu czy Londynie, no, może towar nie ten, chociaż nikt na dobrą sprawę nie wie co kryje kolejna paka. A propozycje są przeróżne. „Zabawka dmuchana, żółwa, po dwadzieścia złotych jedna; jest cała paczka, wystarczy dla wszystkich” (nie wystarczyło, ale po cholere komu estery żółwie, a tak ludziska brali...). Albo: „małe lusterka okragłe po 8 złotych sztuka” (tych trochę zostało), a po chwili — „dziesięć łożysk kulowych — sto złotych (poższy natychmiast) i „krem do golenia oraz woda kolońska „Ware” — pięćdziesiąt złotych

(po krótkiej potyczce słownej, jeden nieogolony „wszedł w posiadanie” za 150 zł). Ale już nowy, modny, w ładnym, pastelowym odcieniu płaszcza od deszczu „Elegan” za tysiąc złotych nie skusił nikogo. Za drogą? Za bardzo pogniecioną? A może w sklepach pod dostatkiem?

By nie denudować już dłużej Czytelników, którzy oczekują z wypiekami, w którym momencie pod młotek trafi lekko używany „Rolls-Royce”, model 1980, po którymś z władców emiratu — wyjaśnijmy, że dziś tego typu niespodzianek nie będzie. Ale czyż komplet nowych wyłączników dźwigowych za jedyne 300 złotych to nie rarytas? A trzeba było widzieć tę ekstazę na twarzach, gdy z głośników dobiegło: — Dwadzieścia trzy kawałki mydła, jedna ściereczka lniana — sto dwadzieścia pięć złotych. Sala rozpalila się do białości, niemal wszyscy rzucałi własne propozycje, cena ostro szła w górę, aż wreszcie ubrany z nieobłą, elegancją pan nabył drocenną paczkę za całe 255 złotych. Parę osób z zaskoczeniem popatrzyło na szczęśliwca, który przez kilka co najmniej miesięcy nie będzie teraz musiał zabiegać o swój kartkowy przydział! Okazji do wzbogacenia się (czy może tylko poprawy samo-

przesyłki listowe, oprócz korespondencji zawierającej książeczki oszczędnościowe, walutowe, woj-skowe, dowody osobiste, co rzecz jasna umożliwia rozszyfrowanie osób zainteresowanych. Czasem zawierają także walute, niekoniecznie wyłącznie krajową. Tego typu „wkładka” trafia do depozytu Narodowego Banku Polskiego, a gdy po dwóch latach nie odnajdzie się właściciel — zasila skarb państwa.

No, ale dość tych teoretycznych rozważań. Wróćmy na salę urzędową pocztową, gdzie kuszą oczy (i kieszeń) kolejne niespodzianki. Są wreszcie książki! Najpierw poleciały cztery egzemplarze „Historii sztuki” (Średniowiecze, II tom) — po 150 złotych. Czernej panowie bez kłótni wzięli po jednej sztuce. Na „Powtórkę z chemii” kilkanaście sztuk „pobrał” młody człowiek, do tychczas nie biorący udziału w przeważnie odzieżowej rozgrywce. Pudło pięknych, wielokolorowych nagledek (jak żywe, tyle, że plastikowe) jakoś nie cieszyło się wzięciem, jeszcze tylko wykupiono kalendarze ścienne po 40 złotych i znów ruszył do ataku „antykwarusze”.

— Książki: „Dwie filiżanki i arzenikiem” po dwadzieścia złotych — wyrecytowała dziewczyna-

Dziewczyna, odnotowując każdego nabywcę, znając wielu nazwiska i adresy, wpisując stosowne dane, nim kupiec zbliży się do kasy. — Przecież to handlarze, nasi stali klienci — wzruszają ramionami — wiele kupionych tu rzeczy znajdzie pan potem na bazarach w Łodzi, w antykwaratach, czy... komisach. Kiedys poszły tu ładne spodnie, w kratę, a potem znalazłyśmy je po strasznej cenie w komisie. Niewiele jest rzeczy, które nie zostaną w ogóle sprzedane. Ale trafiają się takie przypadki — jeśli nie pomogą trzy przetargi i kolejne obniżki cen — rzeczy są niszczony.

Nowiutkie „Grube ryby” Bo-luckiego (pewnie s jakiejś drukarni) szybko znajdują nabywców, znów ślady dla dzieci, dwulitrowy syfon (za 450 złotych), jeszcze „głowa wawelska i torba gospodarza” (za jedyne 80 zł) i raptem wala balustrada zaczyna niebezpiecznie trzeszczeć, a kilkadziesiąt par rąk uzbrojonych w banknoty wy-ciąga się w naszym kierunku. To brunetka lekko zachrypniętym głosem zakomunikowała: — Cienie do powiek, 50 złotych sztuka... Bariera wytrzymała, męz-czyźni nie zdołali jednak poprawić makijażu, bo znów musieli walczyć „przy bandzie”. Tym

na do mikrofonu. Sala zamiera. — Jezus Maria, z czym te filiżanki? — jednak ktoś z pierwszego rzędu, nieprzewidywalnie wdał do dziwnej zawartości paczek. — Oj, panie — przecież to tytuł tych książek... — brunetka jest już wyraźnie zmęczona wielogodzinny wykrzykiwaniem kwot i droczeniem się z publiką. — A, to mówta tak od razu — sala się ruszyła i sterta kryminalów w mig została rozsprzedana.

Młodzieniec od książek jest w swoim żywiole. Walczy jak lew o „Matematykę — poradnik encyklopedyczny”, jakieś dzieło fachowe, a może techniczne, jadrowej, nabywa kolejne „Literatury na świecie”, „Londra jima” i podobne, zaplamione Makuszyńskiego. Poszła szybko paczka książek w języku rosyjskim i kilkadziesiąt ślądów dla dzieci „O dzielnym marynarzu”. Jeszcze wszyscy niemal zaopatrują się w „kółka gumowe, dmuchane, po dwadzieścia złotych”, ale z powrotem na półkę wędrują wytrwale sędursza z bursztynu.

Licytacyjny kontrebas pod-gładem teraz od strony magazynu. Za mną sterczą paczki, dziewczyna uwiązają się jak w uropie, z utęsknieniem spoglądają na zegar, który po czterech godzinach obwieści, że na dziś koniec. Słuchając jednym uchem przetargowych przekomarań w sprawie jakiejś „firanki białej z falbankami i skózanego torni-stra”, zerkam na setki przesyłek i zamieram. Spośród papierowych pakunków sterczy... biała laska (niewidomy wysłał „paczkę” i nie zaadresował?...). Obok — rura wydechowa i peki plastikowych tulipanów. — Nas nie już nie zaskoczy — kwituje moje zdziwienie kierowniczką oddziału Alicja Jeziorowska. — Dziś jest m. in. ta laska, a zdarzają się i inne, dziwne paczki: dwie lampki nagrobkowe i halka, krem do stóp i papeteria, czy parę kilo maki zapakowane w majtki. — Są i przesyłki pseudodowcipne, primaaprilisowe — dorzuca nie przerywając przyjmowania forsy młoda kasjerka. — Paczki cegiel, czy kamieni też bywały, ale pamiętacie dziewczyno — trochę się peszy — te narządy w formalinie...

— Kochana, te gumy to dzisiaj pójda?... — tegawy, sepi-niacy facet wykorzystując krótką przerwę przed prezentacją kolejnej paki, przewieszając się przez balustradę. — Nie, nie, w płatek, ostatniego dnia, jak zwykle — Humaczka pracownice — rzędu. Pod przeciwległą ścianą piętrzy się kilkadziesiąt różnych rozmiarów opon, wszystkie białymi z kompletnie zdartym bieżnikiem. Takich przesyłek — jak mi potem powiedzą — ostatnio przybywa. Czyżby nadawcy, nie bardzo wiedząc co zrobić z zużyтым ogumieniem, w ten sposób się go pozbywali? Czemu nie? Jeśli w 37 lat po wojnie nie udało się nikomu rozpracować problemu skupu opakowań szklanych, to temat starych opon jest już w ogóle czarna magia... Znalazła nabywcę za kilkadziesiąt złotych kolejna paczka odzieżowa, a ja stwierdzam, że to już ktoś z rzędu przeliczowana przez tego samego starszego, dystygowanego pana. W ogóle — wygląda na to, że „intersem” kieruje na przemian kilkanaście raptem osób, z rzadka tylko dopuszczając innych do głosu.

razem o „Kapsioplast”, po złotych obopokowania. Szybko też zaopiekowano się partiami-deł toaletowych w... oleju (po dwa złote, bo puszka peki), jedynym kremem „Nivea”, „zabkami” do firanek też po złotych, ale następna propozycja zaskoczyła nawet starych bywalców koluszkowskiego urzędu. No bo jak tu się zachować, gdy za 5 złotych kupi można: „Przeziroczysta” Program „Wiała”. Wiara w narodzie w regulację tejże nie zganiła jednak, bowiem na chwili-lu wahania ogorzył gość w kufajce z drugiego rzędu wystarował pierwszy: — Pani da trzy komplety, obejrza se wieczorem... I poszły wszystkie, bo za pięć złotych to nawet się człowiek nie bardzo zdenerwuje studiując te nasze inwestycyjne zamiaty...

— No, dziewczęta, ostatnie dziesięć paczek — zakomendowała kierowniczką, co zachryp-nięta już mocno brunetka powta-ła z wyraźną sympatią. Finisz należał jednak do młodego „księ-garza”. Umiejtnie przeczekał „portfel zniszczony za dwadzie-scia złotych”, zawory do bułki, dwa łożyska, skarpety po 15 złotych para i cztery nogi... z wkre-tami. Nie przepuścił jednak płyty z Okudżawą (a 50 zł), ani „Ślę-bów panienskich”, a w końców-ce spokojnie, z uśmiechem, wy-licytował dla siebie za ponad 800 złotych spora paczkę dobrych książek ze Steinbeckiem i Krysz-toniem.

— Dziękujemy, zapraszamy jutro — zmezczone urzędniczkę szybko podliczając jeszcze utarg: około 80 paczek sprzedanych za ponad 25 tysięcy złotych. Nawet nieźle. Zamieniam parę słów z dyrektorem urzędu — Ignacym Gontarskim. — Tak, bardzo często przedsiębiorstwa wysyłające specjalistyczne nawet towary za-pominają o ich istnieniu, uzupeł-nie się nie interesują losem paczki. Bo nie wierzą, dla przy-kladu, że nikt nie zauważył zniknięcia kilkunastu tysięcy sztuk niemowlęcych smoczków, jak to miało kiedys miejsce. A kurat wtedy na rynku amoczek były rarytasem; część z naszych „zapasów” przekazyaliśmy do skle-pów, część do szpitala w Brze-zinach.

— Nie, towary z paczek zagra-nicznych trafiają do nas sporo-dziennie; tymi sprawami zajmu-ją się wydzielone urzędy celne. Mielimy chyba w sumie kilka przypadków, kiedy obokrajow-cie przebywając u nas chciałi wysłać paczkę do domu, a z ja-kiś tam przyczyn celnicy ją odesłali z powrotem. Ponieważ jednak nadawcy już nie było w PRL — przesyłka trafiła do Ko-luszek. Kiedys w ten sposób do-tarła do nas XVIII-wieczna, piękna szpada; znalazła się osta-tecznie bodaj w Muzeum Woj-ska Polskiego...

Jeszcze dwie sztaby, krata, klódkę — na dzisiaj koniec. Sa-siednie pomieszczenie opuszcza-ją też ostatni obladowani klien-ci. Ci stali wrócą tu jutro. By znów ruszyć „w bój”, gdy zabrzmi: — Kurka ortalionowa, czajnik z gwizdkiem, czapka śli-wek — sto złotych. Po raz pier-wszy, po raz pierwszy...

Poznałem go od razu. Niewiele zmienił się w ciągu tych siedmiu lat. Może się nieco pochylał, ale maszerował dziarsko, wyglądał znakomicie, pięknie opalony.

— Panie naczelniku! Co za spotkanie!
— Aaaa, to ty. Chwała Bogu, ocalałeś... — starym zwyczajem uszczyptał mnie w policzek.
— Widziałem się z Jagoszem i Górskim, to znaczy Bogusławskim. Wciąż znowu jesteś w „Expressie”?

— Tak. A co pan robi?
— Przed tygodniem wróciłem z Bliskiego Wschodu. Od jutra idę na depeszwowca do „Dziennika Łódzkiego”.
— To świetnie. W „Dzienniku” będzie wielki bal!

Stanisław Bal-Chruszczewski roześmiał się i znowu wyciągnął dwa palce ku mej twarzy.
— Pyszny kalambur. Sprzedam go. Zajdź kiedyś do „Fraszki”, pogadamy. Całą wojnę spędziłem pod pałacym słońcem Azji. Mówię ci, co za wrażenia, jakie przygody! Koniecznie zadzwoni, umówimy się.

Mój niezapomniany Bal-Chruszczewski, któremu tyle miejsca i serca poświęciłem w pierwszym tomiku „Reportera przed konfesonalem”, miał zwyczaj zwracania się do każdego z nas, młodszych, per „ty”. Rzecz jasna, nie mogliśmy się zdobyć wobec niego na podobną poufałość. Dopiero po latach, na wyraźne życzenie naszego seniora, poczęłem go „tykać”, co zresztą zawsze przychodziło mi z oporami.

Opisując piękną, przedwojenną karierę dziennikarsko-literacką redaktora Chruszczewskiego, pełniącego jednocześnie funkcje naczelnika Wydziału Zdrowia w Zarządzie Miejskim m. Łodzi, pominąłem dyskretnie pewną cechę jego charakteru. Nie chciałem rzucać cienia na tę arcyciekawą postać. Otóż pocziwy Staś nie grzeszył rozrzutnością. Mówiono o nim, że dla przyjaciela gotów jest przewrócić pod nogi krawiec miasta, ale 25 groszy na tramwaj nie wyda. Toteż szczególnie pikantnie nabierał ponizszą historię opowiadaną o Balu przez łodzian, których losy wojny również rzuciły na Bliski Wschód.

Bal-Chruszczewski był codziennym gościem w małej kawiarence w Jerozolimie. Przychodził tam z powodu dobrej moki i... urzekających, orzechowych oczu barmanki. Któregoś dnia rozszedła się wiadomość, że armia feldmarszałka Erwina Rommla podchodzi do granic Egiptu, zajęła już El Atamein i całą siłą swych pancernych dywizji przebiega Kanał Sueski. W mieście powstał popłoch. W obawie, że lada moment czołgi Hitlera wjadą na ulice Jerozolimy, mieszkańcy szykowali się do ewakuacji. Paniczny nastroj udzielił się również byłowcom kawiarenki. Jedynie Bal-Chruszczewski zachował kamienny spokój. W pewnej chwili, przekrzykując gwar rozgorączkowanych głosów, zawołał do barmanki:

— Na mój koszt wino dla wszystkich! Na niczym już mi nie zależy, świat się kończy — i wyjął z kieszeni plik banknotów.

Polat się struga „Carmel”. Nazajutrz rano radio podało oficjalny komunikat: marszałek Montgomery przełamał linię frontu i goni Rommla w głąb Cyrenajki. Zapanowała powszechna radość, obcy ludzie padali sobie w ramiona. Tylko Bal-Chruszczewski siedział smutny, osowiały przy swym stołku.

— Nie cieszy się pan? Taka radosna nowina! — zawołał ktoś.

— Dobre panu mówić, a czy pan wie ile ja wczoraj niepotrzebnie wydałem pieniędzy?
Natomiast historię o tym, jakoby Staś przywiózł z Jerozolim w noszonym na pierśsiach woreczku ziemię z grobu Chrystusa i za odpowiednim profitem po garści odstępował znajomym, a gdy jej zabrakło, uzupełniał zapas w podłódzkich ogródkach działkowych — uznać należy za zwykłą żółśliwość.

Nomen omen. Nie kto inny, właśnie pocziwy Staś padł ofiarą tej ułomności ludzkiej. Pewnego wieczoru majowego 1947 r., kiedy redaktor Chruszczewski zajęty był segregowaniem depesz, w nocej redakcji zadzwonił telefon. Dziennikarz jednej z łódzkich gazet smutnym głosem, przerywanym cichkawą, co Staś przyjął za objaw głębokiego wzruszenia, zawiadomił, że właśnie przed chwilą zmarł nagle Jerzy Ubysz, pracownik działu miejskiego „Dziennika”, mój dawny kolega szkolny z gimnazjum im. ks. Skorupki. Podkopywał treść nekrologu, który Staś polecił włożyć na kolumnę. Nazajutrz Ubysz... zdrowy, w pełni sił, zjawił się jak co dzień w redakcji. Jego matka, gdy wzięła do ręki gazetę, o mało życiem nie przypłaciła poturego żartu. Sprawcę, który — jak się okazało — nadal makabryczny komunikat w pijanym widzie, pozbawiono prawa wykonywania zawodu dziennikarskiego. Został referentem prasowym w jakiejś centrali handlowej, rozprawdzającej bodaj wyroby porcelanowe i fajansowe. Po jakimś czasie puszczone w niepamięć jego wybryk. Wrócił do dziennikarstwa i zamiast nekrologów zajął się układaniem mniej lub bardziej udanych artykułów. A Stasia za karę przeniesiono do dziennej redakcji na niższe stanowisko. Depeszwowcom we wszystkich redakcjach wydano surowe polecenie: żadnych nekrologów przez telefon, przyjmować je tylko za okazaniem urzędowego świadectwa zgonu.

„Dziennik”, w którym zakotwiczył się Staś, był pierwszą po „Wolnej Łodzi” gazetą łódzką. Zaczął wychodzić zanim jeszcze powstały dwa partyjne organy: „Głos Robotniczy” (PPR) i „Kurier Popularny” (PPS). Pierwszy numer ukazał się z datą 1 lutego 1945 r. Potem nastąpiła krótka przerwa. Po przeniesieniu „Rzeczpospolitej” do Warszawy „Dziennik” już regularnie trafiał do kiosków i abonentów.

Gazeta miała do spełnienia w tym początkowym okresie dużą rolę — przybliżając do dzieła odbudowy kraju czytelników z kręgów zachowawczych, katolickich, drobniomieszczańskich, a także tych niezdecydowanych, czy nawet wręcz wrogo nastawionych do nowej rzeczywistości. W pewnym sensie „Dziennik” przejął dawne tradycje „Kuriera Łódzkiego”, ciesząc się w okresie międzywojennym dużą popularnością. Stał się niejako „arką przymierza” między dawnymi a nowymi laty. Kokiełował sfery rzemieślnicze, licznie reprezentowaną jeszcze, prywatną inicjatywę, zamieszczał

Bal w „Dzienniku”

ADAM OCHOCKI

Adam Ochocki urodził się w 1913 roku w Łodzi. Pracę dziennikarską rozpoczął jako siedemnastoletni chłopiec w agencji prasowej „Polpress”. Po kilku miesiącach zostaje reporterem łódzkiego „Expressu”, w którym nieprzerwanie pracuje do 1939 roku. Po wyzwoleniu i powrocie do Łodzi z ZSRR, gdzie spędził lata okupacji, kontynuuje działalność dziennikarską na stanowisku sekretarza redakcji powojennego „Expressu”.

W 1948 r. wydał wraz z Wacławem Drozdowskim cieszący się dużą poczytnością album z przygodami Wicka i Wacka, drukowanymi uprzednio w „Expressie”.

W 1957 r. został sekretarzem redakcji „Karuzeli” i poświęcił się satyrze, pisząc felietony, wiersze, fraszki.

W 1970 r. opublikował w Wydawnictwie Łódzkim tomik satyryczny „Skąd my się

sporo ogłoszeń, nekrologi z literkami ś.p., co razem sprawiło wrażenie gazety neutralnej, nie mieszającej się do spraw polityki i — tej przez małe i przez duże „p”.

Oczkiem w głowie pierwszego redaktora naczelnego, Anatola Mikułki, który rozpoczął pracę w mundurze kapitana, był dział kulturalny. Tegie skupiał pióra. Pisał tu o wydarzeniach literackich, teatralnych i obyczajowych znakomity publicysta i tłumacz, Jerzy Wyszomirski. Miał w gazecie stały felieton, sygnował go kryptonimem „Wysz”. Jan Huszcza, znany poeta i tłumacz, używający pseudonimów Jan Olechno i Jan Zagosiński, również jako etatowy pracownik publikował felietony o aktualnych zagadnieniach życia kulturalnego Łodzi, satyryczne wiersze i fraszki. Kiedyś pokusił się nawet o reportaż fabryczny i podobno wyszło mu to całkiem nieźle. Recenzje teatralne pisali również Michał Orlicz, Edward Csató, uprawiający dodatkowo publicystykę o problematyce międzynarodowej, oraz Stanisław Woyna-Gwiaździnski, a żona Csató, Irena Tomska, zasilała dział felietonami.

W dziale miejskim brylowali na zmianę klerownicy: Wacław Zuchniewicz, parający się jednocześnie publicystyką ekonomiczną, zwłaszcza sprawami rzemiosła, wielce zasłużony wychowawca narybku dziennikarskiego, obecnie niestrudzony popularyzator pionierów polskiego dziennikarstwa, Jarosław Nieciecki, oraz przybyły z Lublina Leopold Beck, który przejął od Zuchniewicza dział gospodarczy. Załogę działu miejskiego stanowili m. in.: Irena Beck, żona Leopolda, Wacław Czyczys, Lucja Łopalewska oraz Władysław Orłowski, późniejszy, po Karolu Turkiewicz, sekretarz redakcji. Po Orłowskim sekretariat przejął Wiktor Malski, po Malskim — Włodzimierz Stokowski, który z PUR przyszedł do „Dziennika” na stanowisko kierownika działu listów i interwencji. Aby być w zgodzie z historią — funkcje redaktora technicznego i depeszwowego sprawował m. in. student Witold Jan Orłowski, brat Władysława, obecny profesor okulistyki w Akademii Medycznej w Poznaniu, a strona graficzna gazety spoczywała w ręku „wiecznego chorążego”, Ignatego Witza.

Gdy teraz, w trakcie pisania książki, przywołuję na pamięć nazwiska pierwszych pracowników „Dziennika”, ośmił mnie szczegół, który wówczas uchodził jakoś mej uwagi. Chciał mam dobry słuch muzyczny, nie zastanawiał mnie charakterystyczny, śpiewny akcent niemal co drugiego redaktora „Dziennika”. Dziś uprzytomniał mi się, że w redakcji istniała szeroka rozległa kolonia wileńska! No bo proszę: Anatol Mikułko, Joanna Wyszowska, Wiktor Malski, Włodzimierz Stokowski, Jerzy Wyszomirski, Michał Orlicz, Jan Huszcza, Władysław Lachowicz, Jarosław Nieciecki...

Właśnie, Nieciecki! Wymieniłem go jako kierownika działu miejskiego. To zajęcie stanowiło jedynie drobny fragment pracy Jarka. Był on przede wszystkim dziennikarzem sportowym. Karierę rozpoczął w „Dzienniku Wileńskim” recenzja z imprezy wioślarskiej, w której brał czynny udział. Potem, nie zaniedbując uprawiania sportu, przeniósł się do radia. W czasie okupacji — jak sam mówił — lawirował między ziemią a podziemiem. Prowadził antykwariat i włączył się w nurt walki politycznej, za co spotkały go represje okupanta. Jarka zawsze cechowała niezwykła pracowitość i punktualność. Pierwszy przychodził do redakcji i od razu siadał do maszyny. Trzeba było widzieć jak wystukiwał swoje artykuły! O doskonałych maszynistkach zwykło się mówić, że szybko przebiegają palcami po klawiaturze. Jarek nie przebiegał — pisał jednym palcem, ale tak, że mogłaby mu pozazdrościć niejedna uczestniczka konkursu szybkopisania. Dzięki jego inicjatywie wiele imprez sportowych weszło na trwałe do tradycji Łodzi i „Dziennika Łódzkiego”: Wyścig kolarski o puchar „DL” (dziś nosi nazwę Wyścigu o memoriał Jarosława Niecieckiego), Mały Wyścig Pokoju, turniej piłki siatkowej pod hasłem „1000 drużyn na 1000-lecie”, „Złota klina”... Jarek wydał kilka książek o sporcie polskim. Jak sobie przypominam, uprawiał również poezję.

Na miano tytana pracy w pełni zasłużył Stefan Stefański, przedwojenny satyryk, „Cyrułik Warszawski”, „Szpilki”, „Wróble na dachu”. Mimo przystoiwego lenia za skórą i nawyku odkładania wszystkiego na ostatnią chwilę,

znany?” W tym samym roku ukazała się w Moskwie, nakładem „Krokodyla” książeczka A. Ochockiego „Triewoga w Adu”, a w 1972 r. w Tallinie (Estonia) pod jego redakcją wybór utworów satyrycznych autorów piszących do „Karuzeli” pt. „Paase Karusseile”. Jest ponadto autorem wielu scenariuszy filmów animowanych dla dzieci m. in. z serii „Zaczarowany ołówek”.

Od kilku lat jest już na emeryturze. W 1980 roku wydał nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom wspomnień pt. „Reporter przed konfesonalem czyli jak się przed wojną robiło gazetę”. Drukowane obecnie wspomnienia pochodzą z drugiego — przygotowywanego dla Wydawnictwa Łódzkiego tomu wspomnień — obejmującego lata powojenne.

rozwinął w „Dzienniku” niezwykle ożywioną działalność. Codziennie ukazywał się jego felieton pod nadtytułem „Z ukosa”. Aby za tej rubryce nadać należyłą wagę — Stefan podpisywał się z francuska „Etienné”. Tworzył też fraszki na aktualne tematy dnia, zaś w wolnych chwilach, wspólnie ze Stanisławem Sojeckim, „omnibusem” reakcyjnym — sensacyjną powieść odcinkową pt. „Ściany mają uszy”. Jej akcja i tematyka rozwijały się wokół współczesnych zagadnień Łodzi. Odcinki powieściowe autorzy pisali na zmianę — jeden w parzyste, drugi w nieparzyste dni tygodnia.

Spółka wytrzymała próbę czasu. Stefański po opuszczeniu „Dziennika” został redaktorem naczelnym założonego przez siebie tygodnika satyrycznego „Różgi”, a jego zastępcą — Stasio Sojecki. Sekretariat redakcji powierzono Ludwikowi Jerzemu Kernowi. „Różgi” miały w podtytułach hasło: bija co tydzień. Konkurencyjne „Szpilki” zamieszczały fraszki: owszem, bija co tydzień, ale... 500 egzemplarzy. Czy „Różgi” nie spleciono z dość gęstych witek, czy zawił kolportaż (przebiegiwano nawet o bojkocie tygodnika) — dość, że po niecałych dwóch latach przestały być.

Czuając nosem nadchodzącą plajtę, Stefan zasekretował się: jeszcze jako szef tygodnika zaczął redagować niedzielną kolumnę humoru i satyry w „Głosie Robotniczym”, a gdy „Różgi” przestały wychodzić, został kierownikiem działu kulturalnego „Głosu”, następnie zastępcą naczelnego. Potem przeniósł się do Warszawy na stanowisko sekretarza redakcji „Expressu Wieczornego” i wznowił współpracę ze „Szpilkami”. Przez jakiś czas był sekretarzem generalnym Zarządu Głównego Stow. Dziennikarzy Polskich. Ta ostatnia, przed nagłą śmiercią, praca nie odpowiadała jego temperamentowi pisarskiemu. Zostawił po sobie taki rozgardiasz, że — jak twierdził żółśliwi — dopiero po upływie wielu miesięcy udało się uporządkować akta, korespondencję i inne sprawy stowarzyszeniowe.

Od samego początku pilnie czytałem „Dziennik”. Z przedwojennej praktyki wyniosłem zasadę: każda lokalna gazeta jest konkurencją — i pozostało mi to na całe życie. Lecz nie tylko rubryka miejska przykuwała moją uwagę. Frapowała mnie powieść odcinkowa „W pogoni” pióra naczelnego, Anatola Mikułki, z zawodu lekarza-ginekologa. W tej autobiograficznej historii z bujnego życia autora występowała jako postać pierwszoplanowa legendarna Hanka Ordonówna. Nasza najsympatyczniejsza przed wojną śpiewaczka kabaretowa, gwiazda „Qui pro quo”, artystka, która wstąpiła się za granicą występami na estradach Paryża, Wiednia, Włoch, Damaszku, Bejrutu, Jerozolim. Łączyła ją z Mikułką gorące, krótkotrwałe uczucie. I chociaż autor ukrył bohatera swej powieści pod innym nazwiskiem, wiadomo było o kogo chodził. Pikantne momenty wątku miłosnego, szalone wyzyny bohatera, skaczącego po szampańskiej nocy bosymi stopami w zwały śniegu — emocjonowały czytelników.

Mikułko to barwna postać, tkwiąca korzeniami w obyczajach cyganerii artystycznej. Przyjaźnił się z aktorami, często widywano go w towarzystwie Stanisławy Piaseckiej, śpiewaczki operetki „Lutnia”. Znał go dobrze kelnery „Tivoli” i innych lokali nocnych. Dużo pił, pełnymi garściami czerpał z życia. W redakcji nie lubił przysiaduwać faldów. Powieść pisał w pośpiechu, na kolanach. Okresami odcinki zmniejszały się niepokojąco, autor zaś uparcie tłumaczył Joannie Wyszowskiej, sekretarzędowej redakcji, że powinien być jeszcze spory zapas w ołowiu. Pewnego razu zabrakło nawet i tej najmniejszej porcji! Gdy poszukiwania Mikułki spłyły na niczym, Wyszowska zamknęła się w pokoju z Jadwigą Rutkowską, drugim sekretarzem „Dziennika”, i obie spłodziły kolejny odcinek, który nazajutrz ukazał się w gazecie. Działali roztropnie, nie wprowadzili do akcji żadnych nowych bohaterów, nie chcąc pociągnąć zryków autorowi.

Naczelnego „Dziennika” trawiła ciężka choroba płuc, podobnie jak Ordonkę. I kto wie czy nie to scementowało ich przyjaźń... Gdy stan zdrowia Mikułki pogorszył się, spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik” wysłała go na swój koszt do Davos w Szwajcarii. Anatol Mikułko od dawna marzył o napisaniu powieści na wzór „Czarodziejskiej Góry” Tomasza Manna, której bohater, Hans Castorp, chory na płuca, leczył się w tej słynnej miejscowości kuracyjnej. Jed-

nakże nie dane było redaktorowi nawet rozpocząć zamierzonego dzieła. Do Łodzi powrócił wypoczęty, opalony i, zdawało się, wyleczony z nałogu. Ale wkrótce znowu pochłoniął go intensywny tryb życia. W 1955 r. ukazały się nekrologi zawiadamiające o śmierci redaktora Anatola Mikułki.

Jeszcze w czasie jego kuracji szefowstwem „Dziennika” objął Kazimierz Chmielewski, z wykształcenia i zamiłowania geograf. Szczególnie interesował się klimatologią. Bez względu na to jakie wydarzenia działy się w kraju i na świecie, dzwonił co wieczór do nocej redakcji, dopytując się czy nie zapomniano dać do numeru, prognozy pogody. Na jego biurku redakcyjnym leżał ponad metrowej długości kiel mamuta. Redaktor badał go przez lupę centymetr po centymetrze i nikt wówczas nie śmiał zakładać mu spokoju.

W odróżnieniu od swego poprzednika nowy szef nie zaskarbił sobie sympatii zespołu. Ciepła się każdego szczegółu, we wszystkim widział niebezpieczeństwo wpadki. Pragnąc wziąć odwet za drobne szykany, żółśliwości i dokuczliwą pedanterię, kilku dziennikarzy zrobiło mu psikusa. Wykreślił z dalekopisu nadany przez agencję API referat ówczesnego ideologa partyjnego, Jakuba Bermana, odcieł tytuł i podsunął tekst Chmielewskiemu do zaopiniowania. Redaktor w środku czytania złapał się za głowę.

— Bzdury! Zasadnicze błędy polityczne, co za duren to napisał?! — i zabrał się do adiestacji wykreślając całe fragmenty.

Miał jednak poczucie humoru, bo gdy sprawy ujawniły autoru referatu, nie obraził się i nie zastosował wobec nich żadnych sankcji.

Często odwiedzałem po sąsiedzku nocną redakcję „Dziennika”. Na wieszaku w pomieszczeniu korekty królowała wojskowa peleryna. Autentyczna, z okresu, gdy marszałek Piłsudski prowadził z Oleandrów pierwszy marsz kadrowki. Należała do Jerzego Nowakowskiego, „rotmistrza”, jak go ochrzcziliśmy. Nigdy nie ukrywał swej przynależności do Legionów. Chętnie się tym przy każdej okazji i dlatego zamiast pisać do gazety, jak przystało człowiekowi pióra, wyłapywał byki w szpaltach i na odbitkach kolumn. Najpierw robił korektę w wychodzącej w Łodzi „Polsce Zbrojnej”, potem w „Dzienniku Łódzkim”.

Godzinami potrafił rozsnuć przed nami obrazy z zamierzchłej przeszłości, koloryzując do przesady swe przygody żołnierskie. Z najpoważniejszą w świecie miną opowiadał jak to kiedyś ogolił się siedząc na koniu, w czasie szarży na nieprzyjaciela. Poprawiał nie tylko błędy zecerckie, ale i pp. redaktorów. Gdy zwracano mu uwagę, że przekracza swe kompetencje, obrażał się: „Czy pan wie czyje teksty ja adiuutowałem? Sam Witold Gombrowicz dał mi do poprawienia rękopis swej powieści „Ferdynand”!

Niezależnie od pory roku, w mróz czy w słońce, Jurek dumnie obnosił się ze swą peleryną. Towarzyszyły mu nieodłączne dwa budogi, może mopsy, nie pamiętam. Bardzo był do nich przywiązany. Nie miał nikogo bliskiego. Mieszkał samotnie, żona odeszła od niego. Silny jak tur, tylko on jeden ze wszystkich moich znajomych kładł mi na rękę. Długie lata spędził przy biurku korektorskim. Dopiero w 1956 r., dzięki redaktorowi Mojkowskiemu, przeszedł na etat dziennikarza: adiuutował teksty w sekretariacie redakcji „Expressu Ilustrowanego”. Od czasu do czasu pisywał całkiem udane felietony, potem poszedł na emeryturę, wylosował jeszcze kolejno dwa samochody w PKO i zmarł w swej samotni, opuszczony, zapomniany...

Wojciech Knittel jako trzeci z kolei przejął funkcje naczelnego gazety. Tuż po objęciu przez niego stanowiska przypadała jakaś rocznica i z tej okazji urządzono bal w „Dzienniku”. Ktoś, mając dobrze w zubie, zerwał ze ściany portret Ważnej Osoby i odtoczył „trepaka”. Incydent, jak łatwo się domyśleć, nie przeszedł bez echa: wśród zaproszonych gości nie brakło i tych, którzy na przyjęcie przybyli służbowo. Kierownictwu zespołu redakcyjnego obniżono doraźnie o jeden stopień grupę, co równało się obcięciu zarobków. Dziennikarze byli wówczas zaszerogowani do pięciu grup — w zależności od swych kwalifikacji zawodowych. Tak przynajmniej miało to być. W praktyce wyglądało nieco inaczej. W plątej, tej najwyższej, uwiłi sobie wygodne gniazda naczelni i ich zastępcy, przeważnie nie parający się pisaniem i nierzadko przypadkowi w zawodzie.

Po jakimś czasie redaktor Knittel przeniósł się na stałe do Warszawy. Po śmierci Rafała Pragi przejął redakcję „Expressu Wieczornego”. Szefem „Dziennika” została Franciszka Bzomowa.

I na tym kończy się pierwszy etap „Dziennika Łódzkiego”. Po ośmiu latach istnienia gazeta przestała wychodzić. Zamiast niej przyszedł na świat nowy twór, to jednak temat dalszych wspomnień.

Do wyjaśnienia pozostałoby jeszcze, dlaczego właśnie tak zatyłowałem ten odcinek, chociaż Staś Chruszczewski nie był postacią centralną gazety. Jego kariera skończyła się na redagowaniu kolumny mutacyjnej pt. „Reflektorem po województwie”. Ale dla mnie redaktor Bal-Chruszczewski na zawsze pozostał tym, kim był do wojny — wzorowym dziennikarzem i pisarzem. Jego barwna sylwetka wiąże się nierozdzielnie z moją młodością, przypomina mi czasy, gdy stawiałem pierwsze kroki w zawodzie. Przypomina mi Łódź młodziuchnych lat z gwarowymi ulicami, którymi przebiegali chłopcy wykrzykując tytuły sprzedawanych gazet. Bajecznie kolorowa Łódź z papużkami szylkami sklepów, moje pierwsze porwy i marzenia, kiedy wszystko wydawało się tak dziecinnie proste i kiedy — jak śpiewano w popularnej piosence — wokół ramion roztaczała się barwna tęcza...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesonalem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę”.

Szarooka blondynka pragnie poznać poważnego mężczyznę, niepięknego, intelektualistę, w wieku 56-80 lat.

„Mężczyzna, 31 lat, wzrost 175 cm, o szerokich zainteresowaniach, złota ręczka (w domu) pragnie poznać kobietę w wieku 25-30 lat, dobrą, inteligentną”.

— Tak — westchnął mój sąsiad w kole elektrycznej wypychając do kieszeni numer „Dodatku reklamowego” do popołudniówki RIGAS BALSS. — Tak, bądźcie uprzejmi przypomnieć sobie, że u Lwa Nikolajewicza (Tolstoja w „Wojnie i pokoju” — przyp. red.) Andrzej zaprosił Nataszę do walców. Walec, a nie ogłoszenie w gazecie. Miłość, to oświecenie zrodzone przez obiekt uczucia. A to, śmiech powiedzcie, szarooka blondynka z Nikolajewsk nad Amurem szuka amatorów na brzegu Bałtyku (w oryginalnej grafii: Amur i francuskie słowo amour — miłość — przyp. red.) O tempora, o mores!

A ludzie szukają się nawzajem. Ludzie mają nadzieję odnaleźć się nawzajem. Droga poszukiwań za pośrednictwem gazety rozszerza się, dzięki coraz to nowym organom prasowym w Tallinie, Dniepropietrowsku, Alma-Atie... Na razie jednak nie można powiedzieć, że ogłoszenie o chęci zawarcia znajomości stało się w naszych gazetach sprawą równie normalną, jak informacje o pogodzie. Przede wszystkim większość redaktorów wystrzega się wątpliwych nowinek, no i nie tak daleko odeszły przecież czasy, kiedy sposób zawarcia znajomości poprzez gazetę był uważany za zamach na naszą moralność.

Zachowując ścisłość chronologiczną należy powiedzieć, że pierwsze dwa ogłoszenia tego rodzaju — w celu zbadania zapotrzebowania — zamieściła w 1976 r. LITIERATURNAJA GAZIETA i w ciągu tygodnia otrzymała 16 tys. listów z propozycjami. Bo ludzie ciągle szukają się nawzajem. Czyż nie jest rzeczą zdumiewającą, że w takim wielkim mieście jak Ryga przyrost naturalny mieszkańców w ciągu ostatnich 10 lat nie osiągnął 18 tys. osób; że co trzecia rodzina to dwie osoby — jedno z rodziców i dziecko, bądź rodzina bezdzietna? 18 proc. mieszkańców miasta liczącego 850 tys. osób to ludzie samotni. A w ogóle na Łotwie, której ludność wynosi 2,6 mln osób, nie założyło rodziny ponad 250 tys. ludzi w wieku małżeńskim.

Redaktor „Dodatku reklamowego” do gazety RIGAS BALSS, Woldemar Popic, rozumiał, że niektóre ogłoszenia w rubryce „Mieszkanie do wynajęcia” to ukryte propozycje zawarcia znajomości. Pewnego razu zamieścił takie ogłoszenie na swoje nazwisko i w pierwszy dzień dziewięć na dziesięć telefonów było od kobiet poszukujących towarzysza życia... Kobiety: uzbudziły się całą swoją fantazją. Pewna czytelniczka zamieściła ogłoszenie, że poszukuje współtowarzysza do odbycia wycieczki łódka podczas urlopu. Znalazł się chętny, zostali małżeństwem, zaś telewizja łotewska opowiedziała o tej szczęśliwej i wyjątkowej historii w specjalnym programie „Akcent”. Czyż trzeba mówić, z jakim entuzjazmem powitano rubrykę „Matrymonialne” w „Dodatku reklamowym”? W ocenie kawalerów i panien, matrymonialne ogłoszenie gazetowe stało się żagle nadziei i dziś nadszedł czas porozmawiać nie o celowości, lecz o znaczeniu nowej rubryki i o zrodzonych przez nią problemach.

ŚLADEM OGŁOSZEŃ IDĄ NAUKOWCY

Rubryka „Matrymonialne” w ryskim „Dodatku reklamowym” pojawiła się w lutym 1980 roku. Od samego początku przyciągała ona uwagę naukowców. Docent w Katedrze Statystyki i Demografii Łotewskiego Uniwersytetu Państwowego, Andis Lapinsch, który już w swojej pracy doktorskiej „Małżeństwo i problemy formowania par małżeńskich w Łotewskiej SRR” poruszył zasadnicze problemy demograficzne republiki, teraz postanowił zająć się tematem na podstawie losów ludzkich ujawnionych w rubryce „Matrymonialne”. Z początku naukowiec i jego koledzy przeanalizowali 503 ogłoszenia, bez zwracania się do ich autorów, żeby wyjaśnić kto w ten nowy sposób poszukuje współtowarzyszy życia, i sporządzili typowe charakterystyki społeczno-demograficzne: płeć, wiek, stan cywilny, ilość dzieci, itp. Potem opracowano ankietę i rozesłano ją do 230 autorów ogłoszeń zamieszczonych w ciągu ostatniego roku-półtora.

Dziewięć dziesiątych adresatów to mieszkańcy Rygi i Jurmaly, gdzie przede wszystkim rozchodzi się „Dodatek reklamowy”. Ankietę tego typu przeprowadza się niezbyt często, więc ich autorzy przejawili nie tylko takt i ostrożność, lecz również dążenie do głębszego wnikięcia w istotę problemu, żeby ustalić zagadkowy obraz kandydata do ręki i niezamężnej kobiety. Nie oznacza to, że naukowcy postawili sobie za cel wyciągnięcie jakiegos średniego wskaźnika wyjaśniającego przyczyny bezżenności ludzi. Autorzy ankiety takiego celu nie stawiali, bo ludzkiego szczęścia nie można zaprogramować, zaś w odpowiedzi na ankietę, można ustalić jedynie stan jednostki, jej sytuację materialną oraz cechy moralne, psychiczne i etyczne.

Dwadzieścia pięć pytań otwierało przed człowiekiem możliwość obnażenia duszy, dania oceny wielu rzeczy, o które do tej pory nikt nie pytał. Odpowiedź na pytania ankiety nie wymagała w zasadzie wielkiego wysiłku. Ale oto nagle pada pytanie: „Nie wydaje ci się czasem, że jako bliski człowiek nie jesteś nikomu, oprócz rodziców i rodzeństwa, potrzebny?” (Prawde mówiąc, 26 proc. mężczyzn i 38 proc. kobiet odpowiedziało na to pytanie twierdząco).

Fakt, że na ankietę odpowiadała chętnie absolutna większość zapytanych, świadczy nie tylko o aktualności tematu, lecz o aktywnej, obywatelskiej postawie ludzi pragnących pomóc sobie nawzajem, podzielić się doświadczeniem własnego życia. Na 230 ankiet z odpowiedziami, 153 zostały wypełnione całkowicie. Od razu zaskoczyła ciekawość czytelnika — na pytanie „Czy opublikowanie ogłoszenia pomogło ci założyć rodzinę?”, pozytywnie odpowiedziało 8 proc. kobiet i prawie 30 proc. mężczyzn. Znacznie więcej pozytywnych odpowiedzi mężczyzn i kobiet było na pytanie: „Czy poleciałbyś (abyś) tym, którzy chcą założyć rodzinę, publikowanie ogłoszenia czy odpowiadanie na ofertę matrymonialną?” — odpowiednio 71 i 66 proc. Nie ulega wątpliwości, że ogłoszenia matrymonialne zyskały uznanie i akceptację. Należy tu wspomnieć, że w 1976 roku, kiedy LITIERATURNAJA GAZIETA przeprowadziła pierwsze badania socjologiczne przeciwko podobnej formie zawierania znajomości wypowiedziało się 20 proc. czytelników, zaś po opublikowaniu w gazecie dziesiątków materiałów na ten temat, liczba przeciwników spadła do jednego procenta. Dane z omawianych przez nas ankiet potwierdziły tę tendencję.

Średni wiek ankietowanych, prawie jednakowy dla obu płci, wynosił 41 lat. Wiek dwóch trzecich mężczyzn szukających towarzyszy życia waha się od 30 do 50 lat, natomiast mężczyzn po pięćdziesiątce jest więcej niż przed trzydziestką. Chęć wyjścia za mąż ujawniły kobiety w wieku od 20 do 78 lat, lecz najwięcej było w wieku 30-39 lat.

Wykształcenie. Jego poziom (jak należało oczekiwać — podkreśla Lapinsch) jest wyższy u kobiet, niż u mężczyzn, co odpowiada strukturze wykształcenia ludności republiki. Za faktem tym kryje się los kobiet, w pierwszej kolejności nauczycielek wiejskich, które upórco, lecz bez szczególnych sukcesów, pragną zawrzeć znajomość z odpowiednim mężczyzną z wyższym wykształceniem. Dziesięć lat temu na prowincji łotewskiej na 100 kobiet z wyższym i niepełnym wyższym wykształceniem, w wieku 20-29 lat, przypadało 56 mężczyzn z analogicznym wykształceniem i w tym samym wieku. Następne lata tylko pogorszyły sytuację.

Tu mimo woli nasuwa się myśl, że podnoszenie poziomu wykształcenia (zwłaszcza w przypadku kobiet) nie gwarantuje szczęścia osobistego. Podobnie ma się rzecz z dobrami materialnymi. Wiadomo, jak skomplikowana jest kwestia kobieca. Czy przypadkiem nie ona jest jedną z głównych przyczyn ludzkich

Szarooka blondynka ma poważne zamiary

niepowodzeń? Nie. Według danych ankietowych, większość niezamężnych mężczyzn i niezamężnych kobiet posiada samodzielne mieszkanie z przydziału bądź spółdzielcze, czy też mieszka we własnych domach — odpowiednio 58 i 61 proc. Nie ma też żadnych powodów uważać, że przyczyną osobistego niepowodzenia jest „obciążenie” dziećmi z poprzedniego małżeństwa, 65 proc. mężczyzn i 42 proc. kobiet dających ogłoszenie nie posiada dzieci.

Niektórzy odnoszą wrażenie, że do ogłoszeń uciekają się ludzie mało pociągający zewnętrznie, którym — prawdę mówiąc — nie innego nie pozostało, jak tylko wykorzystać tę, być może, ostatnią szansę. Dlatego też autorzy ankiety zadali m. in. i takie pytanie:

„Przedstawiciele płci przeciwnej uważają cię za: 1. bardzo pociągającą (ego), 2. pociągającą (ego), 3. nieszczególnie, 4. niepociągającą (ego). Absolutna większość kobiet — 84 proc. — podkreśliła pierwszy lub drugi wariant, ani jedna kobieta nie zatrzymała się na czwartym. Rzecz zrozumiała, że prawie każda kobieta uważa się za nieco ładniejszą, niż jest, ale tak naprawdę to tylko trochę ładniejsza, co twierdzą bez szczególnej galanterii. W przypadku mężczyzn było odwrotnie. Żaden nie uznał się za „bardzo pociągającego”, a 53 proc. wybrało wariant trzeci (mężczyźni, jak może się przekonać czytelnik, wykazali charakter).

Popatrzmy więc, jak ubierają się nasze pociągające kobiety i niezbyst pociągający mężczyźni.

„Ubierrasz się zawsze: 1. bardzo modnie, 2. modnie, 3. niezbyt modnie, 4. nie idziesz za modą” — na to pytanie ponad połowa kobiet wybrała wariant pierwszy lub drugi, a tylko cztery procent przyznało się, że nie idzie za modą. Jeśli idzie o silną, lecz skromną płęć, to tylko 16 proc. mężczyzn przyznało, że ubiera się „bardzo modnie”, „modnie”. Wygląd zewnętrzny ankietowanych uzupełniają odpowiedzi na pytanie: „Twoja figura”. Mimo, iż ujawniła się określona tendencja — nadwaga u 20 proc. kobiet (nawet po uwzględnieniu żeńskiej skłonności do wyolbrzymiania swoich zalet) i u 16 proc. mężczyzn (pozbawionych tego typu ciągów), powstaje wrażenie, że absolutna większość kandydatów do żeniaczki jest w pełni zadowolona ze swej figury.

Teraz poruszymy decydujące zagadnienia naszych dni — komunikatywność. Ankietę pytała:

„Co możesz powiedzieć o swoich stosunkach z otaczającymi cię ludźmi, których znasz dość długo?”

60 proc. kobiet odpowiedziało, że ich stosunki z otoczeniem są zwykle ciepłe i serdeczne (wśród mężczyzn tylko 23 proc., co jest raczej wynikiem powściągliwości, a potwierdza to zerowy wynik wariantu odpowiedzi „stosunki zwykle chłodne”. Warto podkreślić, że 13 proc. kobiet wybrało właśnie tę odpowiedź).

O dobre rozwinięciu poczucia towarzyskości i umiejętności obcowania z ludźmi świadczy odpowiedź na pytanie: „Czy często myślisz o tym, jak wyglądasz w oczach innych?” Tak, nie, nie wiem. „Tak” odpowiedziało 66 proc. kobiet i 43 proc. mężczyzn.

Wydawałoby się, że wszystko jest jak najlepiej, i należy się tylko dziwić, z jakich powodów tak nadzwyczajni ludzie nie znaleźli do tej pory swojego szczęścia. I nagle okazuje się, że

odpowiadając na pytanie:

„Czy spędzasz czas wolny poza domem: 1. bardzo często, 2. często, 3. niezbyt często, 4. rzadko, 5. prawie nigdy” — 77 proc. mężczyzn i kobiet, co za dokładną, zbieżność, podkreśla trzeci i czwarty wariant, a 16 proc. mężczyzn — co gorsza — piąty. Siedząc w domu trudno oczekiwać, że księżniczka (książe) zaskutka w okno wielopiętrowego bloku.

Czyż nie dlatego dość smutno wyglądają odpowiedzi na sakramentalne pytanie: „Czy czujesz się samotna (ny)?” — 35 proc. mężczyzn i 43 proc. kobiet napisało „tak”. „Czasami” napisało jeszcze więcej. Co prawda, zdaniem Lapinscha, poczucie samotności ma jednostkową podstawę psychologiczną, ponieważ w naszym społeczeństwie nie ma żadnych barier klasowych czy ekonomicznych dla stosunków międzyludzkich.

Pytania ankietę wywoływały niekiedy daleko posuniętą szczerość. Na przykład:

„Istnieją różne poglądy na stosunki płciowe. Co o tym myślisz? Czy stosunki płciowe między dorosłymi niezamężnymi ludźmi są, twoim zdaniem, 1. zupełnie naturalne, 2. dopuszczalne, 3. pożądane, 4. godne potępienia?”

Z pierwszym wariantem zgodziło się 29 proc. kobiet i 14 proc. mężczyzn, z drugim odpowiednio 43 i 48, z trzecim 19 i 30, a z czwartym 9 i 6 proc. Niech czytelnik sam skomentuje te liczby.

Dane ankiety mówią o nastawieniu ludzi do małżeństwa, o chęci zdobycia szczęścia rodzinnego: autorzy ogłoszeń otrzymują średnio 100-200 propozycji. A maksimum? W przypadku kobiety — 729, w przypadku mężczyzny — 903.

DOBRE TO CZY ZŁE

że na jedno ogłoszenie odpowiada prawie tysiąc ludzi? Patrząc z boku może się wydawać, że nie ma szczęśliwszego adresata. To już nie targ kobiet, a ogólnokrajowy festiwal-konkurs (piszą z Jakucji, Azji Środkowej, Dalekiego Wschodu), gdzie ty sam jesteś jury i tobie przysługuje prawo wyboru królowej piękności. Nie śpieszcie się jednak z zadowolaniem. Mężczyźni, którzy cieszą się dużym powodzeniem u kobiet, rzadko zostają w pojedynkę... Wybrałem na chybił trafił jeden adres i wysłałem list z pytaniem do 89-letniego mieszkańca łotewskiego miasta Daugawpils MD.I. Okazało się, że otrzymał 600 propozycji z różnych miast kraju od kobiet w wieku od 40 do 60 lat. Szczęśliwy kandydat do ręki odrzucił nie odpowiadające mu kandydatury, zaś dla pozostałych sporządził grafik odwiedzin i spotkań, lecz tej sędzonej mu nie znalazł i postanowił powtórzyć ogłoszenie. Ktoż może robić wymówki człowiekowi za tak poważne podejsie do tak poważnej sprawy? Jest w tym jednak coś nagannego. Daugawpiński kandydat do ręki mógł przecież obudzić nadzieję na szczęście setek kobiet, które i bez tego przeżyły niemało rozterek wewnętrznych, żeby — pokonując wstyd i onieśmielenie — najpierw wrzucić list do skrzynki, a potem pójść na spotkanie.

Równoległe z tym wszystkim zasmuca też geografia poszukiwań partnera do małżeństwa. Według opinii socjologów, do których przylacza się również Lapinsch, zasięg terytorialny przy wyborze partnera jest wyjątkowo ważny — im większy, tym mniej szans na pozytywny los małżeństwa. Nawet w tak niewielkiej rozmiarami republice, jak Łotwa, czynnik ten daje o sobie znać. Ani wymiana korespondencji, ani rzadkie spotkania nie zastąpią żywego kontaktu i poznania człowieka, z którym chce się związać swój los.

Strumień ogłoszeń wywołał sprzeczne uczucia u naukowców i w redakcji RIGAS BALSS. Odpowiadając szczególnie niecierpliwemu adresatowi Woldemar Popic pisał:

„Znajomość za pośrednictwem gazety to przecież nie jedyny sposób znalezienia przyjaciółki życia. Ludziom wydaje się, że zamieszczając ogłoszenie, człowiek zdobywa czarodziejską pałeczkę i teraz już wszystko potoczy się szybko i gładko...”

Andis Lapinsch uważa, że bierność przy poszukiwaniu partnera świadczy nie tylko o braku inicjatywy, lecz i nieprawidłowo rozwiniętej osobowości, o infantylności. Zdrowo rozwinięta młodość charakteryzuje się porywami, wytrwałością, gotowością do walki o swój ideał. Czy ogłoszenie w gazecie jest głównym orężem w tej walce?

WSZYSTKO BARDZIEJ SKOMPLIKOWANE NIŻ SIĘ WYDAJE

Redakcja RIGAS BALSS przejawia ogromną pobłażliwość w stosunku do tekstów ogłoszeń, ale okazuje się, że człowiek nie może opisać nie tylko samego siebie, lecz i przedmiotu swoich marzeń. Na stronice gazety — czegoś tam nie było — przedostało się ogłoszenie mężczyzny szukającego „kobiety z szerokimi biodrami”. Podobne przypadki biorą się raczej z braku taktu, a nie ze świadomego działania, a obracają się przede wszystkim przeciwko autorowi.

Woldemar Popic zapoznaje mnie z listami:

Z Kaliningradu do S.I.R.: „27 października br. wysłałam na wasz adres list z prośbą o zamieszczenie mojego ogłoszenia. Bardzo proszę zmienić tekst. Było napisane: „Pociągająca kobieta, 34 lata, niepijąca, inżynier, poszukuje przyjaciela i ojca dla 11-letniego syna”. Słowa „pociągająca” i „niepijąca” proszę nie drukować...”

Samotny mężczyzna z Czerkass, 70 lat: „Dziwię się ogłoszeniom młodzieniaszków w wieku 22 lat. Czy nie za wcześnie zwracać się do redakcji o pomoc? W każdym przypadku oni mogą jeszcze trochę poczekać, całe życie przed nimi. Ja zaś, sami rozumiecie, muszę się spieszyć...”

Do redakcji zaczęły przychodzić zupełnie nieoczekiwane listy. Z Rygi od Z.A.S.: „Skonczcie z tymi świństwami, Mąż mnie rzucił, bo znalazł inną pod wskazaniem przez was adresem...”

Z Nabierieżnych Czelnów od M.I.T.: „Zwraca się do was mąż G.D.T. Ogromnie proszę, poinformujcie mnie jak najprędzej, kiedy i w jakiej sytuacji moja żona zamieściła w „Dodatku reklamowym” ogłoszenie następującej treści: „Chcę poznać mężczyznę z wyższym wykształceniem, w wieku nie mniej niż 37 lat. Mam 37 lat, wzrost 158 cm, 8-letniego syna i wyższe wykształcenie”. Ona znajduje się w Leningradzie na sesji egzaminacyjnej, bo studiuję zaocznie...”

Za tymi jednostkowymi, wydawałoby się, faktami kryją się określone koszty osobiste (że nie wspomniemy wielu przypadków, kiedy adresami z rubryki „Matrymonialne” posłużyli się awanturnicy i w jednym wypadku zabrali z domu koźców, a w drugim porwali żywą świnię). Czyż nie trzeba wysłuchać głosu tej rozsierdzonej żony, od której odszedł mąż (mógł odejść i bez ogłoszenia), bądź szerzej wykorzystać istniejące już doświadczenia zgromadzone dzięki tym, którzy odpowiedzieli na ankietę socjologów z Rygi?

W każdy czwartek, kiedy ukazuje się „Dodatek reklamowy”, przed kioskami ustawiają się kolejki. Zapytałem dziesięć osób, dlaczego kupują gazetę. Patrzyły na mnie, jak na faceta z innej planety: „A czy pana „Matrymonialne” nie interesują?”

Interesują one nie tylko ryżan, lecz i mieszkańców innych miast Łotwy oraz mieszkańców wsi, gdzie „Dodatek” w ogóle nie dociera. Interesują również miliony ludzi poza granicami Łotwy, których ogłoszenia dostają się do gazet z ogromnym trudem, choć mogłyby być publikowane — z większymi szansami — w miejscowej gazecie rejonowej, miejskiej czy obwodowej.

A teraz powróćmy do niedokończonych rozmów z koleją elektryczną na temat czasów i obyczajów. Zeszła ona na miesięcznik JURNALIST (wrzesień 1980 r.), który przytoczył taką informację z pisma NASZE WRIEMIA z 1885 roku: „Ogłoszenia gazetowe o pragnieniu ożenku lub wyjścia za mąż, bez względu na swoją pozorną nowość, ekscentryczność i oryginalność, charakteryzujące koniec XIX wieku, mają już za sobą stuletnią historię. Pierwsze takie ogłoszenie wydrukowano w pewnym tygodniku w Jenie 22 maja 1794 roku”.

LEONID KOWAL
(„Litieraturnaja Gazieta”)



Rys.
Grzegorz Stańczyk

1

Zdarzenia i zwierzenia

Dezorientacja

W autobusie usiadło za mną dwóch młodzieńców, a ponieważ rozmowę wiedli bardzo głośno, po chwili wysłuchiwałem takiego dialogu:

Pierwszy: — Jak oni śmia tak obraźliwie nazywać Konstytucję 3 Maja...

Drugi: — Nie słyszałem.

Pierwszy: — Nazwali ją testamentem, jak na pogrzebie...

No cóż, słowo testament ma wiele znaczeń. Jest to zarówno akt prawny, za pomocą którego spadkodawca rozporządza swoim majątkiem, ale jest to także zbiór ksiąg świętych... Metaforycznie Konstytucja 3 Maja jest dziejowym testamentem narodu. Ale — oczywiście — o tym młodzi twórcy nie wiedzieli. Albo raczej nie pomyśleli, bo lepiej jagotać bzdury, niż myśleć, co jest zajęciem o wiele trudniejszym. Podobni im młodzi ludzie z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja rozbijali w Warszawie szyby i demolowali samochody. Nie wpadło im do głowy, że można z tej okazji pójść po prostu na... wystawę „Konstytucja 3 Maja” (z bezcennych zbiorów Czartoryskich i Muzeum Narodowego) — wystawę, którą zorganizował nikt inny, tylko „oni”, czyli władze Polski Ludowej.

Kiedy autobus przejeżdżał obok Muzeum Miasta Łodzi, jeden z młodych odezwał się: — Człowieku, żebyś ty wiedział, jaka tu jest luksusowa stolówka, wszystko w niej dostaniesz. Tak sobie dogadają nasze władze...

Drugi podzielił oburzenie.

Tylko te nisko uposażone urzędniczki, które pracują w tym gmachu, bardzo by się zdziwiły słysząc te słowa. Nie ma tu żadnej luksusowej stolówki. Władze specjalnych też tam dawno nie ma, w każdym razie od czasu reformy administracyjnej w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy wyprawiono stąd Prezydium byłej WRN.

Szczerze mówiąc nawet nie próbowałem włączyć się do rozmowy, aby te bzdury, wynikające z kompletnej niewiedzy, przostawać. Akurat byłam świeżo po lekturze artykułu Zygmunta Kałużyńskiego w „Polityce” i przemówiła mi do przekonania teza autora o znaczącej dezorientacji społeczeństwa.

Kałużyński pisze — i ma rację, bo sam to pamiętam, że zarówno w roku 1945, jak i w okresie Października 1956—1957 w Polsce toczyły się wśród ludzi prawdziwie i ostre dyskusje polityczne. Dziś — niestety — żadna poważna dyskusja nie jest możliwa.

Dezorientacja polityczna, za którą winę w dużym stopniu ponoszą kolejne ekipy władzy, sprawiła, że niechętnie się rozumuje i sięga do wartościowych źródeł, niechętnie wyciąga się logiczne wnioski, natomiast ojcheimniej preparuje się bzdury, powtarza kłamstwa i nie uznaje żadnej logiki — ani politycznej, ani historycznej, ani państwowej.

Kałużyński przytacza taką autentyczną rozmowę:

— „Domagam się zniesienia stanu wojennego i zwolnienia internowanych”.

— „W jakim celu?”

— „By wrócić do stosunków sprzed grudnia 81”.

— „A więc „Solidarność” znów ogłosi strajki z powodu podwyżki cen, rząd znów ceny zaniżył, ze sklepów znów zniknęła margaryna i ser, które się pojawiły, w gazetach znów wszyscy będą wszystkich oburzali obelgami, i tak dalej?”

— „Bynajmniej nie musi tak być. Można przystać na niejkie ograniczenia, ale musimy ocalić uzyskane wolności...”

— „Ale w jaki sposób?”

I tu zazwyczaj — komentuje Kałużyński — dyskusja albo się urywa, albo przechodzi w detale, w których rozmówcy się gubią.

Rozmowa, którą ja przytoczyłem na wstępie, ma charakter jednostronnej negacji, ale załóżmy, że zamiast potakującego Drugiego, byłby jakiś Trzeci, bardziej mądry, bardziej docieklawy. Zapytałby z pewnością o sens pojęcia — testament, o źródło informacji na temat plotki o prominentnych „konsumach”... I wówczas dyskusja musiałaby się urwać, bo Pierwszy nie odstąpiłby od swojej nierozumnej negacji, a Trzeci straciłby chęć do kontynuowania rozmowy.

I taki jest kształt naszej współczesnej dezorientacji, której końca nie widać. Nie ma, oczywiście, żadnych recept, ale mogę się odwołać do przewidywań. Przewidywania te nie napawają optymizmem, bowiem stan dezorientacji jest duży, a ludzie co prawda chcą być mądrzejsi niż są, ale nader rzadko robią coś w tym kierunku „sami z siebie”.

Więc nadal będzie istnieć „milcząca większość”, która co prawda nie pójdzie wybijać szyb z okazji 3 Maja, albo gwizdać z okazji 1 Maja, ale będzie głęboko współczuć tym, którzy się w to bawią, a potem ponoszą konsekwencje tej złej zabawy. Jak długo będzie się w ten sposób toczył nasz polski świat, nie wiadomo; wiadomo natomiast z całą pewnością, że zawsze istnieją jakieś obiektywne granice takiego stanu.

JERZY WILMAŃSKI

2

Spojrzenie znad szachownicy

Prawda

Od nas, dziennikarzy, wszyscy stale i wciąż domagają się prawdy. Mamy mówić i pisać „prawdę, całą prawdę i tylko prawdę”, jak brzmiała w amerykańskich filmach formuła sądowej przysięgi. Prawda, zgoda, ale co się na nią składa, gdzie jej szukać?

Figury szachowe nie podlegają emocjom, to tylko gracie bywają zdenerwowani i zażenowani, tracąc krytycyzm i ostrość widzenia. W trakcie partii nie można wprowadzić bezkarnie dotykać bierki, każdy wykonany ruch jest już ruchem ostatecznym i nieodwracalnym, jednak podczas analizy całymi godzinami wolno sprawdzać warianty, wciąż wciąż wracając do wyjściowej pozycji. Zdawałoby się więc, że prawda w szachach winna leżeć niejako na wierzchu, być niezawodnie wykrywalna, a jednak...

W roku 1892 podczas meczu o tytuł mistrza świata między

Czygorinem a Steinitzem rosyjski champion przez długi czas utrzymywał prowadzenie. Potem Steinitz wyrównał, uzyskał punkt przewagi, lecz w krytycznej XXIII partii Czygorin miał figurę więcej i pełną szansę na wyrównanie stanu pojedynku. Popelniał jednak straszliwy błąd, dostał matę w dwóch ruchach, co zakończyło mecz i pozwoliło Steinitzowi zachować szachową koronę. Gdyby wszelako Czygorin zagrał lepiej, czy byłby zwyciężył? Oba wielcy przeciwnicy, najświetniejsi gracze swoich czasów, długo analizowali pozycję i nie mogli znaleźć odpowiedzi. Właściwa, lecz też zaledwie prawdopodobna droga do wygranej wskazał dopiero jugosłowiański mistrz Vukovic mniej więcej trzydzieści lat temu, a więc — inaczej licząc — w sześćdziesiąt lat po zakończeniu dramatycznego pojedynku.

Podczas spotkania z młodzieżą w tak burzliwym minionym roku próbowałem dawać inny przykład. Przypuśćmy, że dwie łódzkie gazety — jedną niech będzie „Głos Robotniczy”, drugą „Express Ilustrowany” — tego samego dnia wysłały reporterów na penetrowanie miasta, surowo zalecając pisanie prawdy i tylko prawdy, różne zarządzenia podpowiadając zadania. Dziennikarze jednej gazety będą szukać tego, co dobre: uczynnych kierowców, grzecznych ekspedientek, pomysłowych racjonalizatorów, pilnych uczniów, wzorowych pedagogów, zakładów, w których praca zorganizowana jest sprawnie i z głową. Znajdą takich. Łódź pełna jest uczciwych, przyzwoitych, pracowitych i uczynnych ludzi, ale też reporterzy drugiej gazety z równym powodzeniem znajdą przykłady bałaganu, marnotrawstwa, chamskiego, bezmyślności, biurokracji i wszystkich innych grzechów głównych naszego dnia codziennego.

Dwie gazety jednego i tego samego następnego dnia wydadzą w rezultacie dwa prawdziwe w każdym szczególe, choć zupełnie różne, a jednocześnie fałszujące rzeczywistość numery. Życie bowiem nie jest ani białe, ani czarne, ani nawet szare; jest — jeżeli rzec tak wolno — łaciaste.

Zblić się do obrazu albo jeszcze lepiej, spróbujcie oglądać jego powierzchnię przez silne szkło powiększające. Obraz rozpadnie się na dziesiątki kolorowych kropek, punkcików, pacnięć, bezspornie prawdziwych, dających się badać fizycznie i chemicznie, ale nie przynoszących nawet przybliżonego wyobrażenia o całości, jako dziele sztuki.

Prawda o naszych czasach jest złożona, trudna, składająca się z setek, tysięcy i dziesiątków tysięcy najeńszczyźniejszych faktów, doznań i ludzkich czynów. Nigdy nie starczy czasu w eterze i niejsca na szpaltach gazet, aby każde prawdziwe zdarzenie i każdy prawdziwy fakt odnotować, gdyby jednak nawet starczyło, należałoby jeszcze spytać oświeconego kamieniem chiopaka, czy naprawdę wierzy, że może w ten sposób przybliżyć porozumienie narodowe, pomóc w czymkolwiek sobie i swojemu pokoleniu. Dopiero gdy oddalimy się w czasie, spojrzymy na minione z perspektywy, obraz nabierze ostrości, stanie się zrozumiałym, wyłutaczalnym i przez swoją syntetyczność — prawdziwym.

Dlatego żądać od dziennikarza, aby zaraz, natychmiast, z dnia na dzień pisał całą prawdę, to po prostu żądać niemożliwości. Możemy co najwyżej starać się zauważać i to, co białe, i to, co czarne, a przede wszystkim nigdy nie kłamać świadomie. Ten skromny program jest zarazem programem maksymalnym, nie wynika z ograniczeń cenzury, lecz z ograniczonych możliwości samego zawodu, czy wręcz — możliwości człowieka. I to jest właściwie jedna z bardzo nie-licznych prawd, których jest tem pewien aż do końca.

JERZY

3

Lewym

Cukier już nie krzepi

Nie pamiętam już, w którym piśmie przeczytałem niedawno, że jakaś czeska firma zawarła z nami umowę na zakup — a właściwie — zabranie własnym transportem i kosztem — kilkudziesięciu tysięcy ton żużlu rocznie z hald, które beużytecznie gromadzą się na Śląsku. Z tego żużlu nasi sąsiedzi produkują podobno elementy do budowy domków jednorodzinnych.

Zanim zdążyłem się oburzyć, dlaczego takich samych elementów nie produkuje się u nas, dlaczego hałdy rosną w nieskończoność, zapaszkując krajobraz, wypierając setki hektarów zieleni — już uczynił to ktoś inny w liście do redakcji i poczułem się usatysfakcjonowany. Tylko, że zaraz potem, w „Przeglądzie Tygodniowym” z 25 kwietnia br., obywatel Wiesław Masłowski z Białegostoku w notatce pt. „Grosny popiół” naciśnął ostro sygnał alarmowy. Żużle są radioaktywne! Cegły, płyty i inne elementy wyprodukowane z żużla emanują śmiertelne promienie o natężeniu 10-krotnie przekraczającym dopuszczalne normy, powodują nowotwory, białaczkę, starzenie się i uszkodzenia płodu. Nie użytkować żużłow! — wołał pan Masłowski, aż nam się włosy jeżyły ze strachu i płakać się chce nad losem nieszczęśliwych Czechów.

To był w ogóle katastroficzny numer „Przeglądu” i przypisał mi go kilka bezsensownych noc. Czy wiecie, że ze względu na pole elektromagnetyczne nie wolno oglądać telewizji dłużej niż przez pół godziny, po czym należy zrobić trzy kwadransy przerwy? Inaczej zaburzenia wzroku, bóle głowy itd. Pół godziny? Przez pół godziny to nawet żaden poseł nie zdąży dojechać do swego pierwszego wniosku, dziennik zamieści w tym czasie jedną rozmowę z zacepioną na ulicy emerytką, w serialu pierwszy samochód piszczał na zakrętach nie dojeżdżał jeszcze do willi na przedmieściu. I już przetrwał? A przetrwałby produkować seriale i w ogóle filmy, a skończył z pogadankami i turniejami, a najlepiej — z produkcją telewizorów! Niech sobie Czesi patrzą na swoje szpitale na peryferiach, jeśli im zaburzenia mile!

Zamiast oglądać telewizję, wziąłem do ręki „Przekrój” z 18. IV br. I znów głos z Białegostoku, w którym to mieście musi mieszkać czujna ekipa ostrzegawcza: nie kryć dachów eternitem! Z eternitu ułatnia się pył azbestowy, rakotwórczy nawet w minimalnych dawkach. Rak płuc pewny, jeśli nie zaraz, to po dwudziestu latach. Zerwijmy eternitowe dachy, wróćmy do słomy, po uprzednim skorygowaniu przepisów przeciwpożarowych. Lepiej niech się spali wszystko w czortu, niż narażać nasze płuca na takie brzydkie rzeczy.

Żeby zadbać trochę o płuca i w ogóle o zdrowie, sproszkowałbym liście pokrzywy. Zgodnie ze światłą radą pani Tarczyńskiej-Szymańskiej z „Zycia Pabianickiego”, lyka się na suchy pół łyżeczki takiego proszku i popija herbata. Skutek gwarantowany. Niestety w „Przekroju” z 25 kwietnia pani Lucyna Winnicka ostrzega w ostatniej chwili: „Odstawcie tę szklankę herbaty z rakotwórczymi barwnikami chemicznymi, a wraz z herbatą: paczka polukrowanego największą trucizną — cukrem, wypieczonego z białej, pozabawionej wszelkich minerałów maki!” Żeby nikomu nie było na duszy za lekko, pani Winnicka pisze: „Owoce są kwa-

sotwórcze. W makrobiotyce poleca się owoce w niezbyt dużej ilości i raczej gotowane”.

Wesołe, co? Jerzy Lech pisze w „Polityce” z 24 kwietnia, że na Śląsku co najmniej milion osób zagrożonych jest utratą życia z powodu zatrutego przez przemysł powietrza. Nad Chorzowem fruwa sto razy więcej benzopirynu, niż dopuszczają normy, w rzekach stężenie chloru przekracza analogiczne normy 67 razy, ołowiu nad Katowicami mamy 33 razy więcej niż wolno. W średniowieczu po kilku wypadkach morowej zarazy pustoszały momentalnie całe miasta. A tu milion — i nic? Nikt nie ucieka?

Przytoczyłem głosy tylko trzech pism z jednego tygodnia. A tak niedawno największe witaminy zawierały świeże owoce, chorem dawało się białe pieczywo, cukier krzepił, a herbata, spożywana masowo przez miliardy ludzi na świecie odświeżała umysł i broniła przed przeziębieniem. Wszystko się w naszych rękach zmienia w truciznę, jak w rękach bohatera czeskiej (znów Czesi!) powieści Karela Čapka „Krakatił”. Jemu nawet damski puder zmienił się w potężny środek wybuchowy. Aż dziwne, że wciąż jeszcze żyjemy i to coraz dłużej...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (CWIĘK)

4

Sport

Czy polscy piłkarze muszą zostać mistrzami?

Andrzej Ziemiński, w „Przeglądzie Sportowym” z 14 maja tego roku, w felietonie „Wyścig Pokoju 1982” porównuje sport z lat pięćdziesiątych ze sportem z lat siedemdziesiątych i początku lat osiemdziesiątych, przypominając, że dawniej Wyścig Pokoju był „kolorową plamą na szarym, zgrzebnym tle” codziennego życia. Później się to trochę zmieniło, z szarego stało się barwne, a sport zszarzał i stał się „machiną do wytwarzania sukcesów”. Coś w tym jest. Ale — mimo racji, jaką trzeba przyznać Andrzejowi Ziemińskiemu — trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że Wyścig Pokoju stracił swoje dawne znaczenie. I to nie tylko dlatego, że czym innym był u progu swych narodzin, a czym innym jest dziś, bo się trochę zmieniło, rozwinęło się wiele dziedzin sportu, a ilość imprez kolarskich o podobnym charakterze i zasięgu znacznie wzrosła. Jest chyba jeszcze inny powód.

Jest to temat niepopularny. Ale trzeba chyba sobie powiedzieć o tym otwarcie. Otóż nam, dla poprawy naszego na-

rodowego samopoczucia, bardzo potrzeba sukcesu. I to właśnie sukcesu sportowego w skali międzynarodowej. Niechby narody postronne przekonały się, że Polacy nie gęsi i też coś tam potrafią i innych pokonać mogą. Skoro nie możemy, bo nie ma do tego obecnie warunków, odnośnij sukcesów w gospodarce, a te mają przecież mimo wszystko mniejsze znaczenie propagandowe, bo w mniejszym stopniu docierają do świadomości społecznej i budzą zadowolenie, to wypadłoby odnosić je w sporcie. Jeśli na przykład „Wifama”, albo „Uniontex” zdobyłby złote medale na zagranicznych targach, to wiedza o tym — bez wątpienia cennym sukcesie — jest mniejsza niż wiedza o złotym medalu choćby siatkarzy czy koszykarzy. Tylko, że na kolary nie bardzo możemy liczyć. Niezależnie od wszystkich kryzysów — społecznych, gospodarczych i politycznych — kolarstwo nasze od dłuższego czasu przeżywa swój sportowy kryzys i kibice mają tego świadomość. Cuda i w XXXV Wyścigu Pokoju już nie będzie, choć młodzi kolarze bardzo się starają. Podjęli próby wygrania choćby jednego z polskich etapów, ale próby — jak wiemy — nieudane. Skończymy ten wyścig na 5 lub 6 miejscu, co kibiców nie może ani cieszyć, ani pasjonować.

Toteż zainteresowanie kibiców powoli przesuwają się w kierunku piłki nożnej i zbliżających się mistrzostw świata w Hiszpanii. Tygodniki — mając trudności z popytem — szukają różnych atrakcyjnych dla czytelników tematów i gromadzą rzucili się na sprawy związane z piłką nożną. Wiem, że Czytelnik nie może dziś kupić i czytać wszystkiego, co się ukazuje — jak to nie tak dawno jeszcze bywało — dlatego poinformuję, że ostatnio rozmowy z Antonim Piechniczkiem ukazały się w „Przeglądzie Tygodniowym”, „Razem”, nie licząc serialu w „Panoramie”, gdzie trener polskiej reprezentacji przedstawia „asów mundialu”. „Przekrój” natomiast przeprowadził rozmowę z Kazimierzem Górskim.

O różnych rzeczach rozmawiano, ale w końcu padło to — zasadnicze — pytanie: „Kto wygra mistrzostwa świata w Hiszpanii?”. Kazimierz Górski różnych chwytów się sposobów, aby odpowiedzieć nie udzielił, zaproponował nawet — swemu rozmówcy (Wacław Kaczmarek) podróż do Delf do Pytii, ale ten nie ustąpił i w końcu Kazimierz Górski powiedział:

„...w moim przekonaniu w czwórce finalistów znajdują się: BRAZYLIA, RFN, HISPANIA I POLSKA”.

— „Ale kto wygra?” — meczyl Kazia (Górskiego) Wacek (Kaczmarek), aż chciało się krzyknąć: Wacek nie mecz Kazia! choć w oryginalnym zawodzie jest „Kaziu nie mecz ojca”. I Kazimierz Górski wydusił z siebie, że „Brazylia może być bardziej efektywna”, ale... „chyba więcej szans, jak gdzieś 6:5, dają jednak Niemcy”. Oczywiście Kazimierz Górski zastrzegł się, że może się mylić, jest to jego sąd, a piłka — jak wiadomo — jest okrągła i w grze wszystko może się jeszcze zdarzyć. Czy ktoś jednak myśli, że Polacy mogą sięgnąć po złoto?

Nawet Zbigniew Boniek w wypowiedzi dla „Sportowca” jest ostrożny:

„...mamy już niezłą reprezentację, a może być ona za kilka miesięcy jeszcze lepsza. Jeśli coś się nie stanie... kolejną aferę wykluczam... to w Hiszpanii nie powinno być źle”.

Jak z tego widać rozmowa, w której uczestniczyli również obok Bonka, Grzegorz Lato, Paweł Janas i Marek Dziuba, przeprowadzona chyba jeszcze w ubiegłym roku. W rozmowie tej pada kilka dość istotnych uwag dotyczących spraw organizacyjnych. Po pierwsze — ci, co biorą udział w przygotowaniach, a także ci, co nie mieszkają w jedenastce i siedzą na ławce, nie mogą być strażni. Po drugie — z drużyną muszą jechać ci działacze, którzy na co dzień są z piłkarzami, których piłkarze dobrze znają. Po trzecie — do piłkarzy powinien trafić sprzęt wybrany przez nich, a nie gorszy, jak to niestety, bywało. Piłkarze chwalił Antoniego Piechniczka, rozumieją się z nim, wiedzą, czego od nich chce. I chcą grać. Oby tylko organizatorzy, a więc ci, którzy są dla piłkarzy, a nie odwrotnie, im w tym nie przeszkadzali.

BOGDA MADEJ

Po podniesieniu kurtyny było absolutnie cicho przez kilka minut. Może dłużej. Sala zamierała jakby ktoś jej rozkazał nie oddychać, widownie zapatrzeni w nieprzyjemną nieruchomość lalek. Herbata kapiała na kolana. Ludzie obserwowali każdą kropkę, niektórzy lizali je i tym sposobem się koncentrowali, nawet bez mojej woli. To było wspaniałe. Ale można było wyczuć, że się na coś czeka, gdyż „Madame Tussaud” była przedstawieniem — niespodzianką. Nie tylko dla publiczności. Widzom nie śniło się nawet, że siedzą na sali sądowej, że stanowią ławę przysięgłych i że odbywa się proces. Byłbym uratowany, gdyby choć parę osób wstało i demonstracyjnie opuściło salę, chociażby nawet mieli wykrzykiwać, że jestem zwykłym gównem teatralnym, pedalem, który lubi lalki. Boże, jakież by to było piękne. Niesłychanie piękne. Zastanawiając się nad tym wszystkim, nie mogłem nie myśleć o swojej ukochanej, jej tremie i o tym, jak to wypadnie, kiedy zaczyna z szeptaniem, przytulaniem i pieszczotami. Była większą aktorką niż myślałem, albo nie tylko dobra aktorką. Publiczność infantylnie już miała zachwycić się kapaniem herbaty, gdy naraz dało się słyszeć:

— Chodź tylko na chwilę.
— Zwarłowałeś? Nie teraz.
— No, chodź, nie ma nikogo. Co ci jest, nie wyglupiaj się.
— Jak to — nie ma? Nie widział ich?
— Oni nie mają znaczenia. To nie są oni.
Cała sala wzdrgnęła się na ten szept i jako jedno, jedyne ciałko przekształciła się w jakiegoś potwora złożonego z ucha, oka i śliny, która błogo pociekła, wywołana przyjemnym, wiele obiecującym zaskoczeniem.
— Chodź, ja przedko.
— Nie. Proszę cię, nie, wiesz, że nie lubię przedko. Mogą nas zobaczyć.
— Ech, zwariuję z tobą.
— Nie dotykaj mnie tu. Oj, ojej, wariacie! Ktoś wejdzie. Ojej, jaki masz ciepły.
— Zegnij się trochę. Tak. Rozszerz je. O, tak.
— Ojej, jaki masz, jaki jest... boję się. Naprawdę nas przyłapał. Jak on może być zawsze taki twardy. Wariat z ciebie, prawdziwy wariat!

W sali już zaczynał syczeć przeklęty ludzki potwór.
— Podnieść je?
— Głupiutka, głupiutka, po co mnie teraz pytasz, teraz już o nic nie pytaj. Pewnie, że tak. Do nieba, do nieba, do nieba — głos rzucił — podnoś ogierze... ooo ooooo. Daj mi go, daj mi go, język mi daj, odgryzę ci język. Ojej, ojej, tak, tak. Obredę cię ze skóry.
Ho, ho moi mili, żebyście mogli w tej chwili zobaczyć salę. Była to już rozpasana masa. I ona pewno niektórzy z widzów zaczęli się nawzajem pieścić. Tak krzyczęli, docinali sobie, kwiliili, eeeei, kwiliili.
— Podnieś mnie tak. Tak. Wykreć się. Teraz z powrotem. Taaki!

— Wspaniale. Spróbuj jeszcze raz. Nie złamię ci go, nie złamię, nie złamię. Złamię!
— Podskocz, podskocz sokoło, niech zobaczą, co kole.
— Leż przepiórko — szarpiórkę, rozpostreć ci skrzydła.
— Po kropelce w ciebie kapię, ach jak czoło brodę drapie.
— Podnieś no się czarny włosie.
— Pokaż kotku, co masz w środku.
— Iiiiiiih! Iiiiiiih!
— Dalej, dalej, szabo śmiała.
— Ach, jak dobrze, że jest biała.
— Niesie sokół swego ptaszka.
— Uderz dziobem niby gromem!
— Jakże słodko słowa splataś!
— Och, jak dobrze mnie wygniataś!
— Ach, ty niwo nie zorana, gdy zorana, będzie piana.
— Oraj głębiej, coraz głębiej, nie zatrzymuj się przy zrebie.
— Hej, żołnierzu dobromierzu! Pochwaj już ci nie nastarcę, że tak celnie trafiasz w tarcozę.
A oboje przy tych słowach sapali jak psy.
— Już osiekę z sobą noszę, już wyjmuję ostrą kosę, rado kożę wieśkie cycki, zbliżam się do twojej... trawy.
— Tak, taki Płonie siano, płonie gaz, niech zabierze diabeł mas!
— O bracia, bracia, gdybym o tym wiedział, częściej bym tam siedział!

— W tym domeczku — kochaneczku, w tej komórze, o mój Boże, zaraz sobie... pójdę.
Na widowni zapanowało już takie podniecenie i był taki zgiełk, że aktorzy przekrzykiwali się.
Nagle wszystko na chwilę zamario. Ocknąłem się. Przestraszyłem się, że coś się stało. Na szczęście chyba tylko ja zauważyłem ten krótki zastój. Już podniosłem się, by iść za kulisy, ale kobieta krzyknęła:
— Tak, taaki! Koniu, koniu, bizonie mój, uch, uch, zgniotę cię!
Było mi nieprzyjemnie przed całą salą. Gdy po krótkiej pauzie znówu krzyknęła, poczułem się jak we własnym łoku. Wtedy zdaje mi się, już wszystko się pomieszało. I jakiś mój nieokreślony wstyd, i wielki wrzask na sali, i żar — wszystko. Syczała:
— Mocniej! Mocniej! zwierzaku nienasycony, mocniej. Co robisz?

— Lubisz ją, lubisz? Taaak, iiii, iiii, h. Rozerwij mnie.
Jeśli w sali byli eunuchowie, jej głos czynił ich z powrotem mężczyznami.
— Daj, daj, daj, tu, tu, tu, tu, daj, daj, iiii, uuuch, koniu, koniu, mój twardy, twardy, jak mogłam nie wiedzieć, tu, tu, tu. Dno dno, stuudnia, stuudnia, tu, tu, ssss, ohoohoho, w górę, w górę, tu, tu, iiii, jeszcze, jeszcze, jeszcze, taaak, kop, kop, aaaaaaa!!!

W tej chwili, sam Bóg nie wie, jak i dlaczego, wypadły filiżanka i talerzyk z rąk lalki-kobiety, uderzyły o deskę, wszystko się roztrzaskało i naokoło plusnęły resztki herbaty. Sala podskoczyła cała w orgazmie, zacerwieńiona i oszalała. I kurtyna spadła.
Przepychałem się przez ten wesoły tłum śpiesząc, by pogratulować swojej żonie. Wlekli i chwaliли mnie, docinali mi, a ja przez cały czas wstydzilem się, że oto teraz, idę pochwalić swoją ukochaną, która jeszcze przed chwilą mizdrzyła się, charczała i rozbierała przed wszystkimi, że idę do tej, którą latami uczyłem grać poważne role, a która właśnie teraz odniosła swój największy sukces. Znowu poczułem się Pigmalionem. Ta dawna, przekleście nierozetwalna więź, która nas łączyła, jakby znowu ożywała, ale jednocześnie rwała się — zgniała i zapieśniała.

Zastąpiła ją spoconą, zmęczoną i podnieconą. Pośpieszyła w moje objęcia. A kiedy wyciągała ręce, moje nieszcześliwe oko, moje zawsze diabelnie spostrzegawcze oko, zauważyło drobny i trudny do odkrycia cień na twarzy żony. Na twarzy jej zamieszkiał już jakiś zupełnie nowy wyraz. Odcień i odbłask porwyu urzeczywistnionego lub nadchodzącego, odbłask tak świeży, że nawet ona sama nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy, jeszcze nie nauczyła się tego ukrywać.

Powiedziała, że jest zmęczona, że się jednak trochę wstydzila i że zgodzi się na następne przedstawienie jedynie wtedy, jeśli się dla niej, właściwie dla nich dwojga, zrobi taki parawan, który by ich chronił od każdego spojrzenia. Od każdego. Jedyne wtedy — powiedziała — nie czułaby się skrapowana i mogłaby dać z siebie wszystko, pokazać to, o czym wszyscy oglądający przedstawienie mogli tylko pomarzyć. Przekształcę wszystko w drugi akt i podporządkuję mu — powiedziała.

Zgodziłem się, oczywiście, że zgodziłem się. Później, nieco później, na bankiecie po premierze, szeptala podochociona winem, jak ją to wszystko jakoś diabelnie dziwnie podnieca i sprawia jej przyjemność, jakie to właściwie wspaniałe uczucie, gdy się swoim głosem, tylko głosem, doprowadza do szaleństwa salę pełną poważnych ludzi. Szeptala, jak to dokładnie wyczuła chwilę, w której lalki już dla nikogo nie były kamienne i nieruchome. Wspaniale jest, szeptala — mówić nie będąc widzianym i czekać na przełomowa chwila, kiedy lalki ożyją dla wszystkich i kiedy wszystko stopi się w gorączkowym orgazmie. Znowu, jeszcze raz tego wieczoru, nalegała, by zrobić im nowy parawan.

Wracając na salę na trzeci akt przystanąłem w pustym korytarzu i wsłuchiwałem się w szmer dochodzący z foyer i z łóż. Przeglądałem się w wielkim lustrze i porównywałem z młodzieńcem, który tak samo stał i przeglądał się w tym samym lustrze przed wielu laty. Wsłuchiwał się w szmer, który aż do utraty tego potęgował uczucie szczęścia wywołane udanym wy-

Opowieść Anglika Ha-leluja brother.

Publikujemy dziś trzeci i ostatni już fragment powieści jugosłowiańskiego pisarza RATKO ADAMOVIĆA pt. „SZNUR”. Powieść przełożyła z serbsko-chorwackiego JOLANTA KLASINOVSKA. Całość przygotowuje do druku Wydawnictwo Łódzkie. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Podczas podróży statkiem Anglik, przewany Ha-leluja brother, opowiada jak doszło do wystawienia jego sztuki odgrywanej przez lalki, czy ściślej biorąc manekiny. W centralnym drugim akcie między parą nagich manekinów rozgrywa się namiętna scena miłosna, zaś głosu kobiecie udziela nie będąca zresztą aktorką młoda żona Anglika...

konaniem pierwszej napisanej przez niego sztuki. Wszystko to teraz znajdowało się na wadze. Nie żałowałem. Blady, z rozkraczonymi nogami, wsłuchany w oskarżające krakanie, bo wszystkim „Madame Tussaud” podobala się, nie żałowałem jednak podjętej próby doznania czystej prawdy i utwierdzenia czegoś, do czego i tak by kiedyś doszło.

Chciałem tę metną wodę, dopiero co uspokojoną, poruszyć, raptownie rozwieć na wszystkie strony i zobaczyć dno, chociaż przez chwilę. Znalazłem się nie przed dnem, a przed otchłanią, z której życzliwie, z całego serca, upornie życzliwie usunęła się zgnubna woda, by pokazać mi swoje zasrane wnętrze. Jedyną przyjemność sprawiało mi to, że pewna praca, jakakolwiek by ona była, dobiegła końca. Przecież kat jestem pewny, po powieszeniu skazańca też wraca do domu, jak inni ludzie, z przyjemnym uczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Pewne było jedynie to, że moja ręka nigdy więcej nie napisze ani jednej linijki tekstu, że głowa nigdy więcej nie będzie się martwić teatrem, premierami, aktorami. Na scenach świata niech gra kto chce, jak chce, co chce, dopóki chce, z jakichkolwiek pobudek. Ja — nigdy więcej.

W trzecim akcie między lalkami pojawili się aktorzy. Napudrowani, wymalowani, w kostiumach, wyglądali porażająco śmiesznie. Lalki były jakoś dostojniejsze. Puszczono taśmę magnetofonową z nagranyymi dialogami, a aktorzy mieli wolne ręce i mogli robić wszystko, co im się podoba. Gdyby choć troszeczkę zrozumieli „Madame Tussaud”, w tej samej chwili wychodząc na scenę, porozbijaliby lalki, wyrzucili je i kontynuowali bez nich. Ale posłuszni aktorzy, posłuszni do szpiku kości, bezwstydnie posłuszni, tylko umiagali się, do lalek, jakby je usprawiedliwiał przed publicznością i po przyjacielsku pomagali im, żeby te sztuki-dziwo doprowadzić z powodzeniem do końca.

„Madame Tussaud” była sukcesem absolutnym. Krytycy pierdzielili o wszystkim i niczym, bilety od razu wysprzedano na kilka miesięcy naprzód, aktorzy byli pijani ze szczęścia, mój telefon nie przestawał dzwonić, przyjaciele przyznawali, że idą na każdą kolejną „Madame Tussaud” i za każdym razem w my-

ślach rozdają role innym lalkom, szukając idealnego podziaku i harmonii. Zaproponowano mi od razu większe wynagrodzenie. Fu!

Jednak nie odszedłem od razu. Czekalem, czy nie znajdzie się przynajmniej jedno trzeźwe pióro, które plunie na „Madame Tussaud”, wszystko zdemaskuje i pokaże ludziom prawdziwą twarz sztuki. Nie znalazł się nikt. Straciwszy swoje ja, swoją pracę i przekonania, ja, przeklęty człowiek teatru, jednak przychodząc z obrzydliwego przyzwyczajenia na przedstawienia i z bólem serca słuchałem na własne uszy i oglądałem na własne oczy, jak rośnie powodzenie mojej „Madame”.

Z przedstawienia na przedstawienie, oszołomiony, zacząłem, niestety, zauważać, że moja żona wciąż lepiej gra tę sprośną rolę z dotąd mi nieznanymi nowymi odcieniami. Do tego wszystkiego, przygotowałem zupełnie drogę do upadku, omamiony prawie do hysterii negowaniem wszystkiego, dręczony myślą, że wszystko było tylko wygłupem i teatralnym mizdrzeniem przez tyle lat, zupełnie zamieściłem swoją żonę, która albo naprawdę nie rozumiała, albo udawała, że nie rozumie niczego z mojego niespodziewanego nieszczęścia, albo wręcz korzystała z tego zaniedbania.

Robak wszedł do mojej głowy i w przeciwieństwie do zdzwozonego gościa, nie tylko nie chciał wyjść na zewnątrz, ale pozostał tu, aby ją całą pożreć. Bo robak najpierw zwał się Uparty, a potem dopiero Robak. W tych jej sposobach gry kryło się coś nieznanego, jakaś zagadka, którą musiałem rozwiązać. Często bywa tak, że gdy człowiek chce dociec prawdy, nie ma końca dochodzeniom i gotów jest przetrząsnąć torbę nawet samemu diabłu.

Nie mając już niczego do stracenia rzuciłem cały swój autorytet pod nogi pewnego technika i pewnego człowieka odpowiedzialnego za oświetlenie. Namówiłem ich, by zbudowali mi mały mostek, na górę, wysoko nad sceną i kulisami, z którego mógłbym spokojnie i niezauważalnie oglądać, co się dzieje w nowym namiocie chroniącym od każdego spojrzenia.

I wiecie, co? Oni każdego wieczora w tym krwawym namiocie, bezpośrednio przed mikrofonami uprawiali dosłownie szalenie orgie miłosne. Pierwszy raz oglądając, jak go uwodził, zaczęła, rozbiera, przyciąga, całuje, wysysa, zjada, pożera, doprowadza na siebie i pomaga mu, by jej dogodził — omalże nie skoczyłem z góry. Omalże nie skoczyłem. Już otworzyłem usta, by do niej krzyknąć, żeby popatrzyła w górę, pokazać jej, że widzę, zacząć wrzeszczeć... ale czyjaś ręka, ręka starego technika, tego, z którym przymocowywałem filiżanki herbaty do rąk lalek, tego samego, który był w teatrze tak długo jak ja, zatrzymała mnie, chwyciła za brodę, zamknęła usta, a jego twarz przybrała wyraz takiego obrzydzenia, że nawet młodego Orfeusza zniechęciłoby to do akcji. Dzięki Bogu. Właściwie, dzięki przyjacielowi. Usiadł przy mnie i podczas gdy oni w dole spółkowali, my dwaj, już starcy, kołysząc nogami na karkołomnym mostku, spokojnie niczym stare wilki bez zębów, które z zadowoleniem patrzą, jak żarznają w stadzie krowe, oddawaliśmy się przyjemnościom zbroczniców.

Boże, mój Boże, jak wyglądały moje powroty z przedstawienia. Nawet rzeka whisky była za mała, by spuścić kurtynę nad drugim aktem, w ogóle nad „Madame Tussaud”.

— Ech, mój biedny, głupi profesorze — powiedział Vid — wstań i porządnie wyciśnij się z tym biednym i głupim Torem. Jest twoim bratem. Rodzonym. z krwi i kości. Nie ma dla niego nic słodsze niż w świecie, tak samo, jak dla ciebie, od oglądania czyjegoś obcalowywania się, rozbierania, rznięcia, rozkoszy splatanych, zlepionych ciał, a niech was kule biją, prawie z tych samych powodów.

— Doprawdy? — zdziwił się Ha-leluja brother, któremu nagle przerwano i wyrwano go z jego piekielnego opowiadania.

Popatrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, tak samo jak nieprzytomnie, ale ciesząc się, spoglądają na siebie dwaj wykołejęcy, którzy się niespodziewanie spotkali, nie dbając o to, że ani jeden, ani drugi nie wie, co z sobą począć, ani dokąd iść. Tylko skinąłem głową nie chcąc zaczynać rozmowy o czym innym.

— Któż nas połączył na tym statku? — powiedział Anglik — Starzec to ma dobre. Owego ranka strasznie go nienawidziłem za to, że mnie tak wspaniale wyprzedził.

— Słowo daje — powiedział Vid — ten wujaszek dobrze nas związał sznurami i wokół siebie, i przy sobie, i w nas, i wszystkich nas razem, i oto nie ma nory, by z nim nie rozmawiać.

— I ty, Vidzie? — wyrwało mi się.

— I ja — powiedział Anglik, nie czekając na odpowiedź kapitana.

— O Mahomecie, Mahomecie — zajęczał Vid. — Dlaczego nie zatopisz tego statku? Tak dobrze porachowywałeś się z nami za wszystko i naprawdę zrobił dobry uczynek, a byłbyśmy wdzięczni ci wszyscy teraz i zawsze, i na wieki wieków. — Wziewawszy Mahometę jeszcze parę razy i zamruczawszy coś w nieznanym języku, Vid zapytał Anglika:

— A jak znalazłeś się u mnie?

— No, tak. Po paru miesiącach, ku ogólnemu zdziwieniu przyjaciół, wyglądałem jak żywy trup. Nie mogłem tego zrozumieć. Tylko kiwali głowami i mówili: „Co też powodzenie może zrobić z człowieka”. Wszystko w moim życiu ograniczyło się do krażenia z przedstawienia do knajpy, z knajpy na przedstawienie, w żaden sposób, tak jak kobieta nie może przerwać menstruacji, wydalała brudnej krwi. Nawet właściciel knajpy, za każdym razem gdy wchodziłem, podkrzykiwał do kelnera: Edi, whisky dla pana Madame Tussaud.

Wtedy zjawił się ten przyjaciel, którego na swoje nieszczęście oprowadzałem po muzeum figur woskowych. Przybiegił. Już o wszystkim słyszał. Chciałem przed nim się wyplakać i wszystko mu powiedzieć. Wierzyć mi, że przed wami w całym swoim życiu nie miałem przyjaciela z prawdziwego zdarzenia. Gdyby nie zjawił się on, z pewnością zapilibym się na śmierć i zdechłbym gdzieś na ulicy. Ale nie mogłem mu czegośkolwiek powiedzieć. Był jednak o krok od pełnego zrozumienia. Nieodwołalnie żądał, żebyśmy wyjechali. I to od razu. Tak więc, drogi Torze, byłem, już w twoim kraju. Dlatego też wybrałem się w tę podróż usłyszawszy, że ostatni port jest w Jugosławii. Co prawda, ten pies zaprosił „Madame Tussaud” na swój festiwal. Nigdy nie byłem pewny, czy zrobił dobry uczynek. On napewno tak myśli. Ja — nie wiem.

Nie odjechalśmy — po prostu zniknęliśmy z Anglii. Kiedy wróciłem, spakowałem trochę swoich rzeczy i chciałem odejść. Ale nie poszło to tak gładko. Ona, moja miłość, bohaterka drugiego aktu, nie pozwoliła mi na to. Mogłem być żywym trupem, ale moje miejsce było przy niej, właściwie jej przy mnie. Przy wszystkich jej kochankach, ale i przy mnie. Jestem przecież — twierdziła — częścią jej życia. Gdziekolwiek pójdę, będzie szła obok mnie, wolna, należąca tylko do siebie, ale obok mnie. Jedynie, co mi pozostało — to wyrazić zgodę. Pod jednym warunkiem, oczywiście. Że czasami będę patrzył z ukrycia, jak oddaje się komuś innemu. Jedynie, co jej pozostało — to zgodzić się. Za wiele było w nas nieczystej krwi, żebyśmy oboje się nie zgodzili. To jest, drogi kapitanie, moja historia, którą chcielibyście usłyszeć. Wasza cierpliwość była godna podziwu. A nie macie z tego żadnej korzyści. Wręcz przeciwnie. I jeszcze coś, żebyście tę sztukę naprawdę obejrżeli do końca. Panowie, ta dama jest na statku między nami.

Pijani, na wpół żywi, oszołomieni wszystkim, zerwaliśmy się na równe nogi. Ha-leluja brother tylko machnął ręką dając znak, że nie więcej nie powie i jak stary, dostojny aktor, uklonił się i tylko cofając się ku drzwiom, powiedział:

— Dobranoc, przyjaciele, dobranoc. Idźcie do domu, przedstawienie skończono. A my, aktorzy, śpieszymy, by zmyć swoje farby z twarzy, pozwolić im, by ściekły przez otwory klozetowe. Dobranoc.

Na twarz Anglika powracały kolory, jakieś życie i cisza nie mająca nic wspólnego z ludzkim spokojem, a na policzkach przewijały dawno wycisniete pieczęcie skamieniałych wirów.

